

ANETA JADOWSKA

KURCZACZEK I SALAMANDRA



SON
Originals

KURCZACZEK I SALAMANDRA



**Wyjątkowe książki
Wyjątkowe wydania
SQN Store
www.sqnstore.pl**

 ANETA JADOWSKA 
KURCZACZEK
I SALAMANDRA

KRAKÓW 2020



Rozdział 1

Salomea po omacku otworzyła drzwi do mieszkania. Zamknęła je za sobą i nasłuchiwała. Całkowita cisza nieco ją uspokoiła. Dora i Miron byli w pracy – cokolwiek to dziś znaczyło. To, że przeganiali trolla spod mostu, było równie prawdopodobne jak to, że powstrzymywali apokalipsę lub ścigali tygrysa, który z jakiegoś powodu biegał po mieście. Miron zawsze wracał do domu przed Salcią, ale zjawi się dopiero za cztery godziny. Miała czas, by wszystko ukryć. Pewnie się dowiedzą, że była na wagarach, ale za wagary jej nie odeślą, za to gdyby złamała najważniejszą zasadę...

Otarła łzy rękawem i pobiegła do kuchni. Musiała się uspokoić, inaczej wszystko znów stanie w płomieniach. Jej dłonie dymiły, skórę pokrywały czerwono-żółte łuski. Była za blisko utraty kontroli. Znów zapiekły ją łzy w oczach. Tak bardzo nie chciała zniszczyć tego, co dostała... Nie chciała spalić swojego pokoju, pierwszego w jej życiu, który należał wyłącznie do niej i do którego mogła sama wybrać meble, kolory ścian czy narzutę na łóżko. Miron zamontował na suficie setki małych lampek. Pomiedzy nimi znajdowały się alarm przeciwpożarowy oraz czujniki dymu i tlenku węgla. Chcieli, by czuła się tu jak u siebie i by wszyscy w mieszkaniu byli bezpieczni...

Miała może dwadzieścia sekund, zanim alarmy zaczną wyć. Rzuciła plecak przy drzwiach i pobiegła do kuchni, tam złapała rękawice ognioodporne. Wyglądały jak zwyczajne, kuchenne, które się wkłada, by wyjąć z piekarnika gorące naczynie, tyle że pod kolorowym materiałem była gruba i superodporna warstwa ognioodporna, jak w profesjonalnych rękawicach dla

strażaków. Dora uważała, że to dobrze, że rękawice są ładne, bo to pozwala oswoić lęki. Salomea nie miała pewności, czy lęki się osvajają, ale miała taką nadzieję.

Musiała się uspokoić! Skupiła się na oddechu: wdech i długi, bardzo długi wydech. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie najspokojniejszą łąkę na świecie, pełną maków i kaczeńców. I kiedy już prawie udało jej się ochłonąć, na łąkę wbiegli Mieszko i jego przydupasy, a cały spokój ulotnił się jak kamfora. Spod rękawic wydobywał się dym, czuła, jak temperatura rośnie, a łuski wypelzają z dłoni na przedramiona i wyżej.

Pobiegła do łazienki. W grubych rękawicach z trudem nacisnęła kłamkę i odkręciła kran, zsunęła je dopiero wtedy, kiedy mogła wpakować ręce pod lodowaty strumień. W zetknięciu ze skórą Salci woda gwałtownie się podgrzała, lustro nad zlewem z miejsca zaparowało, a w całym pomieszczeniu zebrało się pary jak w saunie. Salomea z rezygnacją spoglądała w zaparowaną taflę zwierciadła – wciąż widziała swoje świecące żywym ogniem oczy i poskręcane wilgocią w płomienne afro włosy, otaczające jej mocno piegowatą buzię. Nie rozumiała, dlaczego ludzie nie rozpoznają, kim jest. Jak mogła to ukryć przed ich wścibstwem? Przecież to oczywiste, była niczym personifikacja ognia. Dziwadło.

Oparła czoło o ścianę i uderzała w nią leciutko. Czasami naprawdę tęskniła za piekłem. Tam nie musiała chodzić do szkoły. Ale nie miała też Mirona ani Dory. Ani Lakshmi z jej menażerią. Ani Leona, który umiał naprawić wszystko, co psuła, i zawsze przynosił coś słodkiego.

W piekle nie było źle – szczególnie w porównaniu z miejscem, w którym przebywała poprzednio. Mimo to chciała zostać tutaj...

Odetchnęła, gdy dłonie zaczęły stygnąć. Wolno, wolniutko, ale systematycznie. Wyglądały już całkiem normalnie. Jak ręce zwykłej jedenastolatki.

Salcia umyła starannie twarz – nie chciała, by jej opiekunowie wiedzieli, że płakała. Zaczęliby dopytywać. Dowiedzieliby się o wagarach, o kłopotach, o tym, że nie zawsze nad sobą panuje... Ogarniała ją wściekłość na myśl, że musi przyznać rację pani Silvanie, kobiecie, której szczerze nienawidziła. Ale czy mogła się kłócić z tym, że każdy przy zdrowych zmysłach woli zwyczajne, bezproblemowe i niekonfliktowe dziecko, zwłaszcza kiedy może wybierać? Salcia nie czuła się zwyczajna, bezproblemowa i niekonfliktowa, więc wolała nie kusić losu.

Ogień spalał mnóstwo kalorii i zawsze po ataku ogarniał ją wilczy apetyt. Poszła do kuchni zrobić sobie coś do jedzenia. Wciąż była trochę za szczupłą. Ten, który przed laty ją porwał i trzymał w klatce, nie karmił jej zbyt często. Potem Irmina, gospodyni Luca, za punkt honoru postawiła sobie, że doprowadzi Salcię do zdrowej wagi, ale ciało dziewczynki, zachwycone tą regularnością posiłków, postanowiło rosnąć wzwyż, nadal była więc trochę zbyt koścista. Zrobiła sobie kilka kanapek z serem i wymieszała w plastikowym kubku składniki na czekoladową babeczkę z kubeczka. Upewniła się, że na spodzie widnieje narysowany flamastrem X – Miron tak oznaczył te naczynia, które mogła podgrzewać. Wsadziła kubek do mikrofal i ustawiła czas.

Gdy nagle urządzenie stanęło w płomieniach, zdębiała. Wchłonęła szybko ogień z oddechem i przez skórę i spoglądała na mikrofalówkę z wyrzutem.

– Jak mogłaś mi to zrobić? I to dziś? Mało mam kłopotów? – zapytała i pociągnęła nosem. Powietrze cuchnęło spalonym

plastikiem. Zajrzała do środka. No tak. Zapomniała wyjąć z kubka metalową łyżeczkę.

Zabrała talerzyk z kanapkami do pokoju i zastanawiała się, jak wytłumaczy się Dorze i Mironowi. Znow zaczęła płakać. Nie umiała przestać.

Czuła się tak, jakby miała pięć lat i nad niczym nie panowała. Nakryła głowę kocem. Chlipała, dopóki nie zmorzył jej sen.

*

Dora wchodziła po schodach kamienicy, przeklinając to, że nie mieszkają na parterze, tylko na wysokim drugim piętrze. Na co dzień nie stanowiło to problemu, miała całkiem niezłą kondycję, jak na przeanieloną wiedźmę przystało. Ale dziś była ledwie żywa. Z każdym krokiem roztaczała wokół siebie smród zgnilizny i bagna; dzinsy, sztywne od blocka, z trudem zginały się w kolanach. Czuła się jak niedoszła ofiara mafijnych porachunków, która w betonowych butach wypelzła z dna rzeki.

Cholerne kelpie nie tylko wciągnęło ją do wody, lecz także przewlekło nią po dnie jak pługiem.

Musiała się umyć i przebrać, zanim Miron przywiezie Salcię ze szkoły. Pomógł zapuszkować kelpie, ale z bezpiecznego i suchego brzegu, więc nie wyglądał jak nieślubny potomek stracha na wróble i golema. Cwaniaczek. Przynajmniej mógł się pokazać między ludźmi i odebrać dziecko ze szkoły. Lekcje kończyły się za niespełna godzinę, a ponieważ zbierało się na deszcz, nie chcieli, by Salcia wracała na rowerze.

Dora próbowała się odnaleźć w nowych okolicznościach. Kilka miesięcy temu zostali oficjalnymi opiekunami jedenastolatki, która, zdaniem psychologa dziecięcego, potrzebowała rutyny i poczucia bezpieczeństwa. Super, Dora

chętnie zamówiłaby dwa komplety, jeden dla siebie. Robiła, co w jej mocy, by jakoś uregulować swoje życie zawodowe i zapewnić dziewczynce coś w rodzaju zalecanej przez psychologa „pozytywnej przewidywalności”, jednak szło jej średnio. Jedyнным stałym i pewnym aspektem życia Salci i jej był Miron.

Dorze towarzyszyła raczej „negatywna nieprzewidywalność” – cholera wie, co się wydarzy, ale raczej nic dobrego. Funkcja Namiestniczki wiązała się z intensywną pracą, nowa jednostka pochłaniała mnóstwo czasu i energii, a kryminaliści, zbrodniarze i regularni durnie za nic nie chcieli ograniczyć swojej działalności do godzin urzędowania. Takie kelpie na przykład – zamiast odpowiedzieć grzecznie na kilka pytań, musiało ją sponiewierać i doprowadzić do stanu, w którym Salcia nigdy nie powinna jej widzieć. Dora nie chciała, by do koszmarów i niepokojów, które dręczyły dziewczynkę, dołączyły te związane z życiem zawodowym jej opiekunów.

Musiała jeszcze skontaktować się z rodziną poszukiwanego dziecka i przekazać, że status sprawy uległ zmianie. Fiona nie jest już zaginiona – Dora znalazła jej szczątki w legowisku kelpie, kiedy w końcu zdołała mu zarzucić na głowę magiczną uzdę i wycisnąć z niego wolę współpracy. Dziewczynka była tylko rok starsza od Salci. Wybrała niewłaściwy czas i miejsce na zabawę. I też miała rude włosy.

Bogowie, jaki to był chujowy dzień!

Wygrzebała klucz – na szczęście wzięła dziś wodoodporną torbę, więc wszystko w środku nie pływało w błocku. Otworzyła drzwi i weszła do mieszkania. Nie poczuła smrodu topionego plastiku – nie zdołał się przebić przez woń gnijącego bagna.

Rozebrała się w łazience i weszła pod prysznic. W kościach wciąż czuła chłód rzecznej głębin. Tajęła. Stała nieruchomo

pod gorącym strumieniem, aż woda na dnie brodzika przestała być rdzawobrazowa. Namydliła włosy i ciało i szorowała się, aż znów poczuła się żywa.

Miała nie więcej niż pół godziny, by przyrządzić coś do jedzenia. Czasu i umiejętności wystarczy jej na tosty lub naleśniki... Tak, naleśniki bardziej przypominają prawdziwy posiłek, zawyrokowała.

Owinęła włosy ręcznikiem, wytarła się i wciągnęła na siebie czystą bieliznę, T-shirt i dresy. Namiestniczka w cywilu wyglądała jak kanapowy kartofel – nie zamierzała z tym walczyć. Weszła do kuchni i w nos uderzył ją ciężki smród palonego plastiku.

– Kurna! Jeszcze nic nie dotknęłam, jak mogłam coś zepsuć? – wymamrotała, rozglądając się za źródłem odoru. Mikrofalówka, częściowo zwęglona, ze śladami spalenizny na ścianie obok i na szafce powyżej, wydawała się prawdopodobnym podejrzanym.

– Przepraszam – usłyszała cichutki, pełen skruchy głosik.

Obejrzała się i zobaczyła zgarbioną i zawstydzoną Salcię owiniętą w koc jak w kokon.

– No patrz, myślałam, że jest odporna na magię – powiedziała Dora, starając się, by jej głos brzmiał lekko.

Mała miała tendencję do zamartwiania się drobiazgami i nakręcania się poczuciem winy. Dlatego Dora nie zapytała jej, czemu nie jest w szkole, czemu ma spuchnięte od płaczu oczy, czemu kuli się, jakby sądziła, że dostanie lanie, choć Dora czy Miron nigdy nie podnieśliby na nią ręki. Miała wielką ochotę, by zapytać. Ale Salcia źle reagowała na to, co psycholog nazywał „przesłuchaniem”. Podobno Dora potrafiła być nieco przerażająca w swoim dociekaniu prawdy. Teraz wycofała się więc i szeroko uśmiechnęła, nie zadając żadnych pytań.

– To nie magia – wykszusiła dziewczynka. – Zapomniałam, że nie można zostawiać w kubku łyżeczki.

Ten cichutki głos, te zgarbione plecy i spłoszone spojrzenie czochrały Dorę nieprzyjemnie. Swędziały ją ręce, a wilczyca w niej warczała. Dora miała ochotę wyjść, odnaleźć każdego, kto kiedykolwiek skrzywdził to dziecko, wyrwać mu nogi z dupy i wepchnąć do gęby po kolana... ale musiała kontrolować odruchy. Kiedy zgrzytnęła zębami, mała skuliła się jeszcze bardziej, więc odetchnęła i znów posłała jej uśmiech.

– Nic się nie stało, kochanie. Nie ty pierwsza. Zaniosę ją do Leona, a on sprawi, że będzie jak nowa – powiedziała.

– Czy on naprawdę potrafi wszystko naprawić? – zapytała Salcia z podziwem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Zanoszę mu sprzęt, który zepsuję, a on przynosi działający. Prawdopodobnie czasem po prostu kupuje nowy. Raz go o to zagadnęłam, ale uznał tę sugestię za obraźliwą.

Podrapała się w głowę, czując, że coś jej umyka... Pacnęła się w czoło, gdy wreszcie do niej dotarło.

– Jeżeli ty jesteś tutaj, Miron nie może cię odebrać ze szkoły! Pojechał po ciebie!

Pobiegła do łazienki i z kieszeni kurtki wyciągnęła komórkę. Martwą i moką. No pięknie!

Ale przecież Salcia też miała telefon.

– Kochanie, możesz zadzwonić do Mirona? – poprosiła, wróciwszy do kuchni. – Wiesz może, czy mamy ryż? Dużo, dużo ryżu?

Z komórki dosłownie kapało.

– Chyba nie... – zapytała Salcia, próbując nadażyć za tokiem myślenia Dory.

– Poproś Mirona, żeby kupił, muszę wysuszyć komórkę. I może zamówimy pizzę? Masz ochotę?

Salcia pokręciła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Poszła po komórkę do swojego pokoju i zadzwoniła do Mirona. Złapała

go, zanim dojechał do szkoły, więc nie spotkał się z dyrektorem Nisimem i nie dowiedział się o jej tarapatach i wagarach... Może jej się upiecze.

Nie umiała określić, czy to ją cieszy. Były same w domu. Może powinna powiedzieć Dorze o wszystkim: o kłopotach, uwadze w dzienniczku, o Mieszku, o tym, w co ją próbuje wrobić, i jak blisko była, by pokazać dziś innym, kim naprawdę jest... Ale w tyle głowy usłyszała głos pani Silvany: „Kiedy ludziom rodzą się dzieci, nie mają wyboru i biorą je, jakie są. A i wtedy czasami się ich pozbywają, prawda, Salomeo? Lecz kiedy mogą wybrać? Naprawdę ludzisz się, że ktoś świadomie wybrałby wybrakowany egzemplarz?”.

Salcia głośno wydmuchała nos. Była pewna, że nikt nie wybrałby właśnie jej, gdyby dowiedział się o niej wszystkiego. Jak długo siedziała cicho, istniał jakiś cień szansy.

Potrafiła rozmawiać z Mironem o ogniu. Liczyli się z tym, że jest pyrką, kiedy ją brali do siebie. Ale cała reszta? Ten ciężar musiała dźwigać sama.

*

Salomea przywykła już do koszmarów. Nawiedzały ją właściwie co noc. Pełne bólu, ognia i strachu żywiły się jej wspomnieniami, nawet tymi zepchniętymi głęboko w podświadomość. W nocy wszystko, co przeżyła, wracało. Znow była mała, słaba i samotna. Znow widziała mężczyznę, który trzymał ją w klatce i zmuszał do strasznych rzeczy, do krzywdzenia ludzi, niszczenia ich własności, spalania domów... Dziwne, ale wtedy nie śniła. Zapadała się w ciemność, a rano nie pamiętała żadnych obrazów.

Lecz odkąd uratował ją Miron, było gorzej. Sny pokazywały już nie tylko to, co wydarzyło się naprawdę, lecz także rzeczy,

których bała się najbardziej na świecie. Jej ogień trawił Mirona, Dorę, Luca, Leona. Mieszkanie, w którym czuła się bezpieczna. A od jakiegoś czasu w snach pojawiała się też Lakshmi i jej menażeria.

Jedno zdawało się niezmiennie: Salcia traciła wszystko, co miało dla niej znaczenie, wszystko, co kochała. Ogień nigdy nie był dość syty, by nie strawić jej świata. Czasami mężczyzna, który trzymał ją w klatce, miał twarz Mieszka. Wiedziała, że Mieszko nie jest aż tak zły jak tamten, ale zagrażał życiu, które miała i które chciała zachować. Niekiedy w snach mściła się na nim i spalała go do kości.

Na końcu zawsze zostawała sama. Odporna na głód i siłę żywiołu.

Często budziło ją popiskiwanie czujnika dymu, bo podnosiła temperaturę w pomieszczeniu. Miron zaglądał do niej zaniepokojony, wyłączał alarm, upewniał się, że jest bezpieczna, przykrywał ją kołdrą i pocieszał. Kochała go. Czasami wyobrażała sobie, że jest jej tatą, takim prawdziwym, a nie tylko, jak mówiła pani Silvana, z litości. Opowiadał historyjki albo czytał jej książkę, dopóki nie zasnęła. Robiła wszystko, co w jej mocy, by odwlec ten moment: szczypała się w ramię pod kołdrą, szybko mrugała powiekami, by odpędzić senność. Bo jeśli zasypiała, pojawiał się kolejny koszmar, zawsze z Mironem w roli głównej. Za dnia wiedziała, że jej opiekun jest pyrem i jej ogień nie może go skrzywdzić, ale sny rządziły się swoimi prawami.

– Tylko ja ci zostanę – szeptał jej do ucha koszmar głosem mężczyzny, który trzymał ją w klatce. Znów budziła się z mokrą twarzą i dymiącymi dłońmi, gęsto pokrytymi łuskami.

Nikommu o tym nie mówiła. Koszmary stawały się prawdziwsze, kiedy wszyscy o nich wiedzieli, prawda?

Leżała cicho do rana, starając się myśleć o miłych rzeczach. O gofrach, które na śniadanie robi Miron. I o tym, jak zabawnie wygląda zaspana Dora, kiedy nie może trafić widelcem do ust i jęczy, że potrzebuje kroplówki z kawy. O tym, że w szkole spotka Lakshmi i jej zwierzaki... Gdyby nie Mieszko i pani Silvana, szkoła byłaby naprawdę świetna.

Ale nie mogła o tym myśleć – inaczej znów włączyłby się czujnik. Myślała więc o Lakshmi, która postanowiła, że zostanie jej przyjaciółką, i nie zamierzała słuchać protestów. Dopięła swego, dzięki czemu Salcia po raz pierwszy w życiu miała przyjaciółkę.

Rozdział 2

Lakshmi nie przepadała za ludźmi tak bardzo, jak tylko może za nimi nie przepadać jedenastoletnia bestiarka. Jej mama tłumaczyła, że to dlatego, że kiepsko czytała ich emocje, i stąd jej kłopoty z komunikacją. Lakshmi przytaknęła, co robiła zazwyczaj, gdy chciała skończyć rozmowę, ale w głębi duszy wiedziała, że prawda wygląda zupełnie inaczej.

Po prostu wolała zwierzęta. Zwierzęta ją rozumiały. Nigdy nie były złośliwe, ich agresja miała bardzo konkretne przyczyny i można jej było unikać, nigdy też nie traktowały Lakshmi gorzej tylko dlatego, że ma ciemną skórę i ciemne oczy czy mówi z lekkim akcentem.

Mama się zamartwiała. Odkąd przyjechali do Thornu osiem miesięcy wcześniej, ciągle powtarzała, że, jak Bogini pozwoli, jej córeczka spotka kogoś, z kim zechce się zaprzyjaźnić. A gdy Lakshmi przedstawiała jej swoich przyjaciół – myszy, wiewiórki, kota, stado kruków, dwa pająki, zaskronce czy fretkę, która była najszcześniejsza, kiedy mogła się owijać wokół

szy dziewczynki jak mały szaliczek, mama uśmiechała się smutno i mówiła:

– To fantastyczni towarzysze, kochanie, ale potrzebujesz kontaktu z ludźmi, z rówieśnikami.

Lakshmi wcale nie była pewna, do czego miałyby ich potrzebować. Czuła się świetnie w towarzystwie zwierząt. Pomagała tacie w klinice weterynaryjnej, którą otworzył w dzielnicy podmiejskiej Thornu, i równie często jak psy czy koty leczył kozy i króliki, a nawet lamy i alpaki – stworzenia o cudownie miękkiej sierści i pogodnych umysłach. Lakshmi wprost je uwielbiała i prosiła tatę, by zabrał ją ze sobą, ilekroć jechał do gospodarstwa, w którym żyły. Mimo to mama regularnie wracała do tematu. Przy śniadaniu, przed wyjściem Lakshmi do szkoły, zagadywała:

– Może właśnie dziś spotkasz kogoś fajnego?

A gdy Lakshmi wracała po południu, nad miską pysznego curry musiała odpowiadać na pytanie zadawane zawsze takim radosnym i pełnym nadziei głosem:

– Czy poznałaś dziś kogoś wyjątkowego?

Lakshmi poznała przez te miesiące wielu rówieśników. Ale nikogo, kto miałby chociaż potencjał. Większość ludzi była nieznośna, zwłaszcza dzieci. Wszyscy mówili za dużo, zbyt często, zbyt głośno. Piszczeli, przepychali się, nie rozumieli, że Lakshmi nie lubi, kiedy się ją dotyka. A potem w szkole pojawił się Mieszko i szybko stał się dla niej istnym utrapieniem. Przyczepił się do Lakshmi niemal na dzień dobry.

Nie pasowała do jego wizji świata, w której ludzie mają jasny kolor skóry i w ogóle są tacy sami. Przeszkadzały mu ciemna karnacja Lakshmi, jej grube poskręcane włosy związane w dwie bułeczki z tyłu głowy, jej jaskrawe kolorowe ubrania. I zapach. Krzywił się, kiedy wchodziła do klasy, i zasłaniał nos, narzekając, że pachnie indyjskimi przyprawami. Było to

bzdurą, bo na śniadanie jadała płatki kukurydziane z mlekiem i popijała herbatą. A gdy odkrył jej menażerię, zrobił się kompletnie nieznośny.

Popychał ją, wyzywał, rzucał kamieniami w jej ptaki, próbował podpalić kota, który za nią łąził. Chciała się poskarżyć nauczycielce, ale szybko się przekonała, że nie ma na co liczyć – pani Silvana była jego ciotką, nie wierzyła, że mógłby zrobić cokolwiek złego. Za to dała Lakshmi wykład o tym, że jej obowiązkiem jest asymilacja i że powinna się starać upodobnić do pozostałych uczniów. Lakshmi ugryzła się w język i nie zapytała, czy ma się wybielić, czy może nosić perukę. Po prostu wyszła z klasy i od tamtej pory unikała Mieszka i jego świty. Bo chłopak niczym przywódca sekty gromadził wokół siebie zwolenników. Lakshmi wiedziała, że trzymają z nim ze strachu, że wolą być po jego stronie, niż narazić się na szykany. Banda tchórzy.

Lakshmi nie reagowała na zaczepki, ale jej kruki były inteligentne i pamiętliwe. Mieszko musiał naprawdę uważać na podwórku szkolnym, bo za punkt honoru postawiły sobie sranie mu na głowę. Dopinały swego regularnie.

Na lekcjach siadała z tyłu, natomiast przerwy spędzała za budynkiem, gdzie na małym zadrzewionym skwerku mogła podzielić się drugim śniadaniem z wiewiórkami, myszami czy ptakami. Robiła, czego od niej wymagano, i ani odrobiny więcej. Potem wracała do domu i pomagała w lecznicy, odrabiała lekcje w recepcji, kiedy rodzice przyjmowali czworonożnych pacjentów. I gdy przy kolacji mama pytała z nadzieją, czy Lakshmi spotkała kogoś fajnego, dziewczynka wzruszała ramionami i odpowiadała:

– Nikogo, kto nie miałby ogona.

Był to ich prywatny żart.

Tak miały się sprawy aż do dnia, w którym w szkole pojawiła się Salomea. Coś w niej natychmiast przykuło uwagę Lakshmi. Wołało do niej. Szeptalo. Było ciepłe i ruchliwe, mimo tego, jak sztywno i cicho siedziała dziewczynka z burzą płomiennorudych włosów.

Nie zamieniły ze sobą nawet jednego zdania, ale kiedy tego wieczoru mama tradycyjnie zadała swoje pytanie, Lakshmi spojrzała na nią znad miski zupy soczewicowej i powiedziała:

– Tak, myślę, że dziś spotkałam swoją najlepszą przyjaciółkę.

Mama ucieszyła się tak, jakby spełniło się jej największe marzenie.

– Opowiesz mi o niej? – zapytała z entuzjazmem.

– Na razie jeszcze nic o niej nie wiem. Ale mam przeczucie – odparła Lakshmi zdecydowanym tonem.

Obserwowała Salomeę przez kolejne dni. Nowa uczennica trzymała się na dystans i wydawała się bardzo nieśmiała. Mieszko szybko skupił na niej uwagę, tak jakby zupełnie zapomniał o swojej dotychczasowej ofierze. Inne dzieciaki od niej stroniły. Lakshmi słyszała szept, plotki, widziała podejrzliwe spojrzenia. Nie umknęły jej deprecjonujące Salomeę komentarze. Zrozumiała, że nową uczennicę jest grupie zaakceptować jeszcze trudniej niż ją, mimo jasnej piegowatej skóry, niebieskich oczu i braku obcego akcentu.

Więcej Lakshmi dowiedziała się od wiewiórki, która dopadła ją zdyszana, wystraszona, z łomoczącym serduszkiem i obrazami ognia w głowie. Dopiero po kilku minutach, utulona i wygłaskana, w bezpiecznej kieszeni obszernej flanelowej kurtki, uspokoiła się na tyle, by przekazać Lakshmi precyzyjniejsze sprawozdanie. Mieszko zaatakował ją i chciał spalić! Ale pojawiła się dziewczynka z łuskami, zabrała mu ogień, a wiewiórce kazała uciekać!

– Dziewczynka z łuskami? – dopytywała Lakshmi.

A gdy wiewiórka pokazała na swoją rudą kitkę i czubek głowy, bestiarka od razu się domyśliła, kogo miała na myśli. Ciekawe, o co chodziło z tymi łuskami? Odtąd obserwowała Salomeę jeszcze uważniej.

Aż zyskała pewność.

Na długiej przerwie podeszła do rudowłosej dziewczynki, która siedziała sama, z dala od grających w piłkę uczniów, i czytała jakąś starą książeczkę oprawioną w brązową skórę.

Lakshmi usiadła obok, nie za blisko, bo nie lubiła, gdy ktoś jej dotykał bez pytania, i zapytała:

– Nie jesteś tak do końca człowiekiem, prawda?

Salomea spojrzała na nią zaskoczona. Oczy wypełniły jej się łzami i Lakshmi zrozumiała, że niechący sprawiła jej przykrość. Chciała to wyjaśnić, ale dziewczynka zerwała się z ziemi, złapała swój plecak i uciekła. Lakshmi podniosła z trawy książeczkę. Przekartkowała ją, z trudem przeczytała stronę tytułową wypisaną dziwaczną czcionką, chyba ręcznie. Coś o ognistych zaklęciach ochronnych. Nie była pewna, nie знаła niektórych słów. Miała nadzieję, że nie zaprzepaściła szansy na przyjaźń.

Tego wieczoru, zanim mama zadała swoje standardowe pytanie, Lakshmi sama poruszyła temat.

– Mamo, chyba mi nie wyszło... Myślę, że zepsułam wszystko.

– Co, kochanie?

– To całe zaprzyjaźnianie się z ludźmi. Nie chciałam, żeby jej się zrobiło smutno...

Mama westchnęła, ale wciąż się uśmiechała. Cieszyła się w duchu, że Lakshmi w ogóle próbuje nawiązać z kimś kontakt.

– Czasami tak się zdarza – powiedziała. – Ale jeśli sprawisz komuś przykrość, zawsze możesz przeprosić i spróbować to naprawić.

– A jeżeli ktoś nie przyjmie przeprosin? – dopytywała dziewczynka.

– To jego prawo, kochanie. To, że kogoś przepraszasz, nie znaczy, że jest ci winien wybaczenie. Pozostaje mieć nadzieję, że zrozumie, że nie miałaś złych intencji i nie chciałaś jej sprawić przykrości.

– Ludzie są strasznie trudni – westchnęła dziewczynka.

– Pamiętasz, jak nadepnęłaś na ogon Baloo?

Lakshmi zaczerwieniła się po czubki uszu. Jej pies gniewał się na nią dwa dni i nie dawał się przekupić nawet najlepszymi kęsami. Naprawdę go zabolalo.

– Sama widzisz: zwierzęta też nie zawsze są łatwe. Ale w końcu ci wybaczył.

– Mówisz, że mam ją przekupić ciasteczkami?

Mama parsknęła śmiechem.

– Na początek może wystarczy, że przeprosisz.

Tak, to mogła zrobić. Choć i tak zabrała ze słoja kilka ciastek, bo w przypadku Baloo okazały się bardzo pomocne.

W szkole wyczekiwała momentu, kiedy będzie mogła porozmawiać z Salomeą. Siedziała za nią na botanice i podstawach magicznego BHP, ale Salomea kulila się i odsuwała, wyraźnie nieskora do pogawędek.

Kiedy klasa przenosiła się na zewnętrzny dziedziniec, by przećwiczyć zaklęcia ochronne, pani Silvana spojrzała na Salomeę z tym swoim fałszywym uśmiechem i powiedziała:

– Moja droga, może będzie lepiej, jeśli zostaniesz? Nie chcielibyśmy przecież, żebyś znowu komuś zrobiła krzywdę.

Gdy Lakshmi zobaczyła, jak dziewczynka kuli się w sobie, aż pociemniało jej przed oczami. Kiedy dzieci wychodziły na korytarz, schowała się za drzwiami – wiedziała, że nikt, nawet nauczycielka, nie zainteresuje się jej nieobecnością.

Salomea siedziała w swojej ławce, opierając czoło na dłoniach. Włosy wydawały się unosić wokół jej głowy jak płonąca aureola, a skóra na dłoniach połyskiwała czerwienią i złotem.

Lakshmi wyszła z ukrycia. Podeszła do nieznajomej. Wiewiórka wyglądała z zaciekawieniem z kieszeni, czujnie poruszając noskiem. Zaraz: czy dłonie tej dziewczynki naprawdę dymią...? Usiadła na krześle naprzeciwko.

– Hej – powiedziała cicho. Całe to przepraszenie było trudniejsze, niż myślała. – Słuchaj, ja cię wcale nie chciałam obrazić. Dla mnie to komplement. Naprawdę nie przepadam za ludźmi. A moja przyjaciółka cię lubi i pomyślałam, że może ty mogłabyś polubić mnie. Głupie, wiem. W każdym razie nie chciałam, by zrobiło ci się przykro. Słowo.

Salomea uniosła głowę i spojrzała na nią zaskoczona.

– Przyjaciółka? – zapytała niepewnie.

Lakshmi odchyliła połę obszernej zielonkawej kurtki, której nie zdejmowała nawet w klasie. Nie mogła ryzykować zostawienia gdzieś okrycia, kiedy w kieszeniach miała całą menażerię. Wiewiórka z zaciekawieniem wyjrzała zza pazuchy.

– Mieszko ją podpalił – wyrwało się Salomei.

Lakshmi pokiwała głową.

– A ty ją uratowałaś.

Dziewczynka zaczerwieniła się po cebulki włosów. Cała jej jasna zwykle twarz pulsowała czerwienią, a milion piegów odcinał się od niej złotą barwą.

– Nikt nie może wiedzieć... Wszyscy ześwirują! Nie możesz nikomu powiedzieć – powtarzała przerażona.

Lakshmi uniosła lewą brew – przybierając wyraz twarzy, który zawsze bawił mamę – i stwierdziła:

– Taaa, bo faktycznie ciągle gadam z ludźmi i dzielę się z nimi każdą nowiną. Nie martw się, nic nie powiem.

Salomea przyglądała jej się uważnie, niepewna, czy może zaufać tej deklaracji.

– Nigdy świadomie nie skrzywdziłabym żywego stworzenia – dodała Lakshmi.

– A człowieka? – zapytała Salomea.

– A czy skrzywdził żywe stworzenie? – odpowiedziała pytaniem bestiarka.

Salomea uśmiechnęła się szeroko i uświadomiła sobie, że może polubić tę dziewczynkę. Pasowała do niej bardziej niż inni w szkole.

– Nie przeszkadza ci, że mam ciemną skórę? – upewniła się Lakshmi, czując na sobie wnikliwe spojrzenie koleżanki.

– Mieszkałam kilka lat w piekle. Nikt tam nie jest tak jasny jak ja. – Salomea wzruszyła ramionami, jakby kolor skóry nie miał dla niej najmniejszego znaczenia. I Lakshmi uświadomiła sobie, że tak właśnie jest.

– Chcesz być moją przyjaciółką? Nie jestem za dobra w tym całym przyjaźnieniu się i nigdy nie miałam przyjaciółki, ale mama mówi, że to bardzo ważne. Wydaje mi się, że jeśli z kimś mogłabym się przyjaźnić, to z tobą – powiedziała otwarcie.

Salomea zamrugnęła zaskoczona. Dora w kółko jej powtarzała, że kiedyś na pewno znajdzie przyjaciółkę, ale Salcia jej nie wierzyła. Kto by się chciał przyjaźnić z kimś takim jak ona? W piekle inne dzieci trzymano od niej z daleka. Wszystkie demony chuchają na swoje pociechy, nieraz przesadnie. Opiekunowie wyjaśnili jej, że to dlatego, że niełatwo urodzić dziecko, kiedy jest się demonem. Oni nie mogli mieć dzieci, więc przygarnęli ją. Gdy o tym mówili, słyszała tęsknotę w ich głosie.

– Musisz zrozumieć, Salciu: oni się boją, że mogłabyś, oczywiście niechcący, skrzywdzić ich maluchy. Kiedy zaczniesz lepiej kontrolować swoje moce, na pewno będziesz się mogła z nimi bawić, ale do tego czasu...

A potem przypadkiem podpaliła ich dom. Przeżyli, odnieśli jednak poważne obrażenia. I nie chcieli już Salci pod swoim dachem. Zamieszkała z Lucyferem, który okazał się dla niej miły, ale był strasznie stary i bardzo zajęty.

– Jak nie chcesz, to nie ma sprawy. I tak nikomu nic nie powiem – stwierdziła Lakshmi, wstając. Zbyt długo czekała na odpowiedź i poczuła się niezręcznie.

Salomea złapała ją za kurtkę.

– Chcę. Też nie wiem jak. Ale Dora mówi, że gdy dwie osoby bardzo czegoś chcą, to już połowa sukcesu – oznajmiła z zapalem.

Lakshmi usiadła z powrotem. Zapytała, kim jest Dora. Salomea opowiedziała o niej i o Mironie, o życiu w piekle i o tym obecnym, w Thornie. Nie wspominała o swoich mocach, a Lakshmi nie naciskała. Przedstawiła Salomei wszystkie swoje zwierzęta. Gdy ta nie skrzywiła się na widok myszy i zaskrońców, zyskała pewność, że się nie pomyliła: ta dziewczynka będzie jej przyjaciółką.

Odtąd siedziały w jednej ławce, a na przerwach razem jadły drugie śniadanie. Salomea nigdy nie wyśmiewała jedzenia Lakshmi, raz nawet zapytała, czy może spróbować chlebka ćapati, bo ładnie pachnie. Sama zwykle miała kanapki z masłem orzechowym lub małe racuszki w pudełku z przegródkami. I nie widziała nic dziwnego w dzieleniu się jedzeniem z myszami, wiewiórkami czy fretką.

Jedno tylko spędzało Lakshmi sen z powiek: okrucieństwo Mieszka i pani Silvany. Nie mogła znieść, że wystarczyła minuta ich gadania, a przyjaciółka garbiła się, zamykała w sobie i ukradkiem ocierała łzy. Jej dłonie pokrywały się wówczas łuskami i zaczynały dymić, co starała się ukryć, wciskając ręce do głębokich kieszeni kurtki.

Lakshmi nie wiedziała, jak jej pomóc. I nie zaprotestowała, kiedy kruki, wrony i gołębnie zbombardowały samochód pani Silvany śmierdzącymi kleksami.

– Celujcie w klamki i szyby – poradziła.

Może było to niewiele, ale miała satysfakcję.

Rozdział 3

Na starym dębie, koło bramy ani na linii wysokiego napięcia nie było choćby jednego ptaka i Salomea od razu się zorientowała, że przyszła do szkoły za wcześnie, a Lakshmi jeszcze nie dotarła. Przypięty do stojaka przy schodach żółto-czarny rower Mieszka utwierdził ją w przekonaniu, że nie ma się do czego spieszyć.

Wolała się nie wychylać. Stojak na rowery był dobrze widoczny z okien, jeśli więc Mieszko wyglądał na zewnątrz w poszukiwaniu ofiary, zauważyłby ją od razu. Dlatego schowała swój rower w krzakach bzu, zaraz przy bramie, a sama przycupnęła na ceglany murku obok, osłonięta zielenią. Miała dobry widok na ulicę i bramę, nie przegapi więc Lakshmi. Czekala.

Miron wczoraj nauczył ją kolejnego ćwiczenia, które miało jej pomóc rozwijać kontrolę nad ogniem, i radził, by trenowała w wolnych chwilach. Przywołała płomyk, nie większy niż opuszka, i przeskakiwała nim z jednego palca na drugi, pilnując, by utrzymywał rozmiar i kolor także wtedy, gdy na niego nie patrzyła. Szło jej naprawdę dobrze!

Przed budynkiem zatrzymywały się kolejne samochody. Rodzice dowozili maluchy, pięcio- i sześciolatki, których jeszcze nie krępowało przytulanie na do widzenia, przesyłanie całusków w powietrzu i machanie. Dzieciaki wbiegały po

wiodących do szkoły schodach z radością i ufnością, więc Salomea wywnioskowała z tego, że Mieszko nie dręczy najmłodszych. Tyle dobrego.

Jedna z dziewczynek, może pięcioletnia, w przeciwdeszczowym płaszczku i kaloszach, z bujnymi jasnymi lokami, popisywała się przed rodzicami – żonglowała pięcioma piłeczkami, nie używając rąk, a jedynie mocy. Dla Salomei to była jedna z tych rzeczy, do których najtrudniej się przyzwyczaić: dla wielu dzieci, może nawet dla większości, magia nie jest ciężarem ani źródłem wstydu, ale powodem do dumy. Dla niej pozostawała czymś, co musiała ujarzmić, by inni mogli ją polubić. Nie myślała o mocy jako o części siebie – jak choćby Lakshmi o swoim talencie do komunikacji i osvajania zwierząt – lecz jak o czymś obcym, niebezpiecznym, wymagającym utrzymania w ryzach, by nikomu nie stała się krzywda. Zazdrościła dzieciom, których magiczne popisy rodzice nagradzali oklaskami i głośnym całusem.

Miron uczył ją kontroli. Nigdy nie powiedział tego Salomei wprost, ale przecież sama się domyśliła, że najlepiej, gdyby ogień po prostu przestał się pojawiać. Diabeł pewnie czekał, jak ona, na pierwszy tydzień, kiedy nawet raz nie zabrzączy alarm dymny. Może wtedy uznają, że mogłaby zostać u nich na stałe...? Rozmarzyła się.

I zdekoncentrowała – nagle płomień na jej palcach sięgnął pół metra w górę. Stłamsiła go natychmiast, rozglądając się nerwowo w obawie, że ktoś był świadkiem jej wpadki. Na terenie szkoły nie miała prawa używać ognia bez opiekuna. Dora i Miron ostrzegali ją też wielokrotnie, że zwykli ludzie, niemający pojęcia o magii, nie powinni oglądać nic, czego nie zdołaliby sobie racjonalnie wytłumaczyć.

Szkołę zabezpieczono zaklęciami ochronnymi; przechodnie mijali ją, nie zwracając na nią uwagi, odwracali głowę, czasami

odruchowo przechodzili na drugą stronę ulicy – tak samo jak przy bramie do Thornu. Jednak niektórzy byli wrażliwi na magię i czuli niepokój, gdy używano jej w pobliżu. No i przecież sam ogień... Niewiele brakowało, by przypadkowy świadek wszczął alarm.

Gdyby nie rozejrzała się w popłochu, pewnie by go nie zauważyła... Oliwkowy samochód stał zaparkowany po drugiej stronie ulicy, dokładnie naprzeciwko bramy, częściowo ukryty za wiatą przystanku autobusowego. Za kierownicą siedział facet i gapił się na budynek szkoły. Jakby zaklęcie na niego nie działało.

Miał w sobie coś, co postawiło Salomei włoski na karku. Nie umiała tego wyjaśnić, opisać słowami innymi niż „ten facet to nic dobrego”. Przez chwilę wydawało się jej, że skądś go pamięta, ale nie potrafiła sobie przypomnieć skąd.

Zauważyła z zaskoczeniem, że na skórze jej dłoni pojawiły się łuski. Dlaczego? Co sprawiło, że poczuła się tak... zagrożona? Nawet jej nie widział – nie mógł jej dostrzec zza ogrodzenia i krzaków bzu. A jednak się przyglądał... Komu?

Usłyszała rower Lakshmi, zanim ta pojawiła się w zasięgu wzroku. Kolorowe koraliki szumiały na szprychach. Salomea opuściła kryjówkę w krzakach i stanęła na podjeździe. Oliwkowy samochód i jego dziwny kierowca wypadli jej z pamięci, kiedy tylko zobaczyła przyjaciółkę.

– Nie uwierzysz, kogo znalazłam po drodze – odezwała się podekscytowana bestiarka.

Rozsunęła plecak, a z wnętrza wyłonił się kudłaty brązowy łupek.

– To... fretka? – Salomea nie była pewna.

– Kuna. Musiałam jej opatrzeć małe skaleczenie na łapce. Nic poważnego i mogłaby spokojnie czmychnąć do lasu, ale

koniecznie chciała ze mną iść... Chyba myszy naopowiadały jej o drugim śniadaniu, bo jest dziwnie podekscytowana.

*

Lekcje mijały spokojnie. Nikt się nie zorientował, że Lakshmi ukrywa w plecaku, a potem w rękawie kurtki kunę, choć ta okazała się nader ruchliwa i ciekawska. Na długiej przerwie dostała kilka suszonych moreli i pestek dyni, co zaspokoilo jej potrzebę towarzystwa. Śmignęła między drzewa, zwinnie umykając przed bawiącymi się na placyku dziećmi. Reszta zwierzaków Lakshmi – tego dnia dwie myszy i wiewiórka – nigdzie się nie wybierała. Na gałęziach ponad głowami dziewczynek przysiadło kilkanaście wron i kruków. Dzięki temu na przerwie miały spokój, bo Mieszko trzymał się od nich z daleka – ptaki rozpoznawały go niezawodnie i starały się, jak mogły, by narobić mu na głowę.

W środy Lakshmi i Salcia nie miały zajęć z panią Silvaną. W dodatku ostatnia lekcja skończyła się wcześniej, bo jeden z chłopaków źle wymieszał składniki eliksiru (Salomea była pewna, że nie przypadkiem) i kłęby czarnego dymu zmusiły panią Gladiolę do otwarcia na oścież wszystkich okien, włączenia głośnego wyciągu i pospiesznego wypuszczenia uczniów na zewnątrz.

Dziewczynki nie miały jeszcze ochoty wracać do domów i się rozdzielać. Zamiast więc wsiąść na rowery, pchały je niespiesznie, rozmawiając. Lakshmi uwielbiała słuchać opowieści Salomei o piekle i jej dziwnym życiu z diabłem i wiedźmą, tym bardziej, że ta kompletnie nie zdawała sobie sprawy, jak niezwykle to są historie. Przekroczyły bramę Thornu i noga za nogą dotarły do kamienicy, w której mieszkali Miron i Dora. Nagle Salomea uświadomiła sobie, że chciałyby,

żeby Lakshmi zobaczyła jej pokój – jej pierwszy, z którego była tak dumna, w którym sama wybrała meble i kolory, jej lampki na suficie i świecące w ciemności gwiazdki na ścianie nad łóżkiem. Zawahała się. Nigdy nie spytała swoich opiekunów, czy może zaprosić kogoś do domu...

– Co jest? – zagadnęła Lakshmi, gdy Salomea umilkła i zaczęła wyłamywać palce.

– Chciałabym cię zaprosić, do siebie, ale... – Urwała i się zaczerwieniła.

– Nie zostawię zwierzaków na schodach, jeśli o to chodzi – zaznaczyła stanowczo Lakshmi.

– Nie o to... Nigdy nikogo nie zapraszałam i nie wiem...

– Ja też musiałabym uprzedzić mamę – zapewniła uspokajająco bestiarka.

– Poczekasz chwilę?

– Jasne, znajdę sobie towarzystwo. – Lakshmi parsknęła śmiechem i spojrzała w górę.

Na wszystkich kablach, parapetach i rynnach siedziały ptaki: kruki, wrony, sójki, kawki, wróble, sroki... Jakby każdy czuł potrzebę powitania jej, kiedy tylko przekroczyła z powrotem bramę do Thornu. Salomea wbiegła na górę, zaczepiając plecakiem o balustradę. Drzwi nie były zamknięte na klucz – czyli ktoś był w środku. Wpadła do mieszkania zadyszana. Miron i Dora siedzieli na kanapie w domowych ubraniach, oglądali RuPaul Drag Race. To znaczyło, że mieli naprawdę dobry humor i dziś nie dokonali żadnych drastycznych odkryć. Dora zawsze wracała przybita i zdenerwowana, jeśli znajdowała w pracy trupy.

Spojrzeli na nią, wykręcając szyje nad oparciem.

– Co tam, kochanie? – zagadnęła Dora, uśmiechając się szeroko.

Salcia odłożyła plecak i podeszła, nieco zawstydzona.

– Czy mogę zaprosić kogoś do mojego pokoju? – zapytała cichutko.

– Oczywiście! Przecież to twój dom, możesz zapraszać, kogo chcesz.

– Lakshmi ma ze sobą zwierzątko – uprzedziła z wahaniem.

Dla Salci zwierzaki były nierozdzielnie związane z przyjaciółką, jednak dorośli miewali inne zdanie. Na przykład pani Gladiola jest bardzo miła, ale kiedy zobaczyła mysz wychylającą się z kieszeni bestiarzy, głośno pisnęła, przyciskając dłonie do mostka, jakby powstrzymywała serce przed ucieczką.

– Nie ma sprawy, tylko uprzedź Lakshmi, że pewnie wyczują tu wilki, więc mogą stać się nerwowe – powiedziała Dora.

Salomea wybiegła z mieszkania w podskokach, a Dora i Miron uśmiechnęli się do siebie.

– Nasza dziewczynka ma przyjaciółkę! – oznajmił Miron z dumą, jakby sam jej tę przyjaciółkę znalazł.

– Zaczynam wierzyć, że robimy dobrą robotę – odparła Dora z westchnieniem.

– Karmimy się złudzeniami. A skoro mowa o jedzeniu: może zrobię pizzę? Chyba wszystkie dzieci lubią pizzę, nie?

– Lizus.

– Chcę, żeby się u nas dobrze poczuła...

– To nie krytykuj, jeśli powie, że chce hawajską – docięła mu Dora.

– Skąd wiesz, że hawajską?

– No nie wiem, lubią się z Salomeą, czyli ma dobry gust, nawet jeśli niestandardowy...

*

Lakshmi przekroczyła próg, nie wiedząc, czego się spodziewać. Jak mieszkają wiedźma i diabeł? Najwyraźniej zupełnie normalnie. Prawie jak rodzina Ravaatich, tylko nie lubią tyłu kolorów. Mama Lakshmi uwielbiała kolory. Co jej przypomniało...

– Muszę tylko zadzwonić do rodziców, będą się martwić, jeśli za pół godziny nie pojawię się w klinice – powiedziała i zaczęła szukać komórki w kieszeni.

Musiała wyjąć wiewiórkę, która spała na jej telefonie. Podała ją Salci, a ta odruchowo wystawiła obie dłonie i przejęła rudy kłębuszek. Lakshmi wybrała numer do mamy, wyjaśniła, gdzie jest, i zapytała, czy może zostać. Mama się wahała. Wiedziała wiele o Salci, bo córka sporo mówiła jej o przyjaciółce, ale o Mironie i Dorze – nic a nic. Zaczęła zadawać pytania, a Lakshmi zaczerwieniła się, czując na sobie spojrzenia gospodarzy.

– Może porozmawiam z twoją mamą? – zaproponował diabeł z uśmiechem.

– Tak będzie lepiej – wydukała dziewczynka i podała mu telefon.

Oczarowanie Savity Raavati zajęło Mironowi kilka minut. Odpowiedział na wszystkie pytania, zadał właściwe. Czy nie ma nic przeciwko, by Lakshmi zjadła z nimi obiad? I czy cierpi na jakieś alergie pokarmowe? Nie, wegetariański posiłek nie będzie najmniejszym problemem. Oczywiście, jeśli zabawa zajmie im dłużej, odwiezie Lakshmi do domu, na pewno nie pozwoli, by jechała po ciemku. Tak, to fantastycznie, że się polubiły. Też się nieco martwił, bo Salcia doszła do klasy w trakcie roku szkolnego... Rozmowa trwała w najlepsze, aż Salcia i Lakshmi czmychnęły do jej pokoju.

Dora z rozbawieniem słuchała tej dorosłej rodzicielskiej pogawędki. Nie spodziewała się, że Miron tak doskonale

odnajdzie się w nowej roli i wraz z matką innej dziewczynki będzie rozważał, czy lepiej współorganizować kiermasz wiosenny, czy może przystać do komitetu przesilenia letniego. Rozmawiali też o nadchodzącej wywiadówce.

Dora nawet nie wiedziała, że Nisim organizuje wywiadówki.

Rozdział 4

Lakshmi wiedziała już, gdzie mieszka Salomea, podjechała więc po nią rano i razem ruszyły do szkoły. Były już prawie na miejscu, miały bramę w zasięgu wzroku, kiedy Salomea zahamowała gwałtownie. Lakshmi zatrzymała się i obejrzała na koleżankę. Coś w jej oczach i minie sprawiło, że bestiarzę przebiegł dreszcz.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Ten samochód, był tu wczoraj. I ten facet... Nie wiem, nie mogę sobie przypomnieć wszystkiego, ale ręce mi się trzęsą, a serce wali. To się musi wiązać z moją przeszłością. Wiele zapomniałam...

Spojrzała na Lakshmi, jakby obawiała się, że ta ją wyśmiejie albo zacznie zadawać wścibskie pytania. Czuła, że kiedyś zechce opowiedzieć przyjaciółce o wszystkim, co przeżyła, ale jeszcze nie teraz. Na szczęście towarzyszka nie zakwestionowała intuicji Salomei. Skupiła całą swoją uwagę na samochodzie.

Zagwizdała, a kruki zleciały się niemal natychmiast, obsiadły kierownicę jej roweru. Głaskała ich lśniące piórka, a one przechylały główki, wyraźnie zadowolone z pieczyoty.

– Miejcie go na oku – powiedziała, wskazując na samochód.

Największy kruk kłapnął dziobem i zaskrzeczał.

– Na razie obserwujcie. Ale jeśli coś nabroi, nie krępujcie się – dodała.

Salomea pierwszy raz zobaczyła chichoczące ptaszyska.

– O co im chodzi? – zapytała niepewnie.

Lakshmi uśmiechnęła się złośliwie.

– Z jakiegoś powodu uwielbiają, kiedy im pozwalam na bombardowanie samochodów. Mogłyby same, bez proszenia, narobić mu na szybę, ale kruki mają dziwne poczucie humoru i dopiero gdy robią to na moje polecenie, zaczyna się zabawa. Nie pytaj.

– Nie będę – odparła Salomea rozbawiona.

Przeprowadziły rowery przez przejście dla pieszych i wjechały na teren szkoły. Przypinały właśnie pojazdy do stojaka, kiedy Mieszko i jego przydupasy, Karol i Mariusz, wytoczyli się ze szkoły w przepychankach. Błyskawicznie skupili na dziewczynkach całą uwagę.

– No proszę, brudaska i przybłęda się zaprzyjaźniły! – zawołał Mieszko, natychmiast przyciągając spojrzenia innych dzieci na dziedzińcu. – Kiedy wreszcie zrozumiecie, że nie ma tu dla was miejsca? Szkoda czasu na uczenie takich ja wy.

– Co cię tak boli, Mieszko? Jeśli jesteś taki dobry, jak myślisz, po co zawracasz sobie głowę mną czy Salcią? – zapytała Lakshmi z przekąsem.

– Bo kradniecie mi czas! – wrzasnął. – Czas, który nauczyciele powinni poświęcić mnie. Za który płacą moi rodzice.

– Ojej, miałaś za słabe oceny na stypendium? – Lakshmi bezlitośnie wbiła mu szpilę. Znosiła go, ale nie mogła zdzierzyć, gdy atakował Salomeę.

– Lepiej uważaj, bo zdechniesz jak tamci. Kulawe kaczątko Dory Wilk zostawiło za sobą ciąg trupów, nie mówiła ci? Powinnaś siedzieć w więzieniu, a nie w szkole! Rodziców też

zabiłaś, że jesteś znajda? – zwrócił się do Salci z paskudnym uśmiechem.

Jego ziomki szybko podłapały i zaczęły skandować:

– Morderczyni, znajda! Morderczyni, znajda!

Salomea zbladła. Nikt nie miał prawa wiedzieć. Dora i Miron o to zadbali. Obiecali, że tylko Nisim pozna prawdę, bo musi...

– Skoro jestem taka niebezpieczna, to ty jesteś odważny czy głupi? – zapytała głucho.

Ale Mieszko nie słyszał. Skakali wokół niej we trójkę i wrzeszczeli:

– Morderczyni, znajda! Morderczyni, znajda!

Salomeę piekły policzki i dłonie, czuła łuski wypełzające na skórę. Wcisnęła ręce do kieszeni i zgarbiła się, próbując zamaskować drzenie.

Lakshmi nie mogła tego znieść. Zagwizdała głośno, a z gałęzi drzew i dachu zleciało się stado wron.

– Nauczcie go rozumu – powiedziała i wskazała Mieszka palcem.

Nie musiała powtarzać dwa razy. Sfrunęły na niego jak czarna chmura pazurów i dziobów, skrzydłami uderzały go po głowie, którą zakrywał przedramionami. Darły się ogłuszająco, nie pozwalały mu uciec.

– To go zajmie na chwilę – szepnęła Lakshmi, ciasno obejmując Salcię, i poprowadziła ją do bramy, wsuwając dłoń w zgięcie jej łokcia.

Salomea, milcząca i zgarbiona, dziwnie blada, oddychała płytko i szybko. Jej piegi były bardziej widoczne niż zwykle, a naelektryzowane włosy zasłaniały oczy. Lakshmi czuła, że z przyjaciółką dzieje się coś niedobrego. I że inni uczniowie nie powinni się o tym dowiedzieć. Nie było czasu na odpinanie rowerów, nie wiedziała zresztą, czy Salcia zdołałaby jechać samodzielnie. Rozejrzała się, szukając spokojnego miejsca

z dała od ciekawskich spojrzeń, i przeprowadziła przyjaciółkę przez ulicę. Kawalek dalej biegły tory – ciągnące się wzdłuż nich zarośla zapewnią im nieco dyskrecji.

– Oddychaj, spokojnie, wszystko będzie dobrze – mówiła tonem, którego nauczyła się od mamy. Savita często używała go wobec rannych i przerażonych zwierząt, które trafiały do kliniki.

Gdy znalazły się na tyle daleko od szkoły, że nikt nie mógł ich zobaczyć, Lakshmi położyła Salci dłoń na ramieniu, a Salcia usiadła na niewysokim murku z żółtawych cegieł.

– On ma rację – szepnęła rudowłosa dziewczynka.

– Kto? Mieszko? – Lakshmi prychnęła. – Nie poznałby racji, gdyby go w dupę ugryzła.

Salcia pokręciła głową.

– Naprawdę zamordowałam ludzi. I skrzywdziłam moich zastępczych rodziców, jeszcze w piekle. Mogłam też zabić rodziców... Nie wiem, miałam wtedy mniej niż trzy lata, ale to możliwe. Jestem potworem i byłoby lepiej, gdybym została w piekle...

Przejęta Lakshmi kucnęła przed przyjaciółką, nie wiedząc, jak ją wyrwać z tego dziwnego stanu.

– Nie jesteś potworem. Wiedziałabym.

– Człowiekiem też nie jestem – odparła Salomea na granicy płaczu.

– I dobrze. Co fajnego w byciu człowiekiem? Nuda. – Lakshmi spojrzała na zaciśnięte w pięści, dymiące dłonie przyjaciółki. – Smoki to coś zupełnie innego – dodała i pogładziła gorące czerwono-złote łuski.

– Nie jestem smokiem – szepnęła Salcia, a wielkie łzy stoczyły się po jej piegowatych policzkach. – Jestem gorsza od smoków.

Jeśli Lakshmi na czymś się znała, to na zwierzętach. Zwyczajnych i magicznych. Przeczytała każdy leksykon, który

wpadł w jej ręce, z taką fascynacją, z jaką inne dzieci czytają książeczki o małych czarodziejach czy grają w gry komputerowe. Przejrzała w głowie rejestry stworzeń, które mogłyby wchodzić w grę. Nie wyczuwała od Salomei nic ptasiego, więc nie feniks, Salcia nie była Azjatką, więc nie smoczy jednorozec, z całą pewnością należała do tego samego systemu co Lakshmi, więc nie mogła być anielicą czy diabolicą...

– Jesteś żywiołkiem? – zapytała spokojnie.

Salomea pokiwała głową, płacząc cichutko.

– Żywioł ognia?

Dziewczynka znów skinęła.

– Salamandra? – upewniła się Lakshmi. – Myślałam, że wyginęłyście...

– Nie rozumiesz? Jestem salamandrą, ludzie nas nienawidzą i nie bez powodu – wyjęczała Salcia, szlochając.

– Przede wszystkim jesteś pięknym, rzadkim i magicznym stworzeniem. Powinnaś być pod ochroną.

– Jestem niebezpieczna...

– Tak, strasznie. Właśnie widzę. Koleś wyzywał cię od najgorszych, a tobie zadymiły ręce. Mordercza salamandra.

– Nie rozumiesz... W kółko odpalam alarmy przeciwpożarowe. Podpaliłam dom demonów, które chciały mnie adoptować... Miron się mną zajmuje wyłącznie dlatego, że jest pyrem i może panować nad moim ogniem. Zaraz będą mnie mieli dość...

– Dorastamy i nie zawsze panujemy nad mocą – powiedziała spokojnie Lakshmi. – Myślisz, że moja mama się cieszyła, kiedy budziła się pośród setek gryzoni, które przywołałam we śnie? Dorośli liczą się z czymś takim, mając magiczne dzieci.

– Ale ja nie jestem ich – zaszlochała Salcia.

– Daj spokój, widziałam, jak na ciebie patrzą – obruszyła się Lakshmi. – Jak mama i tata.

– Miron czuje się odpowiedzialny. Uratował mnie... kilka lat temu, jak byłam mała. Bardzo zły człowiek trzymał mnie w niewoli, w klatce, zmuszał do podpalania rzeczy, domów, czasami z ludźmi w środku – szeptała ledwie słyszalnie, tak że Lakshmi musiała się nachylić.

– Cieszę się, że cię uratowali. I nie jesteś morderczynią. Zapalki nie są winne temu, że ktoś ich użył do podpalenia domu. To idzie na konto tamtego gnoja. Nigdy nie byłam fanką usypiania psa tylko dlatego, że ktoś nauczył go atakowania i zmuszał do walki w klatce. To samo dotyczy smoków i salamander.

Salcia zamrugnęła zaskoczona, a potem rozpląkała się w głos. Lakshmi przysunęła się bliżej i objęła przyjaciółkę. Tulila ją, aż szloch ustał, a dłonie przestały dymić i na powrót stały się gładkie.

– Spóźnimy się na lekcje – wyjąkała salamandra, pociągając nosem.

– Najwyżej pójdziemy na wagary, wielkie mi co – ucięła Lakshmi.

Przez dłuższą chwilę siedziały na murku, rozmawiając o drobiazgach i jedząc jabłka, które bestiarka wyjęła z plecaka. Dzielily się nimi z wiewiórką i myszą, a nawet wronami, które odnalazły je, kiedy Mieszko schronił się w budynku szkoły.

Salomeę ogarnął spokój. Gdzieś w głębi duszy obawiała się, że kiedy Lakshmi się dowie prawdy, nie zechce się już z nią przyjaźnić. Powiedziała jej o tym.

– No co ty. Wiesz, dlaczego mama i tata stwierdzili, że musimy się tu przeprowadzić? – zapytała niewinnym tonem.

– Uznali, że w Thornie przyda się weterynarz? – spróbowała zgadnąć Salomea.

– To później. Najpierw upewnili się, że klimat jest tu zbyt surowy dla rakszas.

Salomea zmarszczyła nos, próbując sobie przypomnieć, skąd zna tę nazwę. A tak, Irmina jej o nich opowiadała, kiedy mieszkała u Luca.

– Rakszasy to demony?

– Właśnie. Niektóre są tygrysopodobne, inne gadzie, jak lamie. Mają też nieznośny pociąg do ludzkiego mięsa. Przeprowadzaliśmy się przez nie kilka razy, aż mama znalazła informacje o Thornie. Tu jest dla nich za zimno.

– Polowały na ciebie? – Zgroza w głosie Salci była niemal namacalna.

Natychmiast pomyślała, że musi zapytać Dorę, jak się zabija rakszasy, gdyby kiedyś jednak przyszły po Lakshmi.

– Na mnie nie, bo się z nimi przyjaźniłam, ale na innych, na mieszkańców naszej wioski i ich zwierzęta domowe, owszem. Niby wiedziałam, że nie powinno tak być, ale też rozumiałam, że są głodne. Mama myślała, że sąsiedzi nas ukamienują.

– Straszne!

– Był też skōlex...

Salomea pytając uniosła brew. Lakshmi wytłumaczyła:

– To takie wielgachne białe robale, dużo zębów, dieta oparta na ludzynie... A potem do wsi zaczęły ściągać nagi, różne rodzaje świętych węży. Przeważnie nie jadały ludzi, ale były wielkie i wymagały ofiar.

– Zaczynam rozumieć, czemu twojej mamie nie przeszkadzają zaskrońce, wiewiórki, myszy czy kruki.

– Tak, uważa, że to postępo tych wszystkich hinduskich potworach.

– A teraz nagle salamandra...

– Dopóki nie zaczniesz pożerać mieszkańców Thornu, wszystko jest OK. Dla mamy jesteś przyjaciółką, o którą się dla mnie modliła. Masz dwie ręce, dwie nogi, nie żywisz się ludzkim mięsem i nie niszczysz całej wsi kichnięciem.

– Mogłabym spalić całą wieś. Wiesz, co mówią o salamandrach. Jesteśmy niestabilne.

– Daj spokój, nigdy nie przegonisz rakszas, one są naprawdę szalone. Nie podpaliłaś nawet Mieszka, choć nie oszukujmy się, zasłużył co najmniej na opalenie brwi.

Salomea się roześmiała.

Wracały niespiesznie do szkoły i nagle Salcia przystanęła, uświadamiając sobie, że zatrzymała się w miejscu, w którym wcześniej parkował samochód z podejrzanym gościem. Przez chwilę nie wiedziała, co właściwie przykuło jej uwagę.

Kucnęła przy stosiku łupinek słonecznika. Zadrżała. Jakiegokolwiek zakłęcie niepamięci nałożyła na nią uzdrowicielka Jemioła, teraz roztrzaskało się jak lustro. Przez kilka sekund była całkowicie oszołomiona, niczego nie słyszała ani nie widziała. Wreszcie zdołała wyjąkać:

– Muszę iść do Nisima...

– Powiesz mu o Mieszku?

Pokręciła głową.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o tym facecie, który trzymał mnie w klatce? Nie był sam. Oni wrócili.

Lakshmi zacisnęła pięści. Zaczęła żałować, że nie ma w okolicy żadnych głodnych rakszas.

Rozdział 5

Sekretarka wpuściła Salomeę, nie robiąc trudności, nie pytała nawet, co ją sprowadza. W szkole Nisima dzieci miały prawo do rozmów z dyrektorem, pedagogiem czy wychowawcą bez konieczności tłumaczenia się. Powtarzali to Salci wszyscy od pierwszego dnia nauki, a dziś pierwszy raz miała okazję się o tym przekonać.

Pani Ludwiczka spojrzała na nią zza grubych fioletowych oprawek i zapytała:

– Słoneczko, chcesz może coś do picia? Wyglądasz trochę blado.

Salcia pokręciła głową speszona. Nic dziwnego, że była blada. Odkąd sobie przypomniała, skąd zna tego faceta i z czym kojarzą jej się łupiny pestek słonecznika, czuła, jakby cała krew odpłynęła jej z głowy, a ta zmieniła się w lekki balonik. Salcia wcale nie była pewna, czy znalazłaby drogę do gabinetu Nisima, gdyby nie Lakshmi.

Pani Ludwiczka uśmiechnęła się ciepło i nacisnęła czerwony guziczek w interkombie.

– Panie dyrektorze, ma pan gościa – zaświergotała.

Nisim niemal natychmiast otworzył drzwi i rzucił sekretarce twarde spojrzenie.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie panem dyrektorem, a potrączę ci z premii – zagroził.

– Czy coś się zmieniło, a ja nie zauważyłam? Czyżby już pan nie był dyrektorem? – Zatrzepotała rękami.

Nisim wymamrotał coś pod nosem, ale nie dyskutował więcej z panią Ludwiczką, bo zdążył się już zorientować, że prawie nigdy nie wychodzi z tych starć zwycięsko. Spojrzał na Salomeę, która stała przed biurkiem sekretarki, z kapturem bluzy naciągniętym na chmurę rudych loków, z dłońmi wciśniętymi w kieszenie i ze spojrzeniem wbitym w czubki czerwonych trampek. Spodziewał się tej wizyty.

– Zapraszam, moja droga. Pani Ludwiczko, przyniesie pani coś do picia? I ciasteczka, jeśli jakieś zostały.

Pani Ludwiczka prychnęła na sugestię, że mogłoby zabraknąć ciasteczek, a Nisim gestem zaprosił dziewczynkę do gabinetu.

Była tu dotąd tylko raz, z Dorą i Mironem, kiedy zapisywali ją do szkoły. Nisim, który prosił wszystkich, by zwracali się do

niego właśnie tak, po imieniu, podszedł do dużego biurka zavalonego teczkami, segregatorami i papierzyskami. W drugiej połowie gabinetu urządził miejsce na rozmowy – z niskim stolikiem, kanapą i fotelami z wikliny. Na ścianach wisiały obrazy i fotografie, pozornie dziwna zbieranina, ale razem zdawały się opowiadać jakąś historię. Salcia odruchowo wbiła wzrok w ścianę, próbując rozgryźć, jaki jest temat przewodni galerii.

Nisim odłożył na bok słuchawkę telefonu, jakby chciał dobitnie zasygnalizować, że jego czas należy tylko do dziewczynki. Odebrał z rąk pani Ludwiczki tacę ze szklankami z sokiem i miseczką wypełnioną ciasteczkami czekoladowymi. Ustawił ją na stoliku i usiadł, czekając, aż uczennica też zajmie miejsce.

Salcia westchnęła ciężko. Trochę żałowała, że tu przyszła. Nie chciała mówić o tym, co ją spotkało. Nie chciała pamiętać. Nisim prawdopodobnie wiedział więcej niż inni – była pewna, że Dora o wszystkim mu powiedziała. Mimo to miała złe przeczucia. Ciarki pełzały jej po karku na wspomnienie faceta w samochodzie.

Przycupnęła na krawędzi fotela. Prawie zjechała z puchatej poduszki, musiała więc sięść nieco głębiej. Przymknęła oczy, szukając odpowiednich słów.

Nisim wyczuwał, jak trudno jest dziewczynce zacząć rozmowę.

– Może będzie łatwiej, jeśli ci powiem, że już wiem, co się stało – powiedział łagodnie.

Zamrugnęła, podnosząc na niego jasne oczy. Zwykle magia trzymała ich barwę za iluzją niebiesko-zielonych refleksów, ale dziś wydawały się bardziej różowe, jakby przez tęczęwórkę przenikały płomienie.

– Jak to? – zapytała niepewnie. Niby skąd? Czy naprawdę, jako szpieg, wiedział wszystko? Słyszała, jak Miron mówił tak do Dory...

– Nie musiałem nad tym zbyt długo dumać. Oczywiście nikt nic nie widział, ale rozumiesz... Cieszę się, że z tym do mnie przychodzisz, to świadczy o twojej dojrzałości. I pamiętaj: to w żadnym stopniu nie jest twoja wina. Raczej moja, Dory i Mirona. Źle oceniliśmy sytuację i może to jeszcze za wcześnie...

Krew gwałtownie napłynęła do policzków Salomei.

– O czym pan mówi!? – zapytała gwałtownie.

– Spokojnie, moja droga. Znaleźliśmy ślady ognia. Nie było żadnych ofiar, więc tyle dobrego...

– Ślady ognia? – powtórzyła, nie rozumiejąc.

– Spaloną mapę w pracowni geograficznej, wypalone dziury w parkiecie w sali gimnastycznej, okopcenia i zwęglenia na ławce w łazience dla dziewcząt – wymienił spokojnie.

– I pan myśli, że to ja? – spytała wzburzona. Krew szumiała jej w uszach, a policzki paliły gorączką.

– A kto inny? – zapytał wprost.

– Nie jestem jedynym dzieckiem w tej szkole, które włada ogniem! – odpowiedziała ostro.

– Ale jedynym, które ma pewne... kłopoty z kontrolowaniem go, prawda? – Starał się być łagodny, ale bezpieczeństwo innych uczniów wymagało od niego, by zajął się tą sprawą i zdusił problem w zarodku, zanim komuś stanie się krzywda.

– Nie przyszło panu do głowy, że to nie ja? I że ten drugi może nie ma problemów z kontrolą, ale jest złośliwy i zrobił to z premedytacją? – Trzęsa się z emocji. Nie powinna krzyczeć, ale nie potrafiła mówić ciszej.

Nisim nie powiedział, patrzył tylko na jej dymiące dłonie, czerwono-złote i pokryte łuskami. Palce zaciśnięte na ratanowej

poręczy zostawiały zwęglony ślad.

Salomea też to zauważyła. Rozprostowała palce i wstała.

– Nie powinnam tu przychodzić – szepnęła.

Nisim czuł, że coś mu umyka.

– Jeśli nie przyszedł tutaj, by przyznać się do wypadków z ogniem, to po co? – zapytał.

Pokręciła głową, a łzy spływały jej po policzkach. Wybiegła z gabinetu, doszczętnie zdruzgotana. Nisim nie zrozumie, już wyrobił sobie zdanie na jej temat. Doświadczyła tego w piekle. I wcześniej. Była potworem.

Wypadła na korytarz, mijając bez słowa panią Ludwiczkę, która wstała zza biurka zaniepokojona trzaśnięciem drzwi.

Lakshmi czekała na Salomeę. Powinna iść do klasy, ale uznała, że lekcja może poczekać. Przyjaźń była ważniejsza i mama na pewno ją w tym poprze, a jeśli będzie trzeba, wypisze usprawiedliwienie. Bestiarka usiadła na parapecie naprzeciwko drzwi do sekretariatu i czekała, majtając stopami. Po drugiej stronie okna siedziało pięć kruków, które zaczęły stukały w szybę.

Szkolny kocur Franio, wielki, rudy i starszy od Lakshmi, wykonał sus, by usadowić się koło niej, ale źle wymierzył odległość i jego tylne łapki młóciły powietrze. Dziewczynka podsadziła go, zanim ciężkawy zadek ściągnąłby go na podłogę. Kot natychmiast zaczął się kłócić przez szybę z krukami, pogłaskała go więc po nastroszonym grzbiecie i wróciła do wpatrywania się w drzwi. Coś było nie tak. Czowała to. Jakby mnóstwo splątanych emocji i ciepła. Odkąd wiedziała, że Salcia jest salamandrą, rozumiała już, dlaczego wyczuwa ją właśnie w ten sposób.

Nagle przyjaciółka wypadła na korytarz. Wściekle czerwona, z dymiącymi dłońmi i łzami na policzkach. Oj, Nisim prosił się o inwazję szczurów... Lakshmi zeskoczyła z parapetu

i natychmiast objęła salamandrę. Pociągnęła ją w głąb korytarza, do łazienki nauczycieli, by nie narażać się na ryzyko spotkania uczniów.

Salomea była wściekła. Straciła kontrolę. W szkole! Po jej palcach pełzały już pierwsze płomyki. Gdy tylko Lakshmi odkręciła zimną wodę, Salcia wsadziła dłonie pod strumień. Woda syczała, a lustro nad umywalką zaparowało.

– I co powiedział? – zapytała cicho bestiarka.

– Nic.

– Nie powiedziałaś mu?

– Oskarżył mnie o podpalenia na terenie szkoły. Liczne.

– Mieszko, ta gnida! – zawołała Lakshmi, a Salcia uśmiechnęła się smutno. Przynajmniej jedna osoba w szkole trzymała jej stronę. Niestety, Nisim i tak pewnie zadzwoni do Dory i Mirona, naskarzy na nią, a oni... Nie będą mieli wyjścia, prawda?

Płakała cicho, połykając łzy.

– I co teraz? – zapytała Lakshmi szeptem, głaszcząc ją po plecach.

Salomea zgarbiła się i powiedziała:

– Pewnie mnie odeślą.

– Gdzie?

– Do piekła. Tam jest miejsce potworów.

– Och, proszę cię, nie bądź melodramatyczna. Nie mogą cię odesłać za coś, czego nie zrobiłaś!

Salomea potrząsnęła głową. Pamiętała tę „poważną rozmowę” z Mironem, kiedy przywiózł ją do Thornu. To tylko test – mówił wtedy – jeśli się okaże, że potrzebujesz więcej czasu albo nie czujesz się tu dobrze, możesz wrócić do domu Luca w każdej chwili. Rozumiała, że chciał ją uspokoić, ale gdzieś z tyłu głowy jego słowa zmieniały się w „możemy cię odesłać w każdej chwili” i zaczynała się trząść.

Nagle drzwi za ich plecami się otworzyły i do środka wkroczyła pani Ludwiczka z czajnikiem w dłoni.

– A co wy tu robicie, robaczki? Nie macie czasem lekcji? Z panią Silvaną ze wszystkich plag na dodatek? Zmykajcie, zanim narobi wam kłopotów.

Miały trzy minuty spóźnienia. Wślizgnęły się do klasy, zajęły miejsca i wyjęły z pulpitów zeszyty oraz piórniki.

Pani Silvana stała tyłem do klasy i z ostrym piskiem kredy rysowała drzewo na tablicy. Nad nim widniał napis: DRZEWO GENEALOGICZNE. Gdy skończyła rysować, odwróciła się zamasyście, z łopotem spódnicy. Wysoka i koścista, z włosami splecionymi we francuski warkocz, obrzuciła klasę uważnym spojrzeniem i otrzepując dłonie z kredy, oznajmiła:

– Dziś dowiemy się czegoś więcej o waszych rodzinach. Opowiecie, skąd pochodzicie, kim są wasi przodkowie, jakie jest wasze dziedzictwo.

Zawiesiła spojrzenie na przyjaciółkach, a w kąciku jej ust zaigrał złośliwy uśmiech.

– A niech to – jęknęły jednocześnie Salcia i Lakshmi, z zupełnie różnych powodów.

*

Wracały do Thornu pokonane. Prowadziły rowery i szurały trampkami, nie rozmawiając przez pierwszy odcinek drogi. W milczeniu, z nosami zwieszonymi na kwintę, przeszły przez most. Dopiero bliżej starówki odetchnęły cicho, jakby dystans dzielący je od szkoły i pani Silvany wreszcie stał się wystarczający, by mogły pozwolić sobie na reakcję.

– To było piekło – jęknęła Lakshmi.

– Wierz mi, tam nigdy nie jest tak źle – odparła Salomea.

– Nie mogliśmy z nią wygrać. – Lakshmi wzruszyła ramionami, nie potrafiła jednak udawać, że jest jej wszystko jedno. – Ale przegięła i zamierzam powiedzieć o tym mamie.

Salomea skinęła głową. Ona... nie zamierzała o tym mówić nikomu. Ciągłe słyszała w głowie pozornie słodki głos pani Silvany.

Nauczycielka rozdała im kartki z diagramem do uzupełnienia – „standardowym schematem normalnej rodziny”. Salomea przez dwadzieścia minut nie zdołała wpisać nic poza swoim imieniem. Nie wiedziała, jak nazywali się jej mama, tata, czy miała babcię i dziadków. Nie miała pojęcia, czy wciąż żyją. Czy ma rodzeństwo? A ciotkę i wujków? Nie wiedziała o sobie nic a nic. Kiedy Miron ją uratował, przez kilka miesięcy intensywnie szukali z Dorą śladów jej rodziny, lecz na próżno. Nie wiedzieli, kiedy i gdzie została porwana, ile miała wtedy lat... Salomea nie pamiętała życia sprzed klatki, więc może porwano ją jako niemowlę? Czy miała zatem uznać za rodzinę swojego porywacza? A może udawać, że to Dora i Miron są jej biologicznymi rodzicami, a Luc dziadkiem? Zgarbiona nad zadaniem połykała łzy.

Lakshmi borykała się z innym problemem. Diagram był mały, tak mały... Zgodnie z poleceniem miała wymienić rodziców, wujków, ciotkę, kuzynów i kuzynki, babcię, dziadków, ba, nawet pradziadków, jeśli żyją... Kłopotliwe.

Owszem, Lakshmi była jedynaczką, ale w jej rodzinie stanowiło to absolutny wyjątek. Mama i tata bardzo chcieli mieć więcej dzieci, jednak u mamy rozwinęła się endometrioza i nie mogła zająć w kolejną ciążę. Sama miała ośmiu braci i sześć sióstr, tata Lakshmi był najmłodszym z jedenaściorga rodzeństwa. Lakshmi naliczyła stu dwudziestu kuzynów plus pięciu w drodze. Dziadkowie żyli. Pradziadkowie też. I prapradziadkowie również. Jej ród, właściwie rody z obu

stron, wywodziły się w prostej linii od dwóch bóstw. Przodkowie bestiarki mogli wyprowadzić swój rodowód osiemdziesiąt pokoleń wstecz, aż do bezpośrednich potomków Lakszmi i Wisznu. Nawet po tylu stuleciach dar długowieczności był w ich genach silny. Gdyby Raavati i Abhijit postanowili urządzić rodzinny zlot na pustyni, powstałoby kilkutyśne miasto.

Pani Silvana wyśmiała je obie bezlitośnie. Żadna z nich nie pasowała do „standardowego schematu normalnej rodziny”. Najpierw z tym słodkim i fałszywym uśmiezkiem zerknęła na pusty diagram Salci. Widniał na nim ślad po zamazanych gumką imionach Mirona i Dory.

– No, nie przesadzajmy. Nie adoptowali cię przecież, prawda? Naprawdę nic nie wiesz o swojej rodzinie? To na pewno straszne: być taką znajdą, przybłądą bez rodowodu... Kto wie, czyje imiona znalazłyby się na twoim drzewie genealogicznym. Musisz się zastanawiać, czy nie ma tam morderców albo złoczyńców... Choć to by wiele wyjaśniało, prawda?

Uśmiechnęła się znów złośliwie i dodała głośniej, jakby zwracała się do całej klasy, choć Salcia wiedziała, że słowa wymierzone są w nią:

– Dziecko adopcyjne staje się częścią rodziny, ale nie dzieli z ojcem i matką krwi ani magii, więc łączy ich kompletnie inna formalna więź. Poza tym nie zapominajmy, że adopcja to proces prawny i formalny. Mieszkanie u opiekunów nie oznacza, że zostało się adoptowanym. Trudno oczekiwać, że każda sierota znajdzie dom i rodzinę, niektóre dzieci są po prostu... zbyt dużym wyzwaniem. Bez urazy, Salomeo. – Spojrzała na dziewczynkę, a w jej oczach zalśniła czysta pogarda.

Potem sięgnęła po drzewo genealogiczne Lakshmi, która starała się, drobiąc literki, uzupełnić je jak najlepiej, ale nie była

w stanie na szerokości kartki pomieścić wszystkich wujków i cioci, o kuzynach nie wspominając.

Pani Silvana parsknęła śmiechem i znów z tą fałszywą słodyczą powiedziała wystarczająco głośno, by wszyscy słyszeli:

– A to ci wyzwanie... Niektóre rodziny całkiem zagubiły poczucie umiaru, mnożą się jak króliki! Powinniście wiedzieć, że już w szesnastym wieku mag Dionizy odradzał posiadanie zbyt licznego potomstwa, bo to najprostszy sposób do rozrzedzania krwi i magii.

Lakshmi, którą nauczycielka zirytowała już uwagami na temat Salomei, tym razem nie wytrzymała i odgryzła się ostro:

– Tam, skąd pochodzę, bogowie wciąż chodzą wśród ludzi, a w rodzinach jest tak wiele magii, że nie muszą się obawiać, że jej zabraknie! Rozumiem, że słabe rodziny mogą sobie pozwolić góra na dwójkę dzieci, ale nie rodziny spokrewnione w prostej linii z Lakszmi i Wisznu.

Pani Silvana zaczerwieniła się i przygryzła wargi. Po sekundzie powiedziała:

– Pogańskie kraje, pogańskie obyczaje.

– Nie przypominam sobie, by istniała katolicka czy chrześcijańska magia – odcięła się znów dziewczynka. – Czy o niej będziemy się dopiero uczyć?

To była, zdaniem mamy Lakshmi, jej wada. Czasami nie wiedziała, kiedy zamilknąć. Tata zwykle dodawał, że dzieje się tak akurat wtedy, kiedy ma rację, ale to rzadko łagodziło konsekwencje pyskówek, w które się wdawała, mieszkając w Indiach. Tu dała sobie kilka miesięcy na oswojenie się ze szkołą. Ale wszystko miało swoje granice.

Nauczycielka zaczerwieniła się jeszcze bardziej. Nie zauważyła nawet, że zgmiotła kartkę z diagramem Lakshmi.

Zadzwoił dzwonek i dziewczynki poczuły się uratowane. Szybko zgarnęły swoje rzeczy i już zbierały się do wyjścia,

chcąc opuścić pomieszczenie przed bandą Mieszka, ale nauczycielka zawołała Salomeę do swojego biurka. Lakshmi, przeczuwając, że przyjaciółkę czekają nieprzyjemności, postanowiła poczekać. Uczniowie wychodzili z klasy, żartując sobie z „rodziny królików”. Lakshmi usłyszała jeszcze: „Może dlatego zwierzęta do niej ciągną, bo jest jak królik?”. Zacisnęła zęby.

Pani Silvana spoglądała na Salomeę z udawaną troską, a potem, gdy zostały same, powiedziała:

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli przestaniesz żyć złudzeniami. To niezdrowo. Fantazjowanie, że wnuk Lucyfera mógłby cię adoptować, jest po prostu absurdalne. To za dobry rodowód, by ktoś ryzykował wprowadzanie do niego takiego... bałaganu. Rozumiem, że wątpliwa reputacja Dory Wilk mogła podsunąć ci podobny pomysł, ale na dłuższą metę to tylko złamie ci serce. Jest coś, czego nie mówi się dzieciom w twojej sytuacji... – Udała, że się waha, odmierza słowa, a potem uderzyła na odlew. – Ludzie miewają nieudane potomstwo, są jednak zaprogramowani tak, by je kochać. Tyle że to nie dotyczy znajd. Jeśli ktoś może wybrać dziecko spośród wszystkich innych pozbawionych domu, skąd pomysł, że nie wybierze bezproblemowego, z którego może być dumny? Nikt nie chce kulawych kaczątek.

Salomea garbiła się z każdym kolejnym zdaniem. Łzy spływały jej po policzkach. Nie umiała nic powiedzieć, odgryźć się, odpyskować. Nagle Lakshmi pojęła, że przyjaciółka wierzy tej okrutnej babie!

Właśnie dlatego uwolniła swoją menażerię. Wiewiórka i dwie myszy śmignęły w dół nogawek, po lśniącem parkiecie dotarły do nóg opartej o biuro pani Silvany i synchronicznie zatopiły zębki w obleczonej w beżowe rajstopy kostkach nauczycielki.

Kobiet z wrzaskiem skoczyła na krzesło i grubym dziennikiem zaczęła się opędać od zwierzaków. Lakshmi złapała za uchwyt plecaka Salci i pociągnęła ją do wyjścia. Na progu schyliła się i pozwoliła myszom i wiewiórcie wdrapać się po rękawie na swój bark. Dziewczynki zostawiły wrzeszczącą, stojącą na krześle nauczycielkę, która wciąż rozglądała się po podłodze, wypatrując agresorów.

Wybiegły ze szkoły i odpięły rowery. Powinny jeszcze iść na wf, ale jednomyślnie doszły do wniosku, że byłoby to kuszenie losu i powinny czym prędzej opuścić strefę wpływów pani Silvany. W pierwszych chwilach miały energię, zaśmiały się nawet, mijając bramę szkoły, ale potem... Z każdym krokiem słowa nauczycielki zdawały się głębiej i głębiej zatapiać szpony w ich duszach.

Prowadziły rowery, szurały trampkami i czuły, jak wszystko, co dziś usłyszały, przygniata je coraz bardziej. Lakshmi zdołała otrząsnąć się z tego, co Silvana mówiła o jej rodzinie. Miała ciotce i wujków, kuzynów i pradziadków, którzy kochali ją, mimo że była odrobinę dziwna, nawet jak na standardy Raavatich.

Abhijitowie, z których wywodziła się mama dziewczynki, z dziwnością byli za pan brat. Władali magią pochodzącą od bogów, chaotyczną i nieprzewidywalną. Któreś było zmiennokształtnym, inne derwiszem, inne przejawiało cechy dzina albo – jak Savita – potrafiło zaklinać dziny kołysankami i haftować wzory chroniące przed ich złośliwością. Kiedy więc w rodzinie pojawiła się bestiarka, nikogo to szczególnie nie zaskoczyło.

Lakshmi wiedziała, że jest dziwna, ale postrzegała tę dziwność jako cechę wspólną ze swoimi przodkami. Nie miała wątpliwości, że gdyby wyznała babci, Sarei Ahbajit, że nauczycielka drwiła z jej dziedzictwa, ta wykorzystałaby dar

zsyłania koszmarów i przez kolejnych dwadzieścia lat pani Silvana nie przespalałaby spokojnie ani jednej nocy.

Dziewczynka zorientowała się jednak, że Salomea postrzega siebie inaczej. Przypominała drzewo pozbawione korzeni. Wiatr przygiął ją do ziemi i prawie złamał. Lakshmi bardzo chciała jej pomóc, ale nie wiedziała, w jaki sposób. Idąc obok niej, czuła smutek i nieoczekiwane zimno. Salomea zawsze była obecna w głowie Lakshmi jako ciepły żar, podmuch pustynnego wiatru. Skąd więc chłód?

– Ona ma mało magii, dlatego jest zazdrosna – powiedziała w końcu.

– Skąd wiesz? – zapytała cicho Salomea.

– Zauważyłaś jej naszyjnik? Jak na kogoś, kto ma problem z magicznymi z Indii, dziwnie chętnie nosi „oko Sziwy”. Ten symbol to swego rodzaju bateria, jest popularny wśród tych, którzy urodzili się tylko z odrobiną magii, bo dzięki niemu mogą trochę czarować. Ja czy ty nie byłybyśmy w stanie go nosić.

– Dlaczego?

– Jesteś żywiołkiem, magią wcieloną. Jak powiedziałby mój pradziadek dżin: magią, która uczy się być człowiekiem. Zbyt potężną, by zdołał cię okiełznać amulet. A ja, cóż, byłam bestiarką, zanim się urodziłam. Moją mamę doprowadzało to do szału, bo zasypiała koło taty w łóżku, a budziła się otoczona zwierzakami, które przemknęły do domu. W Polsce nie ma zbyt wielu węży i jadowitych pajaków, w Indiach i owszem... Nigdy nie zrobiły mamie krzywdy, ale i tak tego nie znosiła. Nie musiałam się uczyć magii, jedynie kontroli nad nią, by nie przywoływać każdego gryzonia, ptaka czy kota w okolicy. No i rakszas... one były dosyć problematyczne.

– Potrafisz z nimi wszystkimi rozmawiać? – zapytała Salomea, jakby nieco spokojniejsza, ale wciąż zbyt cicha, zbyt chłodna.

– To zależy od stopnia ich rozwoju. Ale przyciągam je. Czuję. A one często mnie słuchają, zwłaszcza kiedy i tak chcą coś zrobić. Jak dziś: wiewiórka marzyła o ugryzieniu pani Silvany, więc nie musiałam jej namawiać. Tylko psy nie lubią słyszeć mojego głosu w głowie i trzymają się na dystans.

Szły przez chwilę w ciszy. Wreszcie Lakshmi odezwała się znowu:

– Silvana nienawidzi nas, bo nam zazdrości. Gdyby jej obiecać, że kiedy stanie się tak brązowa jak ja, otrzyma mnóstwo magii, zamieszkałaby w solarium.

Przeszły przez bramę między Toruniem a Thornem. Żadna z nich nie musiała specjalnie koncentrować się na inkantacji. Brama rozpoznawała je jako magiczne.

Lakshmi odprowadziła Salomeę do domu, a potem wsiadła na rower i pojechała do siebie. Nie była pewna, czy to, co powiedziała, wystarczy, by uspokoić przyjaciółkę, nie podobało jej się też, jak zmieniła się w jej głowie sygnatura Salci. Coś się działo, a ona nie wiedziała, jak temu zapobiec.

Mogła poprosić każdego ptaka w tym mieście, by nasrał na przednią szybę samochodu pani Silvany, ale to było rozwiązanie krótkoterminowe. Musiała znaleźć inne. Inaczej zostanie jej pogawędka z jednym z jadowitych pajaków, które przywiozła z Indii, a o których mama wciąż nie miała pojęcia.

Rozdział 6

Salomea wchodziła po schodach z ociąganiem. Kwestią czasu było, kiedy Nisim zadzwoni do Mirona czy Dory. Gdyby Joshua nie wyjechał na kilka tygodni, już by wiedzieli, co się działo w szkole.

Nacisnęła kławkę i cicho weszła do środka. Nasłuchiwała.

– Salcia? To ty? – usłyszała głos Mirona.

– To tylko ja! – odkrzyknęła.

Miron wyszedł z kuchni, wycierając ręce o ściereczkę.

– Masz świetne wyczucie, obiad prawie gotowy.

Salomea uśmiechnęła się blado i pokiwała głową. Nie była głodna. Właściwie była, ale nerwy ścisnęły jej żołądek w supełek. Miron nie wyglądał na zmartwionego czy zirytowanego, więc Nisim chyba jeszcze nie dzwonił.

– Dora powinna być za godzinę, wysłała wiadomość, że już się zwijają.

– Ciągłe badają gniazda kelpie? – zapytała cicho dziewczynka.

– Nie inaczej. Wróci marudna i zziębnięta, więc gotuję pikantną zupę z soczewicy...

Salcia nie potrafiła się skupić na radosnym potoku słów. W tyle głowy ciągle słyszała słowa pani Silvany. Mogła uwierzyć, że nauczycielka zazdrości magii jej czy Lakshmi, zwłaszcza kiedy przyjaciółka wyjaśniła działanie amuletu, ale to nie zmieniało istoty rzeczy: Salcia była podrzutkiem, dzieckiem zbyt uciążliwym i wybrakowanym, by móc liczyć na to, że ktoś je wybierze. Sprawia problemy, nawet jeśli z całych sił stara się ich nie sprawiać.

Kiedy o tym myślała, coś w niej obumierało. Zimno rozrastało się w jej piersi, jakby serce zmieniało się w sople lodu. Bliska płaczu, zamrugła szybko, zanim Miron cokolwiek zauważył. Wymknęła się do łazienki, umyła ręce i twarz.

Wróciła do kuchni, usiadła przy stole i podpierając głowę na ręce, obserwowała opiekuna. Lubiła sobie wyobrażać, że jest jej tatą. W pewnym sensie był taki jak ona, ognisty. Wiedziała też, że jasna cera, rude włosy i piegi upodabniają ją trochę Dory. Marzyła, by to ich twarze widniały w drzewie genealogicznym ponad jej... ale to tylko fantazja, prawda? Sama siebie oszukiwała.

– Hej, kochanie, coś cię martwi? – zapytał Miron, siadając naprzeciwko dziewczynki.

Pokręciła głową.

– Coś się stało w szkole?

Wypatrywała w jego oczach śladu, że może już wie, bo Nisim zadzwonił, ale nie znalazła. Postanowiła zdradzić część prawdy.

– Robiliśmy dziś na lekcji drzewa genealogiczne.

Zrozumiał od razu. Współczucie odmalowało się na jego twarzy, ale nie wiedział, jak pocieszyć dziewczynkę. Szukali – on, Dora i Luc przekopywali rejestry, sprawdzali każdy trop, ale bez rezultatu. Luc podejrzewał, że co najmniej jedno z rodziców Salomei było salamandrą i ze względu na fatalną reputację i prześladowania postanowiło się ukrywać. Niewykluczone też, że facet, który ją porwał, pozbawił ich życia i stąd brak zgłoszenia o porwaniu... To jednak nie pocieszało małej dziewczynki, której kazano uzupełnić drzewo genealogiczne.

Usłyszeli głośne tupanie na schodach, a chwilę potem mamrotane przekleństwa w korytarzu. Dora wparowała do mieszkania w obłoku bagiennego smrodu. Pobieгла prosto do łazienki, a minutę później usłyszeli szum prysznic.

– Wiesz co, a może po obiedzie pójdziemy poćwiczyć? Zobaczmy, jak duży krąg ognia jesteś w stanie utrzymać. Co ty na to? – zaproponował, bo to jedno zawsze zdawało się poprawiać humor Salci. O ile kontrolowanie ognia i pilnowanie, by nie pojawiał się nieproszony, kosztowało ją sporo wysiłku, o tyle uwalnianie go było czystą przyjemnością.

– Nie, nie dziś – powiedziała cicho ze spuszczoną głową. – Jestem zmęczona. Położę się po obiedzie, boli mnie głowa.

– Chyba nic cię nie bierze? – zapytał, pochylając się nad stołem i przykładając dziewczynce dłoń do czoła.

Uśmiechnęła się. Nigdy nie chorowała, przez całe życie nie zdarzyło się to ani razu, ale Miron, a w piekle Irmina, często uważali, że rozkłada ją grypa. To dlatego, że temperatura jej ciała na co dzień wynosiła prawie czterdzieści stopni, co utwierdzało opiekunów w przekonaniu, że jest rozpalona.

– Nie spałam ostatnio zbyt dobrze – przyznała.

– Koszmary? – zapytał tylko Miron.

– Też. Ale nic mi nie jest, naprawdę.

Przyjął to do wiadomości, choć widziała, że wciąż jest niespokojny.

Dora weszła do kuchni w czystych dresach i koszulce, wyciskając włosy w ręcznik.

– Nienawidzę tego kelpie – jęknęła i opadła na krzesło.

Ostatnich osiem godzin spędziła na przegrzebywaniu wypełnionego szlamem gniazda rzeczno-rozbojnickiego. Po tym, jak znalazła tam szczątki zaginionej dziewczynki, do akcji wkroczyła Bogna, która szybko odkryła ludzkie kości. Musieli więc przekopać kawał dna, wyłowić wszystkie dowody, policzyć, do ilu osób należały... Wyglądało na to, że stwór pływał poniżej radaru i działał od dłuższego czasu. Technik Dory przeglądał raporty o zaginionych dzieciach z ostatnich dziesięciu lat.

– Oszczędź nam szczegółów przed jedzeniem. – Miron mrugnął do Salci.

Uśmiechnęła się, słysząc niedawne słowa Gabriela. Ostatnio archanioł był u nich na kolacji i nieopatrznie zapytał Dorę, nad czym teraz pracuje, a ona opowiedziała mu ze szczegółami.

Rozmowa przy obiedzie się rwała. Dziewczynka, zamyślona i przybita, nie słuchała zadawanych jej pytań, a na te, które do niej dotarły, odpowiadała zdawkowo. Zjadła zaledwie połowę porcji, wymówiła się bólem głowy i poszła do swojego pokoju.

Słyszała, o czym mówią Miron i Dora... Docierały do niej tylko pojedyncze słowa, ale rozumiała kontekst.

Może za wcześnie dla niej na szkołę? Wiedziała, że alternatywą jest piekło. Znow zaczęła płakać, przyciskając twarz do poduszki. Nawet nie zauważyła, że tym razem, mimo zdenerwowania, jej dłonie nie zaczęły dymić. Chłód opanował nie tylko jej serce.

Dzwonek telefonu sprawił, że ścisnęło ją w żołądku jeszcze bardziej. Wiedziała, że to Nisim, po prostu wiedziała. Spodziewała się, że Miron lub Dora, może oboje, przyjdą do niej zaraz, by wytłumaczyła się ze swojego zachowania. Ale zamiast tego rozmawiali cicho w kuchni.

Potem słyszała, jak Dora wychodzi. Zatrzasnęła drzwi i zbiegła po schodach jak stado koni. Salcia zacisnęła oczy i naciągnęła kołdrę na głowę. Gdyby tylko mogła być normalną dziewczynką, bez żadnej magii, zwyczajną i grzeczną, może wtedy pozwoliliby jej u siebie zostać...

Dora wróciła po kilkunastu minutach. Chwilę później zapukała do pokoju Salomei.

– Salciu, mogę wejść? – zapytała cicho.

Salomea wiedziała, że gdyby nie wyraziła zgody, Dora uszanowałaby jej decyzję. Ale zraniłoby to jej uczucia.

– Możesz – zawołała spod kołdry.

Dora weszła więc i przytknęła drzwi. Usiadła na łóżku, koło zagrzebanej w pościeli dziewczynki, i pogłaskała ją po wystającej spod kołdry łydce.

– Chcesz pogadać? – zapytała.

Salomea nie była pewna.

– Nie popieram łapówek, ale... mam rurki z kremem. Z cukierni pani Mariolki – usłyszała.

Parsknęła wbrew sobie.

– Wiem, że słodycze nie rozwiązują problemów, ale zawsze łatwiej się uporać z kłopotami razem, zagryzając je rurką z kremem – dodała poważna Namiestniczka Thornu, szeleszcząc papierowym opakowaniem.

Dziewczynka się roześmiała, choć chwilę wcześniej wcale nie miała na to ochoty. Ale rurki z kremem nie były zwykłym ciastkiem. Łączyła się z nimi ważna historia.

Przypomniało jej się, jak po pierwszych kilku dniach w szkole wróciła do domu wściekła i rozżalona. Wparowała do pokoju, gdzie Dora siedziała na podłodze zagrzebana w aktach jakiejś sprawy, i wyrzuciła z siebie z gniewem:

– Czemu mi nie powiedziałaś, że wyglądam jak dziwadło? Wybryk natury?

Dora patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami i zapytała:

– Na Boginię, a wyglądasz? Co się stało?!

Salomea zamasyście wskazała na swój strój. Stała przed Dorą w czarnych aksamitnych bryczesach ze srebrnymi guzikami, również aksamitnym kubraczku z bufiastymi rękawkami i czerwoną lamówką przy kołnierzyku oraz czerwonej koszuli ze stójką i żabotem.

– Czy ja, twoim zdaniem, wyglądam jak normalne dziecko? – zapytała Salcia. Tego dnia dzieci w szkole uświadomiły ją, że ubiera się jak dziwadło z horroru.

– Moim zdaniem wyglądasz fantastycznie, masz styl!

– Nie mam stylu! Mam ubrania z horroru!

– To przesada. Może z gotyckiego romansu, ale nie z horroru – zaprotestowała Dora.

Najgorsze, że Salomea sama sobie wybrała te ciuchy. Krawiec Luca przyszedł do niej z grubym próbnikiem tkanin oraz oprawionym w skórę katalogiem fasonów, krojów i modeli, po czym przez kilka dni ustalali, czego potrzebuje mała dziewczynka w piekle. I faktycznie, tam zadawała szyku. Lecz

od kilku miesięcy mieszkała z powrotem między ludźmi, w Thornie, i nikt się nawet nie zająknął, że odstaje wyglądem. A gdy poszła do szkoły, tak bardzo chciała się wpasować! Pragnęła, by dzieci ją polubiły, nie zaś wytykały palcami, śmiejąc się, że wygląda jak diabeł Rokita. Tak, tak właśnie ją nazwali. Salomea nigdy nie poznała Rokity i nie wiedziała, jak się ubiera, ale docinki nie pozostawiały wątpliwości. Gdy sobie przypomniła, jak uczniowie wyśmiewali ją i pokazywali palcami, choć przecież czuła się tak elegancko, oczy jej się zaszklily.

Spanikowana Dora zerwała się z dywanu.

– O nie, nie, kochana, nie płaczemy. Wzywamy pomoc! – Wygrzebała komórkę spod papierów, wybrała numer i zawołała do słuchawki: – Kod Czerwony, alarm, powtarzam: alarm, jestem koszmarną opiekunką, ratuj!

Po czym się rozłączyła.

Salomea patrzyła na nią zaskoczona. Dziwna reakcja, nawet jak na Dorę.

– Do kogo dzwoniłaś? – zapytała wtedy.

Dora się zaczerwieniła.

– Do Katii – przyznała. – To moja przyjaciółka, zna się na takich rzeczach, więc ustaliłyśmy, że w razie potrzeby przyjdzie mi z odsieczą. Spójrz na mnie: czy ja wyglądam na kogoś, kto nadaża za modą? – Wskazała na swoją spraną rozciągniętą koszulkę z logo Led Zeppelin i złachane dzinsy.

Z perspektywy czasu Salomea wspominała dzień spędzony z Katią jako jeden z najmiłszych w życiu. Katia była zabawna. I nie panikowała jak Dora. Obrzuciła uważnym spojrzeniem zawartość szafy i orzekła:

– Dziewczyno, to naprawdę fantastyczne ciuchy. Świetna jakość, dobre krawiectwo, ponadczasowy styl i wycucie koloru. Być może jednak są odrobinę zbyt ekstrawaganckie na plebejski

gust przeciętnych dzieciaków. To wiek uniformizacji, stąd popularność mody sieciówkowej, zwłaszcza że większość uczniów Nisima mieszka po tamtej stronie bramy... Wybór należy do ciebie, ale na twoim miejscu nie ruszałabym garderoby i poczekała, aż pozostali przywykną, że jesteś nieco inna.

– Nie wiem, czy chcę być aż tak inna – szepnęła wtedy Salcia.

Czuła się odmieńcem i bez wyróżniających się ubrań. Do niedawna żyła w piekle, ukrywała, jaką włada magią, chodziła na dodatkowe lekcje i pozostawała objęta specjalnym protokołem bezpieczeństwa, o którym wiedzieli nie tylko nauczyciele, lecz także uczniowie. Rozniosło się też, że mieszka z diabłem i Namiestniczką, i nie wszystkim się to podobało. Salcia ponad wszystko chciała się wtopić w tłum.

– To mamy dwie opcje: łączenie twoich ciuchów ze standardowymi albo wymiana całości. Moim zdaniem szkoda tych pięknych ubrań. Zwłaszcza jeśli wybrałaś je sama, bo ci się podobały. Nie musisz ich nosić do szkoły, jeżeli nie chcesz, ale możesz je wkładać poza nią – zaproponowała Katia.

Poszły we trzy na zakupy. Katia pomagała Salci wybierać koszulki, dzinsy, legginsy i tuniki. Dora zachwyciła się skórzaną ramoneską w rozmiarze w sam raz na Salcię, a Katia wspaniałomyślnie uznała, że to dobry wybór, jeśli Salci się podoba. Podobała się, i to jak. Podobne mieli Dora i Miron. Kupiły mnóstwo ubrań, a do tego czerwone trampki, światełka nad łóżko i nowy plecak.

Po wszystkim wstąpiły do cukierni pani Mariolki, gdzie rozmawiały, żartowały, śmiały się i zajadały się rurkami z kremem, z których słynął lokal. Były jak wykrzyknik na końcu pięknego zdania.

Właśnie dla tych rurek z kremem Salomea wygrzebała się spod pościeli i z wciąż zapuchniętą od płaczu twarzą

zapytała:

– Nisim do ciebie dzwonił, prawda?

– Dzwonił – przyznała Dora.

– Ja nic nie podpaliłam, przysięgam! Czasami ciężko mi utrzymać ogień, ale nic nie spaliłam! – wybuchnęła dziewczynka.

– No jasne, że nie.

– Wierzysz mi?

– Kochanie, jeśli mówisz, że nie spaliłaś, to oczywiście, że ci wierzę. Gdybyś miała kłopoty z ogniem, powiedziałaabyś przynajmniej Mironowi, prawda?

Skinęła głową.

– Nisim mi nie uwierzył – szepnęła ze smutkiem.

– Nisima stać na więcej niż takie amatorskie dochodzenie. Co mu zresztą powiedziałam.

Salcia rzuciła się Dorze na szyję i znów zaczęła płakać. Ale to już były zupełnie inne łzy. Dora tuliła dziewczynkę, głaszcząc ją po plecach i walcząc z uciskiem w gardle.

– Przepraszam, słonko – wyszeptała wiedźma.

– Za co? – wymamrotała dziewczynka z twarzą w jej szyi.

– Powinnam być dużo lepsza w tej roli, no wiesz, twojej prawie mamy.

– Jesteś dobra. Żadnych czerwonych alarmów – odparła Salcia, lekko się odsuwając.

– Przegapiam tak dużo. Ciągłe jestem w pracy. Obiecywałam sobie, że to się zmieni, ale...

– Ludzie uparcie umierają – dokończyła Salomea z emfazą.

Dora mogłaby przysiąc, że mała naśladuje Gabriela. Miał na jej dziecko zły wpływ, bez dwóch zdań. Parsknęła śmiechem.

– To dlatego nie chciałaś dzieci? – zapytała dziewczynka poważnym tonem.

Kto jej o tym powiedział? Luc? Gabe? Jeszcze inny jęzor, który za dużo mieli?

– Nie sądziłam, że w moim życiu jest dla nich miejsce. A na pewno nie było miejsca na ciążę i niemowlaka. Już to widzę, jak apokalipsy czekają cierpliwie w kolejce, aż moja pociecha osiągnie wiek co najmniej przedszkolny. Dlatego dobrze się złożyło, że nie jesteś niemowlakiem. Choć i tak powinnam znaleźć dla nas więcej czasu.

– Nawet kiedy cię nie ma w domu, jest tu Miron. Jesteście zespołem, tak powiedział.

– I miał rację. Ale myślę, że potrzebujemy własnego rytuału – stwierdziła Dora. – Opartego na rurkach z kremem. Z nimi wszystko jest lepsze.

Salomea przytaknęła. Gdzieś z tyłu głowy słyszała głos pani Silvany, powtarzający, że nie ma co się cieszyć na coś, co się skończy, nim się na dobre zacznie, ale nie chciała o tym teraz myśleć.

– Słyszałam, że kiepsko poszło ci z drzewem genealogicznym – zagadnęła Dora.

Pokiwała głową, ale nie chciała o tym mówić. Bolało za bardzo.

– Mnie też to kiepsko wychodziło. Moi rodzice i dziadkowie byli w pełni ludźmi, więc z badania magicznego rodowodu wiele mi nie wyszło. Najśmieszniejsze, że gdy już jako dorosła spotkałam swoją praprapra... wiele razy praprababcie, okazało się, że aby namieszać w życiu i genach, nie trzeba się mieścić w diagramie drzewa genealogicznego. Ba, to, kim jestem, wynika w dużej części z moich relacji z osobami, które by się w diagramie nie pojawiły. Rodzina i magia to nie tylko krew. Mamy ogromną rodzinę, kochanie, a drzewo genealogiczne jest zbyt prymitywnym narzędziem, by o niej opowiedzieć – mówiła Dora, odpakowując rurki z kremem.

Wzięła jedną, a resztę podsunęła Salomei. Dziewczynka zaczęła wysysać słodkie nadzienie z kruchego ciasta, zbierając się na odwagę. Musiała powiedzieć Dorze to, co zamierzała Nisimowi, zanim ją oskarżył o podpalenia.

– Pamiętam. To, co Jemioła zamknęła w mojej głowie, wróciło...

Dora zamarła. Jemioła ostrzegła ją, że może się to zdarzyć. Prawdopodobnie tego dotyczyły dręczące dziewczynkę koszmary.

– Czy stało się coś, co otworzyło bramę do tych wspomnień? – zapytała cicho.

Salomea pokiwała głową i zaczęła opowiadać:

– Kilka dni temu widziałam faceta. Siedział w samochodzie, obserwował szkołę, nie przywiózł nikogo, po prostu się gapił. Wystraszył mnie, choć nie wiedziałam dlaczego. A potem sobie przypomniałam. On był kolegą Herostratesa. – Po raz pierwszy od bardzo dawna użyła imienia swojego dręczyciela.

– Też chciał, byś coś podpałała?

– Nie. On chciał zupełnie czegoś innego... Podpalałam go, gdy próbował mnie dotknąć, w końcu odpuścił. Ale nie wszystkie dzieci stają w ogniu, by odstraszyć takich jak on.

– Jesteś pewna, że to ten drań?

Salomea pokiwała głową i opowiedziała o łupinach słonecznika i przeczuciu, które ogarnęło ją na jego widok.

– Powiem o tym Nisimowi. Jeśli znów zobaczysz typa, dzwoń do mnie natychmiast. I zapisz numer rejestracyjny samochodu, a Bjarke od razu zacznie go szukać. Jutro muszę zamknąć sprawę kelpie, ale potem jestem do twojej dyspozycji.

Salomea uwierzyła jej bez wahania. Dora była profesjonalną ratowniczką świata, tak mówił Joshua. I dobrze, bo ich świat raz po raz wymagał, by go ocalić.

Dora zgrzytnęła zębami, jak zawsze, gdy jej wilczyca znajdowała się płytko pod skórą.

– Dopadnę dupka, powyrywam mu nogi z dupy i już nikogo nie skrzywdzi! – Zaraz pokręciła głową, wyraźnie zawstydzona, i powiedziała: – Mam przecucie, że twój psycholog zrugałby mnie za takie postawienie sprawy. Wydaje się wyczulony na tego rodzaju niuanse.

– Lakshmi powiedziała, że ogranicza go jego własne wyobrażenie o normalności. A żadna z nas nie jest normalna.

Dora parsknęła śmiechem.

– Nie mówię, byś ukrywała cokolwiek przed swoim psychologiem, ale to jedno możesz pominąć. Będzie spokojniejszy. Tulas? – zapytała.

– Jeden czy dwa się znajdą – odparła dziewczynka i znów uściskała Dorę.

Gdyby tylko to mogło trwać zawsze, szeptał głosik jej w głowie. Będzie za tym tęskniła, kiedy odeślą ją do piekła.

Rozdział 7

Żadnej z nich nie spieszyło się do szkoły, zwłaszcza że pierwsze zajęcia miały z panią Silvaną. Ptaki chyba wyczuwały emocje swojej przyjaciółki, bo krążyły nerwowo nad głowami uczennic, przysiadły na parapecie i na gałęziach drzew i biły skrzydłami powietrze, skrzecząc i kracząc.

Dziewczynki przypinały rowery do stojaka, kiedy usłyszały histeryczny wrzask. Lakshmi rzuciła się w stronę dźwięku, za budynek szkoły, a Salomea pobiegła zaraz za nią. Słyszała coś więcej – szept ognia, jego słodką, kuszącą pieśń. Wciąż był głodny i dopiero się rozpędzał!

Lakshmi dotarła na miejsce jako pierwsza. Nie mogła uwierzyć, że Mieszko posunął się do czegoś takiego! Podniosła kamień z ziemi, zacisnęła na nim palce, gotowa tłuc nim w czaszkę chłopaka, aż pęknie. Wrzasnęła jak dzikie zwierzę, czując strach i potworny ból kota, którego ten zwyrodnialec związał i podpalił! Ten gnój się śmiał! Kilkoro z jego popleczników stało za nim, niektórzy wydawali się nieco niepewni, inni świetnie się bawili.

Lakshmi opadła na kolana i na czworakach próbowała się zbliżyć do skulonego zwierzęcia. Było oszalałe z bólu, niezdolne, by ją zauważyć czy usłyszeć.

Salomea uklękła obok i wchłaniała ogień, a jednocześnie, jakby podświadomie, otoczyła ich trójkę wysokim na metr płonącym kręgiem ochronnym.

Mieszko się wściekł. Zrobił krok w ich stronę i spróbował przejąć ogień, ale nie miał szans. Był magiem, a Salomea – żywiołem. Wrzasnął, kiedy poczuł żar.

– Wynoście się albo spalę was w proch! – krzyknęła Salomea, a gdy oprawcy nie zareagowali, wstała i skierowała w ich stronę płonące, pokryte czerwonymi i złotymi łuskami dłonie. Jej oczy jarzyły się żywym ogniem, włosy unosiły się wokół głowy jak płomienie.

Uczniowie uciekli, a ona odetchnęła. Była na granicy utraty kontroli, drżała, a jej ciało pożerała gorączka. Niewiele brakowało, a zmieniłaby się w salamandrę. Oddychała ciężko, próbując wchłonąć płomienie, które śpiewały do niej pieśń wezwania. Chciały, by zapomniała o wszystkim, by odrzuciła ograniczenia i stała się tym, czym była z natury. Ogniem, zniszczeniem, zemstą. Czy nie chciałyby spalić wszystkich, którzy ją skrzywdzili? Czy pozwoli im krzywdzić się dalej?

Lakshmi wyczuwała, że coś niedobrego dzieje się z jej przyjaciółką.

– Salciu, jak mogę ci pomóc? – zapytała.

Salomea zamrugnęła. Lakshmi... Znów była sobą, wchłonęła płomień w skórę i z oddechem. Rozejrzała się. Niedobrze... Pod ścianą kuliły się dzieciaki, w tym Mieszko, a w oknie na pierwszym piętrze stała pani Silvana.

Lakshmi wstała i wzięła Salomeę za rękę, nie zrażając się łuskami.

– To nie ty zaczęłaś i nikogo nie skrzywdziłaś – powiedziała twardo. Była gotowa walczyć z każdym, komu wyrwie się choć jedno złe słowo o jej przyjaciółce. – Musimy zanieść kota do pielęgniarki, bardzo cierpi.

Coś jej mówiło, że musi odwrócić uwagę Salci od ludzkiego aspektu tej sytuacji. Bo ludzie kolejny raz pokazali się od koszmarnej strony. Byłoby z nich więcej pożytku, gdyby ich zmienić w kozy. Kozy bywają złośliwe i lekkomyślne, ale nigdy nie działają z premedytacją.

Ostrożnie ściągnęła kurtkę. Wiewiórka wyslizgnęła się ze swojej kryjówki i wbiegła po rękę Lakshmi, po czym usadowiła się na jej ramieniu. Dziewczynka delikatnie owinęła odrętwiałego, przerażonego kota miękkim materiałem. Musiała zawieźć go do taty, do kliniki, ale nie da rady zrobić tego na rowerze...

Salomea otrząsnęła się ze stuporu. Pomogła Lakshmi podnieść drżące w tobołku z kurtki zwierzę i nie tracąc już ani chwili, ruszyły szybkim krokiem do szkoły. Minęły Mieszka i jego ziomków, którzy cofali się przed nimi w popłochu, jakby Salcia wciąż emanowała ogniem. Przyspieszyły, bo kot zaczął piszczeć z bólu. Zaniosły go prosto do pielęgniarki.

Szybko opowiedziały jej, co się stało.

– Musimy go rozwiązać, bo sznur wtopił mu się w łapki – orzekła kobieta, spojrzawszy na cierpiącego zwierzątko.

– Proszę mu też podać coś przeciwbólowego – poprosiła Lakshmi. – Zadzwońię po tatę, będzie wiedział, jak pomóc. Jest weterynarzem.

Pielęgniarka przygotowała zastrzyk, małe nożyczki i pęsetę oraz sól fizjologiczną. Ostrożnie pozbyły się sznura, wycinając strzępki wtopionego futerka. Pielęgniarka zauważyła, z jaką wprawą dziewczynka posługuje się narzędziami. Nie skrzywiła się na widok pęcherzy i śladów spalenizny. Delikatnie, ale pewnie trzymała kota, starając się nie dotykać bolesnych miejsc. Była skupiona i profesjonalna.

– Salciu, weź z plecaka mój telefon, znajdź numer do taty i powiedz mu, co się stało – poleciła przyjaciółce. – Musi szybko przyjechać. Kot oddycha za szybko, serce mu kołacze i nie mogę go uspokoić.

Salamandra zrobiła, o co poprosiła ją Lakshmi. Nie musiała wiele tłumaczyć, pan Raavati szybko zrozumiał powagę sytuacji i zapewnił, że zjawi się w ciągu kwadransa.

Odłożyła telefon do kieszeni w plecaku i usiadła na krześle. Kolana jej drżały. Zużyła mnóstwo energii.

Wiedziała, że to koniec. Pani Silvana powie o wszystkim Nisimowi, a on zrobi to, co obiecał Salci na początku – jeśli dziewczynka użyje ognia przeciwko innemu uczniowi, usunie ją ze szkoły.

Dora i Miron będą tacy zawiedzeni! Salomea zgarbiła się na krześle, a łzy spływały jej po wciąż rozpalonych policzkach. Wszystko zepsuła. Pozwoliła Mieszkowi się sprowokować. Był zazdrosny – o uwagę, o te dodatkowe lekcje, nawet o to, że Miron poświęcał jej czas, który należał się jemu. Była dziwnie pewna, że jego ciotka, pani Silvana, powiedziała mu, pod jakim warunkiem Nisim przyjął Salcię do szkoły.

Tak chciałyby być normalna! Chciałyby zebrać cały ten ogień, który śpiewał w jej żyłach, do naczynia żaroodpornego i zyskać

szansę na normalny dom. Szansę na adopcję przez Dorę i Mirona.

Lakshmi ostrożnie czyściła poparzenia kota, który skarżył się, cicho popiskując. Nagle poczuła coś dziwnego. A raczej... przestała coś czuć. Ciepła ruchliwa obecność w tyle głowy, którą kojarzyła z przyjaciółką, nagle zgasła.

Bestiarka odwróciła się gwałtownie.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

Salomea uniosła głowę i spojrzała na nią zielono-niebieskimi oczami, bez choćby śladu płomieni. Wzruszyła ramionami.

Lakshmi nie zdążyła zapytać o nic więcej, bo drzwi do ambulatorium otworzyły się gwałtownie i stanął w nich Nisim. Był wściekły. Czerwone wypieki zalały jego policzki i czoło aż po linię włosów.

– Salomeo, Lakshmi, jesteście zawieszona. Nie wolno wam uczestniczyć w zajęciach do odwołania – oświadczył.

Salcia skuliła się jeszcze bardziej. Chciała zniknąć. Było jej tak strasznie wstyd.

– Nawet nie chce pan od nas usłyszeć, co się stało? – zapytała ostro Lakshmi.

– Pani Silvana mi wszystko powiedziała. Zarejestrowała całą sytuację komórką – powiedział.

– Całą? Zaczęła nagrywać już wtedy, kiedy Mieszko podpalił kota? Nakręciła, jak będziemy go uratować? Salomea ugasila Frania i użyła ognia wyłącznie po to, by trzymać agresywnego pyra z daleka od nas. To wszystko widział pan na filmie? – Lakshmi patrzyła wyzywająco na dyrektora.

– Mieszko opisał całą tę sytuację zupełnie inaczej – stwierdził Nisim.

– Czyżby jego słowo ważyło więcej? To dlatego, że jest chłopcem, czy dlatego, że jest białym chłopcem? Czy może wystarczyło, że jest siostrzeńcem pani Silvany? – Lakshmi

wciąż nie podnosiła głosu, ale każde wypowiedziane przez nią zdanie było niczym lodowaty bat.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki się do mnie odzywasz – zaprotestował dyrektor.

– A mnie się nie podoba, w jaki sposób podchodzi pan do prawdy – odgryzła się.

Savita Raavati powtarzała, że jej córka jest cichą i wycofaną dziewczynką. Kiedy jednak Lakshmi ogarniała wściekłość, odzywało się w niej echo genów pradziadka dzina. Była bezlitosna. I kompletnie nie przejmowała się hierarchią społeczną czy obowiązującymi zasadami.

Nisim wyszedł bez słowa. Bo miał ochotę nawrzeszczeć na to dziecko, choć przecież nigdy nie krzyczał na dzieci. Potrząsnął głową.

To było dziwne doświadczenie. Miewał już nietypowych uczniów, należących do dwóch systemów i dysponujących najróżniejszą magią i umiejętnościami. Ale nigdy żadne nie sprawiło, że czuł się idiotą. Nie podobało mu się to uczucie. Paliło go w gardle jak zgaga. Źle to rozegrał, nawet bardzo. Dziewczynka go zawstydziła, i najgorsze, że miała rację. Nie sprawdził. Nie przepytął uczniów. Silvana wparowała do jego gabinetu z komórką w dłoni, jakby niosła trofeum. Owszem, nagrała Salomeę stojącą w okręgu z płomieni, z płonącymi dłońmi i oczami. Widział też uciekającego Mieszka i kilku jego kolegów. Wyciągnął wnioski o wiele za szybko.

Poszedł do swojego gabinetu szybkim krokiem mężczyzny, który ma misję. Czy zmiękł aż tak bardzo, że nie zauważył manipulacji? Przegapił coś, co miał tuż pod nosem?

*

Doktor Narev Raavati dotarł do ambulatorium kilka minut później i bez zadawania pytań zajął się pacjentem. Z wprawą przeniósł go do sterylnego kontenera i oznajmił, że zabiera go do kliniki.

Lakshmi i Salomea nie wspomniały, że dla nich dzień szkolny już się skończył. Odprowadziły tatę do samochodu, a gdy on i kot ruszyli do Thornu, wsiadły na rowery i pojechały za nim. Nie rozmawiały. Lakshmi wciąż martwiła się chłodem, który wyczuwała od przyjaciółki. Coś się z nią działo, coś bardzo złego, i bestiarka była dziwnie pewna, że sama sobie z tym nie poradzi.

Nie szkodzi. Miała już plan.

Rozdział 8

Lakshmi od małego wiedziała, że rodzice ją kochają. Nie miała żadnych wątpliwości. Ale wiedziała też, że zwykle się o nią zamartwiają, zwłaszcza mama, starała się więc oszczędzać jej trosk. To była jej podstawowa motywacja, by trzymać się z daleka od kłopotów.

Lakshmi nie znosiła, kiedy przyłapywała mamę przy oknie, zapatrzoną w przestrzeń. Albo siedzącą przy stole, z głową opartą na dłoniach, jakby ważyła tonę. Mama nieodmiennie wówczas wzdychała, a Lakshmi nie znosiła tych westchnień, oznaczały bowiem, że mama się biczuje, że własnym zdaniem poniosła sromotną klęskę rodzicielską... Jakby to, że rakszasy nawiedziły wioskę, stanowiło jej osobistą porażkę.

Mama generalnie martwiła się za wiele, choć odkąd przeprowadzili się do Thornu, wydawała się być w lepszym stanie. Tęsknota za całą rodziną to cena, jaką zapłacała za spokój – nie gnieździły się tu rakszasy, jadowite węże ani pająki,

a lokalna fauna magiczna wydawała się być dużo mniej zafascynowana jej córką bestiarką niż ta w Indiach. No dobrze, tutejsze ptactwo ją uwielbiało, a na gryzonie działała jak kocimiętka, ale żadna wiewiórka czy mysz nie zje sąsiadów.

Dlatego Lakshmi odkładała tę rozmowę. Nie chciała, by mama znów zaczęła wzdychać i się zamartwiać. Ale teraz po prostu musiała poruszyć temat. Alternatywą byłoby pójście do Dory Wilk, a to – nie miała wątpliwości – sprawiłoby, że mama dostałaby istnego ataku wzdychania. Może mieszkali tu tylko kilka miesięcy, lecz zdążyli już poznać reputację Namiestniczki. Słyszała nawet, że rodzice rozmawiali o tym wieczorem w kuchni, w dniu, w którym odwiedziła Salomeę. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ są sytuacje, kiedy głos dorosłego waży więcej niż głos dziecka, a ta zaliczała się do nich bez dwóch zdań.

Zostawiła rower przy schodach i wbiegła na górę. Mama siedziała przy kuchennym stole zawalonym paragonami i fakturami wyzierającymi spod księgi rachunkowej. Drobna Hinduska z ciemną karnacją i grubymi włosami czarnymi jak pióra kruków, aż połyskującymi granatem, w różowej tunice haftowanej przy dekolcie złotą nitką wyglądała niepozornie, ale miała naturalny autorytet i nawet rakszasy cofały się w pół kroku, kiedy wyrażała dezaprobatę. Uniosła głowę i spojrzała na córkę znad okularów.

– Czemu nie jesteś w szkole? – zapytała.

– Zostałam zawieszona – przyznała bez oporów. Mama i tak się dowie.

Westchnienie. O tak, TO westchnienie.

– Wiem, że nie jesteś tym zachwycona... Ale musisz wiedzieć, że zrobiłam to, co było słuszne, i zrobiłabym to jeszcze raz.

– To chyba wszystko, na co mogę liczyć – przyznała mama.

– Słuchaj... z Salomeą dzieje się coś bardzo złego, myślę, że może ją to zabić. Trzeba o tym wszystkim powiedzieć Dorze Wilk. Wiem, że przed przeprowadzką obiecałam unikać stworzeń niebezpiecznych i nieprzewidywalnych, więc może pojedziesz ze mną?

Savita Raavati przyglądała się córce ze spokojem. Nie zaskoczył ją rzeczowy ton, niepasujący do dwunastolatki. Takim samym tonem miała poinformowała ją pięć lat wcześniej, że nie ma sensu szukać sąsiada, pana Birbala, bo wcale nie zaginął, tylko wkurzył rakszase i go zjadła.

– Opowiedz mi wszystko – poprosiła.

Lakshmi usiadła więc przy stole i opowiedziała. O pani Silvanie, jej rasizmie i złośliwościach pod adresem Lakshmi, a potem Salomei. O Mieszku, który zamieniał każdy ich dzień w piekło. O lekcji z drzewem genealogicznym. I o podpaleniu kota oraz niesprawiedliwej decyzji Nisima.

Słuchając, Savita pocierała skronie, tłumiąc wściekłość. Gdyby dopadła teraz panią Silvanę, niewykluczone, że urwałaby jej głowę gołymi rękoma.

– Więc, mamó, jeśli muszę mieć karę, nie ma sprawy, ale nie możemy tego tak zostawić, trzeba pomóc Salomei.

– Nie masz kary. Zrobiłaś, co należało. Jeśli dyrektor nie zrozumie swojego błędu, pójdę do niego i mu wytłumaczę, dlaczego jest idiotą. Ale masz rację, opiekunowie twojej przyjaciółki muszą wiedzieć, co się stało. I jeśli dobrze zinterpretowałaś to, co od niej wyczułaś, to rzeczywiście może mieć niewiele czasu. Zostaw plecak i poczekaj na mnie w furgonetce taty.

Właśnie dlatego Lakshmi przyszła do mamy. Może później mama będzie wzdychać, wspominając tę sytuację, ale gdy należało natychmiast wkroczyć do akcji, nie traciła ani chwili.

*

Savita założyła, że przed południem nie zastanie Dory w domu, ale w pracy, dlatego właśnie skierowała się w stronę nowej komendy policji. Zaparkowała przed świeżo odnowioną kamienicą i spojrzała na córkę.

– Mogę to zrobić sama.

Dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

– Zwykle dobrze dogaduję się z potworami, a ona wcale nie jest taka straszna.

Savita westchnęła. Czy wymagała od bogów zbyt wiele, prosząc, by trzymali swoje potwory z dala od jej córeczki?

*

Dora Wilk przez ostatnie godziny domykała sprawę kelpie i zaginionych dzieci. Powiadomiła rodziny trójki dzieciaków, które w ciągu ostatnich dwóch lat zaginęły w Toruniu. Szczerze nie znosiła przekazywania tragicznych wiadomości, ale upłynęło mnóstwo czasu od zaginięcia, więc krewni ofiar nie byli specjalnie zaskoczeni. Jedna z matek nawet Dorze dziękowała. Wreszcie skończył się dla niej koszmar niepewności.

– Zawsze wyobrażałam sobie, że on jest tam gdzieś, krzywdzony, bity, wykorzystywany. Że cierpi, a ja nie mogę mu w żaden sposób pomóc. Teraz wiem, że już nie cierpi – powiedziała, patrząc na Dorę pustymi oczami kobiety, która nadzieję straciła dawno temu, ale niepewność losów syna wyżerała z niej życie przez ostatnie dwa lata.

Dora wróciła do jednostki, usiadła przy biurku i zabrała się do uzupełniania informacji w aktach. Seweryn Bjarke, technik komputerowy, którego niedawno zatrudniła, a przy okazji jeden

z najdziwniejszych znanych jej wilków, nieustannie wytykał jej „niezdrowe przywiązanie do papieru”, ona jednak wolała stare sprawdzone metody. Widziała już bazy danych usmażone nagłym skokiem magii i serwery, które wyczyścił mag cyfrowy, wolała więc mieć wszystko na papierze. Niezależnie od tego płaciła Sewerynowi za cyfryzację, by na wypadek pożaru mieć zapasową kopię na serwerze.

Gdzieś pod papierami zagrzebany miała telefon stacjonarny, który regularnie rozbrzmiewał wściekłym dzwonkiem. Właściwie sygnał był całkiem zwyczajny, ale Dora wiedziała, co oznacza. Roman, lokalny Książę wampirów i członek Starszizny, wydzwaniał od kilku godzin. Pierwsze dwa czy trzy połączenia odebrała tylko po to, by rzucić słuchawką, gdy zaczynał ją wkurzać. Kolejne już ignorowała, spodziewając się, że to kwestia czasu, aż pofatyguje się do niej osobiście. Był uparty i nie rozumiał, że jako Namiestniczka naprawdę nie zamierza się angażować w przepychanki wewnątrz Starszizny. Tulenie do piersi znerwicowanego wampira czy uspokajanie wkurzonego Pana Umarłych nie należało do jej obowiązków. Miała rodziny zmarłych dzieci do powiadomienia o tragedii, dokumentację do uzupełnienia, nawet wizyta u dentysty była bardziej kusząca niż udział w politycznych machinacjach. Telefon więc dzwonił, a ona robiła swoje.

Gdy usłyszała pukanie do drzwi, nieufnie uniosła głowę. Spodziewała się, że to Roman, choć zazwyczaj wpadał do jej biura bez pukania. Zamrugła zaskoczona, widząc przyjaciółkę Salomei i drobną ciemnowłosą kobietę tak do niej podobną, że musiała być jej matką, choć nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia pięć lat. Ścisnęło ją żołądka. Zaprosiła je do środka i czekała na grom z jasnego nieba – bo nie ulegało wątpliwości, że przyszły z powodu Salci.

Savita przedstawiła się, uściśnięły sobie ręce. Usiadła na krześle i westchnęła. Dora przymknęła oczy. Bała się, że usłyszy, że Savita nie życzy sobie, by jej córka przyjaźniła się z salamandrą. Dla Salci byłyby to cios. Dora napięła się, gotowa na dyskusję i przekonywanie kobiety, że Salomea nie jest dla Lakshmi żadnym zagrożeniem. W tym napięciu przegapiła pierwsze wypowiedziane przez nią zdanie.

– Przepraszam, mogłaby pani powtórzyć? – poprosiła.

– Mam podstawy twierdzić, że Salomei dzieje się krzywda, i uważam, że jako opiekunka powinna pani to usłyszeć.

Dora poczuła, jak podnosi się jej ciśnienie. Czy ta kobieta właśnie przyszła jej powiedzieć, że jest złą matką dla Salci?

Lakshmi stanęła przy matce i położyła jej dłoń na ramieniu.

– Pani Doro, zanim się pani rzuci na mamę, jak sugeruje wilczyca... Mama nie chciała w żaden sposób pani obrazić – powiedziała przytomnie dziewczynka.

Dora zamrugała i spojrzała na dziewczynkę. Mała miała rację. Jej wilczyca drapała w głębi jej klatki piersiowej, wściekła i gotowa do ataku. Brała całą tę kwestię opieki nad młodymi bardzo osobiście. Dora nigdy nie miała specjalnego instynktu macierzyńskiego. Wilczyca zupełnie na odwrót.

– Wyczuwasz ją? – zapytała.

– Jestem bestiarką, wyczuwam większość zwierząt, zmiennych też – przyznała dziewczynka.

– Myślałam, że jest pani wiedźmą – przerwała zaskoczona Savita.

– To skomplikowane, ale proszę się nie obawiać. Nie przemieniam się. Za mało we mnie wilczej krwi.

Lakshmi uśmiechnęła się pod nosem. Jakby do bycia wilkiem potrzebne były futro i ogon. Postanowiła przejąć inicjatywę i wyłożyć kawę na ławę. Dora Wilk powinna docenić bezpośredniość.

– Salomea jest dręczona w szkole przez dzieciaki, które skądś znają jej przeszłość. Nazywają ją morderczynią i prowokują, zwłaszcza Mieszko. Ale najgorsza jest nauczycielka, pani Silvana, która dosłownie uwzięła się na Salcię. Udaje miłą, uśmiecha się i mówi słodkim tonem, ale ją dręczy, pozbawia wiary w siebie. Nazywa ją przybłądą i znajdą, powtarza, że nikt nie mógłby jej adoptować, skoro jest wybrakowana, że gdybyście ją chcieli, już byście ją adoptowali. Myślę, że jej nienawidzi, bo jest zazdrosna o magię i uważa, że w szkole powinny być tylko takie dzieci jak Mieszko, a nie takie jak ja czy Salcia.

– To znaczy jakie? – zapytała zimno Dora. Nie wiedziała, że jej oczy połyskują lodowatym srebrem.

– Ja nie jestem biała, a Salcia, jej zdaniem, jest piekielnikiem, piekielników zaś nie należy uczyć magii. Myślę, że cała ta dzisiejsza akcja, która doprowadziła do naszego zawieszenia, była pułapką. Pani Silvana nas wrobiła. Mieszko podpalił kota, a ona wiedziała, że żadna z nas nie zdoła się powstrzymać przed interwencją, nagrała fragment i pokazała Nisimowi, przedstawiając to całkiem inaczej. Uwierzył jej i nas zawiesił.

– Idiota! – krzyknęła Dora.

– Gdyby chodziło tylko o to, poradziłabym sobie sama. Pani Silvana nawet nie wiedziałyby, co ją ugryzło...

– Kochanie, mówiłam, żadnych pajaków! – przerwała jej matka.

– Nie wypuściłam żadnego pajaka – odparła Lakshmi zgodnie z prawdą. Spojrzała Dorze prosto w oczy i powiedziała: – Myślę, że Salomea uwierzyła, że nie chcecie jej zatrzymać, i robi sobie coś złego. Zawsze czułam bijące od niej ruchliwe ciepło, a dziś zupełnie zniknęło. Jest lodowata. Jak zwierzęta w klinice taty, kiedy są bliskie śmierci.

Savita ścisnęła poręczę fotela. Nie wiedziała, jak zareaguje Dora Wilk. Wyczuwała jej wściekłą energię i obawiała się, że pierwszymi odłamkami wybuchu oberwie jej córka, która jak zawsze okazała się nieznośnie bezpośrednia i kategoryczna.

Tymczasem Namiestniczka, mamrocząc przekleństwa, złapała kurtkę i wybiegła z gabinetu, ignorując telefon, który właśnie zaczął dzwonić. Rozległ się tupot na schodach i trzask drzwi wejściowych.

– Chyba dobrze poszło – oświadczyła Lakshmi.

Savita pokręciła głową i ruszyła do wyjścia. Była dziwnie spokojna, że Dora Wilk rozwiąże problemy obu dziewczynek, i miała szczerą nadzieję, że z Salomeą wszystko będzie w porządku. Nie zniosłaby, gdyby pierwszej ludzkiej przyjaciółce córki stała się krzywda.

*

W samochodzie Dora zadzwoniła do Mirona.

– Jesteś w domu? – zapytała nerwowo.

– Jestem w Otchłani, co się dzieje?

Przyjeżdżaj natychmiast, Salcia nas potrzebuje. Aha, i jeszcze dziś zamorduję Nisima – powiedziała i zaraz się rozłączyła, bo dojechała na miejsce. Zaparkowała krzywo na chodniku i wbiegła po schodach do mieszkania.

Salomea była w swoim pokoju. Zapłakana i blada, szczękała zębami, otulając się ciasno kołdrą, jakby temperatura w mieszkaniu spadła poniżej zera.

Dora weszła bez pukania, zbyt zdenerwowana, by trzymać się reguł. Przysiadła na łóżku i położyła dłoń na czole dziewczynki. Przypominało w dotyku sople lodu.

– Hej, dziecinko, słyszysz mnie? – zapytała.

Salomea z trudem uniosła powieki. Chciało jej się spać i było jej zimno, tak strasznie zimno.

– Dora? Nie musisz mnie odsyłać, już nie jestem groźna. – Uśmiechnęła się blado. – Mogę zostać? Proszę...

Dora czuła, jak łyzy pieką ją pod powiekami, a w gardle rośnie klucha.

– Kochanie, nigdzie cię nie odsyłamy, jesteś nasza, rozumiesz? Jesteśmy rodziną i nic tego nie zmieni.

– Użyłam ognia w szkole, przepraszam – mówiła Salcia cichutko, jakby nie słyszała słów opiekunki.

– Wiem, kochanie, ale zrobiłaś to, by ratować skrzywdzone stworzenie, i Nisim nie miał prawa cię ukarać. Jestem z ciebie dumna.

– To się nie powtórzy, naprawdę, już nawet nie mam ognia – szeptała.

– Kochanie, to bardzo źle, że nie masz ognia. Możesz go dla mnie przywołać? Choć troszeczkę? – błagała Dora, pocierając lodowate palce dziewczynki.

– Wtedy mnie odeślecie, a ja nie chcę was opuszczać – szepnęła. – Już będę grzeczna, obiecuję.

– Maleńka, proszę cię, nigdy cię nie odeślemy do piekła. Ogień jest częścią ciebie, ty jesteś ogniem. Jak mogłabym chcieć, byś się go pozbyła? Potrzebujesz go do życia. Proszę, przywołaj ogień, choć malutki...

Dziewczynka odpływała. Dora czuła, że ją traci, i ogarnęła ją bezsilność. Nie znała zaklęcia, którym mogłaby uaktywnić magię Salomei. Nagle przypomniała sobie słowa Lakshmi i już wiedziała: sięgnęła po swoją magię ze strony matki, magię miłości, by dotknęła małej salamandry i przekazała jej bez słów, że jest kochana i otoczona opieką, że jest częścią życia Dory i ta nie wyobraża sobie bez niej nawet dnia.

Położyła się obok dziewczynki, przytuliła jej zziębnięte ciało i przesyłała jej całą swoją miłość. Nie zaplanowała pojawienia się Salomei w swoim życiu, nie urodziła tego dziecka, ale nawet wówczas nie mogłaby go kochać bardziej. Płakała, nie wiedząc, czy w jakikolwiek sposób dociera do świadomości Salci.

Tak zastał je Miron. Dora nieco chaotycznie zrelacjonowała mu, co się stało.

– Zabierz ją, musimy zejść do kręgu ćwiczebnego – polecił zdecydowanym tonem.

Nieco pokrzepiona jego pewnością, wiedźma wstała i wzięła dziewczynkę na ręce. Wciąż była lekka jak ptaszek – lata niedożywienia i eksploatawania magii zrobiły swoje. Miron zgarnął swój zestaw magiczny i otworzył przed nimi drzwi. Zbiegł po schodach, pierwszy dotarł na niewielkie podwórko. Odkąd mała z nimi mieszkała, często tu trenowali. Potrzebowali co prawda zgody innych lokatorów, ale wystarczyło, że Dora odwiedziła każdego z sąsiadów z uroczym uśmiechem i w kurtce zakrwawionej po jakiejś bójce, a wszyscy podpisali formularze zgody.

Miron wkopał krąg dobre pół metra pod ziemią, do tego zakorzenił go żelazem i miedzią. Jego przedłużenie na powierzchni tworzyły małe kamyki wulkaniczne, z pięcioma wierzchołkami pentagramu wyznaczonymi przez większe, płaskie białe kamienie. Zanim Dora zniosła Salcię, krąg był aktywny, a na czterech gładkich kamieniach widniały wyrysowane sygile przywołania, otwarcia, ujawnienia i ognia.

Wziął dziewczynkę z rąk Dory i powiedział:

– Nie podchodź za blisko.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała drżącym głosem.

– Przywołam salamandrę, ma silny instynkt przetrwania. Musimy tylko pilnować, by nie wydostała się z kręgu i nie puściła miasta z dymem.

– Pal lichy miasto, jeśli dzięki temu... – szepnęła Dora.

Miron wkroczył do kręgu. Na ostatnim z ramion pentagramu wpisał sygile zamknięcia. Żadne z nich nie mogło opuścić kręgu, dopóki nie zmaże tego znaku.

Usiadł po turecku na ziemi z dziewczynką w ramionach i zanucił inkantację przywołania. Czuł, jak jego ogień odpowiada na wezwanie. Im sam stawał gorętszy, tym bardziej bolesny był chłód bijący z ciała dziewczynki, wciąż ledwie przytomnej, z główką opadającą do tyłu i odsłaniającą chudą szyję. Miron nucił, a płomienie tańczyły mu po ramionach i plecach. Nucił, a krąg wokół zajął się ogniem. Nucił, aż poczuł odpowiedź, mały, ledwie tłący się płomyk nadziei w ciele Salomei. Nucił, aż ogień w jej wnętrzu zahuczał swoją głodną pieśń. Ręce, ramiona i twarz dziewczynki pokryły łuski, czerwone i złote. Jej dłonie zadymiły i stanęły w płomieniach. Włosy wiły się jak żywe stworzenia, a gdy uniosła powieki, jej oczy okazały się żywym ogniem, bez śladu białek. Oczy salamandry.

Zaczęła się zmieniać: jej ubranie zniknęło, jakby spopielił je żar, płonęła białym ogniem, tak gorącym, że nawet Miron znosił go z trudem. Nie trzymał już dwunastoletniej dziewczynki, ale dużą jaszczurkę spowitą płomieniami. Próbowwała mu się wyslizgnąć i z każdą chwilą stawała się gorętsza. Wiedział, że jeśli ją wypuści, Salcia być może nie zdoła wrócić do ludzkiej formy. Nigdy już nie będzie ich małą dziewczynką, córką, której nie spodziewał się mieć, lecz której nie mógł kochać bardziej. Córką obdarzoną mocą potężniejszą niż jego własna. Powoli uczyła się mu ufać, a on ją zawiódł, bo nie zauważył, że ktoś ją krzywdzi tuż pod jego nosem. Przytulał więc żywy ogień w ciele jaszczurki i mówił do swojej małej córeczki. Prosił, by wróciła. By go nie zostawiała. Zapewniał, że wszystko będzie dobrze i

że zawsze już będą się nią opiekować, zawsze będą ją kochać. Tylko musi wrócić.

Nie wiedział, ile to trwało – kwadrans czy kilka godzin. Coś jednak zaczęło się zmieniać. Ból, jakim jego ciało reagowało na biały płomień, ustępował. Jaszczurka w jego objęciach drżała, przeobrażała się, aż znów przybrała postać chudej dwunastolatki z burzą rudych włosów.

Parsknął, widząc, że jej magia przywołała dla niej ubranie – nie legginsy i bluzę, które miała na sobie, kiedy wniósł ją do kręgu, ale pochodzące z piekła aksamitne bryczesy i bluzkę z żabotem.

Salomea otworzyła oczy i zamrugła zaskoczona.

– Co się stało?

– Wystraszyłaś mnie, słoneczko, postarzałem się o kilkaset lat – powiedział i mocno ją przytulił.

– Podpaliłam coś? – zapytała przerażona.

– Gorzej! Prawie ci się udało zgasić swój płomyk – odrzekł poważnym tonem.

– Naprawdę? I nie byłabym już salamandrą?

– W ogóle by cię nie było, słoneczko. Zgasłabyś jak zdmuchnięta świeczka. Jesteś ogniem. I nie chciałbym, byś stała się czymkolwiek innym. Przysięgnij mi, że więcej tego nie zrobisz.

Salomea przypomniała sobie, co się stało w szkole. Zwiesiła głowę i wyszeptła:

– Wolę zgasnąć, niż wrócić do piekła.

– Czemu mielibyśmy wracać do piekła? – zapytał.

– Nie my... ja. Użyłam ognia w szkole.

– Straciłaś kontrolę? – zapytał poważnie.

Pokręciła głową.

– Mieszko podpalił kota. Musiałam mu pomóc.

– Sama widzisz: twoje umiejętności nie są złe, skoro możesz dzięki nim pomóc cierpiącemu zwierzakowi. Herostrates zmuszał cię do strasznych rzeczy, ale już go nie ma. Teraz to ty decydujesz, słoneczko.

– Nie odeślecie mnie?

– Nie ma mowy. Gdybyś z jakiegoś powodu musiała wrócić do piekła, wrócilibyśmy z tobą. Diabły i demony wściekłyby się, bo Dora zamienia ich życie w koszmar...

– Same się o to proszą – zauważyła Salomea. – Luc tak mówi.

– I ma rację. Hej, nie odeślemy cię do piekła, słyszysz? Jestem twoim opiekunem – zapewnił.

– Tata? – zapytała cichutko.

Przytulił ją i szepnął jej do ucha:

– No pewnie, że tata. Nie mógłbym prosić o nic lepszego.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pisnęła.

Miron uniósł głowę i za kurtyną ognia, który wciąż ich otaczał kręgiem, dostrzegł Dorę, chodzącą nerwowo tam i z powrotem.

– To co, pozbywamy się ognia, zanim Dora dostanie zawału?

Wsunęli ręce w płomień i wchłaniali je w skórę, aż całkiem zniknęły. Miron starł sygile ze szklistych teraz kamieni. Piasek wokół nich w większości zmienił się w szkło. Wstali i przekroczyli nieaktywny już krąg.

Dora stała, przyciskając ręce do mostka, jakby próbowała przytrzymać galopujące serce.

– Jesteście cali? – zachrypiała.

– Wszystko dobrze – zapewnił Miron.

Dora rozłożyła ręce, a Salcia wpadła w jej objęcia z cichym westchnieniem.

– Napędziłaś mi stracha – szepnęła, tuląc przyjemnie ciepłe ciało.

– Przepraszam. I za to, że mnie zawiesili, też przepraszam – zapewniła dziewczynka.

– Ach, to. Tym się zaraz zajmiemy. Nogi mu z dupy powyrywam i będę go nimi tłukła po łbie, aż zrozumie, jakim był idiotą!

Dziewczynka zachichotała.

– Tego też nie powiem psychologowi, nawet jeśli zapyta.

– Słusznie. Bo gdyby ktoś znalazł zwłoki Nisima, zamierzam się wszystkiego wyprzeć.

Miron chrząknął, przypominając o niepisanej zasadzie, która brzmiała: „Dziecko nie musi wiedzieć wszystkiego, przynajmniej nie będzie musiało zeznawać w sądzie”.

– Dobrze, wracajcie do mieszkania – powiedziała Dora – mam do załatwienia kilka spraw.

Salomea i Miron wymienili szybkie spojrzenie.

– Myślę, że przejeździemy się z tobą – oświadczył diabeł.

– Jeśli zamierzasz mnie powstrzymać przed zrobieniem mu awantury...

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – zapewnił.

Dora uniosła brew z powątpiewaniem. Salomea poklepała ją po policzku i powiedziała:

– Chyba nie myślisz, że zostawimy cię samą z kopaniem grobu i uprzątnięciem miejsca zbrodni?

Miron przewrócił oczami i bezgłośnie powiedział do Dory:

– Zły wpływ!

Wiedźma wyszczerzyła się do niego.

– Moja krew.

I choć może na poziomie genetyki nie było to prawdą, to przecież było nią na każdym innym poziomie.

Przed domem, przy krzywo zaparkowanym samochodzie, stał wysoki szczupły mężczyzna w eleganckim płaszczu, z rękami splecionymi na piersi i wściekłą miną.

– Nie odbierasz ode mnie telefonów? – warknął, zastępując drogę Dorze.

Ta warknęła:

– Roman, nie teraz!

– Nie opędzaj się ode mnie jak od namolnego kundla! – oburzył się.

Stali naprzeciwko siebie, oboje wkurzeni, z gniewnymi błyskami w oczach. Salomea bała się, że zaraz się zaczną bić. Pociągnęła Mirona za rękaw i szepnęła:

– Kto to jest?

– Wampir. Lokalny Książę, nazywa się Roman.

– Jest naszym wrogiem? – zapytała, a dłonie z miejsca zaczęły jej dymić, kiedy poczuła zagrożenie.

– Trudno w to uwierzyć, ale to jej przyjaciel. Często razem pracują. Taki mają styl komunikacji – odpowiedział diabeł.

Salomea uspokoiła się, widząc, że jej opiekun wcale nie wygląda na zdenerwowanego. Miron objął dziewczynkę i głośno odchrząknął. Dora i wampir jednocześnie spojrzeli w jego stronę.

– Roman, nie chcę przeszkadzać w waszej profesjonalnej rozmowie, ale właśnie jechaliśmy komuś skopać tyłek. Może moglibyście tę sprzeczkę przełożyć na później?

Dora opuściła ramiona i westchnęła.

– On ma rację, Roman, mam teraz naprawdę ważną sprawę, muszę jechać.

– Nie odrzucaj ode mnie telefonów! – warknął.

– To nie dzwoń z pierdoletami, o których wiesz, że nie chcę słyszeć. Musicie to sami rozstrzygnąć. To nie moja sprawa.

– Doskonale wiesz, że to jest twoja sprawa – odgryzł się.

– Może i tak. Ale nie rozwiążę jej w godzinę, a tyle potrzebuję, by powyrywać Nisimowi nogi z dupy.

Roman zmierzył ją spojrzeniem, jakby chciał się upewnić, że sobie z niego nie żartuje. Spojrzał na diabła, a ten przytaknął z powagą. Wzrok wampira opadł na Salomeę, której jeszcze nie poznał. Mała wyglądała jak miniwersja Dory – niepokojące. Dziewczynka patrzyła mu prosto w oczy, bez cienia nieśmiałości. Dotarło do niego, że traktuje go jak zagrożenie i jest gotowa walczyć w obronie wiedźmy. Pani Nocy, miej ich wszystkich w opiece, pomyślał wampir.

– Będziemy w kontakcie – powiedział twardo. Podniósł kołnierz płaszcza i odszedł.

Nie rozumiał tego, co się dzieje z Namiestniczką. Będzie musiał to gruntownie przemyśleć.

Rozdział 9

Miron i Salomea siedzieli na tylnym siedzeniu. Diabeł obejmował małą salamandrę ramieniem, jakby potrzebował się upewnić, że jest cała i zdrowa, a jej skóra nie zaczęła znów stygnąć.

Dora stukała palcami o kierownicę, z każdą chwilą coraz bardziej wściekła. Kiedy minął bezpośredni strach o dziecko, mogła skupić się na tych, którzy doprowadzili dziewczynkę na krawędź śmierci. Nie miała w zwyczaju puszczać w niepamięć krzywd wyrządzonych swoim podopiecznym, dorosłym ludziom, wilkom czy wampirom, więc tym bardziej nie odpuści w przypadku dwunastolatki z koszmarną przeszłością. Za punkt honoru postawiła sobie uczynienie reszty jej dzieciństwa szczęśliwym. Pragnęła pomóc Salci uleczyć dotychczasowe traumy i nie dopuścić do powstania nowych. Tylko tyle i aż tyle.

Wściekała się na siebie, bo zrobiła wszystko, co przyszło jej do głowy, by dziecku nic nie groziło i mogło w spokoju dojść do

siebie. Zabezpieczyli mieszkanie, zainstalowali system alarmowy. Przez pierwsze tygodnie miała Katię na szybkim wybieraniu i prosiła ją o radę w każdej kwestii, która wydała się paląca. Ba, kilka razy odwiedziła nawet Konstancję, była dziewczynę Witkaca i matkę nastoletniej Wiktorii, by dopytać o rzeczy banalne, ale przecież ważne. Czy bardziej skrzywdzi swoje dziecko, zabraniając mu czegoś, czy na to pozwalając, choć wie, że nie powinna?

Na początku było trudno. Mała nie chciała prawie nic jeść, bo to, czym ją karmili, nie przypominało diety w piekle. Czy Dora okaże się wyrodną matką, jeśli jej pociecha przez tydzień będzie się żywić wyłącznie płatkami kukurydzianymi na mleku czekoladowym? Miron eksperymentował z potrawami i wreszcie znalazł te, które mała polubiła, ale Dora wiedziała, że nigdy nie zapomni miny Konstancji, kiedy poruszyła przy niej ten temat. Mama Wikty uniosła brew i zapytała: „Umarłabyś, gdybyś przez tydzień jadła tylko płatki na mleku?”. Dora musiała przyznać, że zdarzało jej się jadać gorzej, a dieta płatkowa bynajmniej nie zagraża życiu.

Znacznie poważniejsze były problemy psychologiczne. Mała miała koszmary i stany lękowe, jeden flashback potrafił zniweczyć całe tygodnie terapii. Jemioła znalazła dla Salci terapeutę dziecięcego, który był magiczny, więc mała mogła szczerze opowiedzieć mu o swoich doświadczeniach. Przez pierwsze tygodnie alarm przeciwpożarowy w mieszkaniu wył prawie co noc, aż sąsiedzi złożyli na nich skargę. Jako Namiestniczka Dora dopilnowała, by skarga spłonęła przy pierwszej okazji, bo widziała istotną różnicę między zakłócaniem spokoju całonocną imprezą a pracą z dzieckiem dręczonym przez koszmary.

Dziewczynka stopniowo oswajała się z nową rzeczywistością i sprawy powoli przybierały coraz lepszy obrót. Dora była o tym

przekonana. Żywali się, z każdym dniem bardziej przypominali rodzinę. Miron ćwiczył z Salomeą kontrolę nad ogniem, ale też zaprzyjaźniał się z nią, zdobywał jej zaufanie, a relacja między nimi wyraźnie pomagała dziewczynce. Koszmary zdarzały się coraz rzadziej. Spontaniczne samozapłony też. Taką przynajmniej Dora miała nadzieję, bo teraz ogarnął ją strach, że mała cały czas ukrywała swoje problemy, bojąc się, że odrzucą ją tylko dlatego, że nie jest idealna...

Wiedźma uderzyła dłońmi w kierownicę i przeklinała pod nosem. Czuła na sobie spojrzenie Mirona i Salomei, więc starała się kontrolować wściekłość, ale przychodziło jej to z trudem.

Nie, Salomea nie udawała. Naprawdę czuła się na tyle dobrze, że uznali, że może iść już do szkoły. Nisim wygłosił surową pogadankę – zdaniem Dory nieco zbyt kategorię, ale wtedy wszystko wydawało się iść ku dobremu. Potem zaczęło się pieprzyć. Przypomniała sobie, co powiedziała jej Lakshmi: o dręczeniu, wytykaniu palcami, wyzwiskach. Czemu nikt z kadry tego nie zauważył? Przecież Nisim zdawał sobie sprawę, z jakimi problemami zмага się mała salamandra, jak zatem mógł przymykać oko na zdarzenia, które mogły doprowadzić do nieszczęścia? A może wiedział o wszystkim, ale nie powiadomił Dory?

Gdyby w szkole przebywał Joshua, wszystko wyglądałoby inaczej. Anioł szybko wyłapałby zagrożenie, nawet gdyby dzieci próbowały działać poniżej radaru. Lecz Joshui w szkole nie było. Za to też odpowiadał Nisim i zamierzała mu to wygarnąć. Och, ależ się nazbierało! Uleje jej się prosto na jego buty.

Najgorsze, że rozumiała mechanizmy, które zaszły w szkole. Widziała już coś takiego. Kiedy sama była w podstawówce, miała w klasie chłopca, Łukasza, który należał do świadków Jehowy. Ani to był jego wybór, skoro miał lat osiem, ani powód

do szyderstw. Do czasu, aż siostra Waclawa, zakonnica przygotowująca ich do komunii, nie zaczęła mieszać. Przy każdej okazji rzucała złośliwymi komentarzami pod adresem Łukasza, obrażała jego wyznanie. W efekcie dzieciaki biegały za chłopcem na przerwach i wołały za nim: „Kici, kici, kocia wiara”. Same tego nie wymyśliły. Dora bodaj jako jedyna nie śpiewała obraźliwych piosenek. Napyskowała nawet siostrze Waclawie i ta zażądała spotkania z jej rodzicem, ale to wszystko nie miało znaczenia. niesprawiedliwość bolała ją niemal fizycznie, uwierała, mała Dora nie mogła tego znieść. Usiadła w ławce z Łukaszem, kiedy nikt inny nie chciał. I nie obraziła się, choć zjadł jej pachnące gumki do ścierania. Chciała dać mu do zrozumienia, że jest po jego stronie. Po komunii wszystko trochę przycichło, jakby porażka zmusiła siostrę do wycofania się. Nawet po latach Dora zgrzytała zębami na wspomnienie tej małej góralki. Siostra Waclawa słowem robiła więcej krzywdy niż drewnianą linijką, którą wymierzała dzieciom razy w dłonie za nieposłuszeństwo.

Dora Wilk nie musiała nawet spotykać Silvany, by się domyślić, jaki to typ człowieka. Była wdzięczna, że w całym tym piekle, które to babsko zgotowało jej córce, Salomea miała Lakshmi.

– Słonko, oczy ci świecą – powiedział Miron spokojnie, kiedy zaparkowała na dziedzińcu szkoły.

Spojrzała w lusterko. Lśniły srebrną poświatą, wilczyca była płytko pod skórą, wściekła, bo ktoś skrzywdził jej szczenię. Dora nie zamierzała jej powściągać. Były równie wściekłe. Kłapnęła zębami i wysiadła z samochodu. Szybkim marszem, przy wtórze dudnienia wojskowych butów na płytach chodnikowych, dotarła do szkoły.

– Chcesz tam iść? – spytał Miron, spoglądając na Salcię.
Skinęła głową.

– Chcę wiedzieć, co im powie.

– Wiesz, że to będą takie rzeczy, których nie pochwała pan psycholog?

– Będzie przeklinać?

– Zapewne. I niewykluczone, że także rzucać rzeczami, zresztą nie tylko rzeczami...

Dziewczynka pociągnęła go za rękę w stronę szkoły.

Gdy dotarli do gabinetu Nisima, Dora już tam była. Pani Ludwiczka w popłochu wybiegła na korytarz i wpadła prosto na diabła i salamandrę.

– Kazała przyprowadzić panią Silvanę – wyjąkała zaskoczona.

– Na pani miejscu bym posłuchał – poradził Miron.

– Ale co pani Silvana zrobiła? – zapytała sekretarka.

– Prawie zabiła nasze dziecko – odpowiedział tylko, a cała postawa pani Ludwiczki się zmieniła.

– Trzeba było tak od razu! – warknęła, wyprostowała plecy i pomaszerowała na piętro.

Miron wskazał krzesła tuż przy drzwiach do gabinetu Nisima i zaproponował:

– Może tu przeczekamy najgorętszy czas?

– Luc zawsze powtarza, że inteligentni ludzie wiedzą, kiedy uniknąć ciosów, które nie są im pisane – odparła Salcia.

Pani Ludwiczka sprowadziła panią Silvanę z miną tak stanowczą, że mogłaby z miejsca dostać robotę w szóstym kręgu piekła, gdzie doprowadzałyby potępione dusze przed oblicze sądu. Gdy nauczycielka zobaczyła siedzącą przy drzwiach Salomeę, na jej usta wypełzł uśmiezek satysfakcji. A Miron wiedział bez cienia wątpliwości już dwie rzeczy: po pierwsze, źle zinterpretowała sytuację i uznała, że dziewczynka ma problemy. Po drugie, krzywdziła Salomeę i Lakshmi z pełną premedytacją. Z miejsca ją znienawidził. Mógł wybaczyć

głupotę, ale nie świadome krzywdzenie dziecka. Zasłużyła na wszystko, co ją spotka z rąk Dory, i zapewne na więcej.

– Ty! – usłyszał ryk ukochanej. – Ty głupia, zacofana, rasistowska dupo! Prawie zabiłaś mi córkę! Jak mogłaś wmawiać jej takie rzeczy?! Jak mogłaś, ty głupia pizdo, zastawić na nią pułapkę, by doprowadzić do wydalenia jej ze szkoły?! Odtąd nie masz prawa się zbliżyć do Salomei i nie odezwiesz się do niej nawet słowem, poza tym, że ją przeprosisz. Zrozumiano?!

– Nie każde dziecko zasługuje na przywilej nauki w tej szkole i nie każde tu pasuje – odparowała Silvana, jakby ślepa i głucha na sytuację. – Jeśli Salomea nad sobą nie panuje...

Nie skończyła. Głuchy wrzask przerwał jej w pół słowa, a po nim nastąpił rumor właściwy uderzeniu ciała o drewniane drzwi. Te nie wytrzymały łupnięcia mocą i częściowo wypadły z framugi, trzymając się teraz tylko na dolnym zawiasie.

Pani Ludwiczka siedziała z rękami założonymi na piersi. Po tym, co usłyszała, nie zamierzała przyłożyć choćby palca do ratowania Silvany, choć jako półdiablica mogłaby namieszać.

Dora tymczasem kopniakiem wyłamała ostatni zawias. Drzwi z łoskotem upadły na podłogę sekretariatu, a na nich leżała oszołomiona Silvana. Dora nachyliła się nad nią i już spokojniej powiedziała:

– Nie pracujesz tu, słyszysz? Nie zbliżysz się już do żadnego dziecka, w Thornie i nie tylko. Powiadomię o twoim haniebnym zachowaniu każdą szkołę magicznych w tym kraju i kilku ościennych. Skontaktuję się z każdym miejscem pracy, w którym będą dość głupi, by cię zatrudnić, i o wszystkim opowiem.

Dora się wyprostowała. Miron myślał, że już skończyła, ona jednak zwróciła się do osłupiałego Nisima powiedziała:

– Ach, a Mieszko... Powinniście się nim zająć. Spełnia co najmniej dwa punkty triady MacDonalda: podpalanie i dręczenie zwierząt. Zapowiada się na socjopatę, więc lepiej zapewnijcie mu terapię, zanim stanie się moim problemem. Jako Namiestniczka nie załatwiam problemów, pisząc uwagi w dzienniczku. Równie dobrze możecie się spakować i spierdalać z miasta.

Do Silvany dotarło coś, co wcześniej przegapiła. Jej subtelne manipulacje mogły działać na Nisima czy resztę kadry, ale nie miały szans z brutalną siłą Namiestniczki. Zlekceważyła ją. Szkoła mieściła się w Toruniu, Silvana nie dysponowała magią wystarczającą, by czuć się swobodnie po drugiej stronie bramy, lecz nie sądziła, że kiedykolwiek przyjdzie jej się mierzyć z furią tej szalonej kobiety. Owszem, znała jej reputację, ale nie sądziła, że tak się przywiąże do przybłądy...

– Nie możesz mnie zwolnić, nie ty o tym decydujesz – powiedziała tylko, choć instynkt kazał jej uciekać, odkąd spojrzała w zimne, nieludzkie oczy kobiety.

Dora kucnęła nad nią, wyszczerzyła zęby i spytała tonem niemal słodkim:

– A kto cię zatrudnił, kwiatuszku?

– Szkolna Rada Archanielska – odparła dumnie i uniosła podbródek, jakby leżąc w poszarpanym ubraniu na osmalonych drzwiach, mogła budzić jakikolwiek autorytet.

– Nisim, nie wspomniałeś Silvanie, w jakich okolicznościach powołano Szkolną Radę Archanielską? – zapytała Namiestniczka.

Dyrektor siedział na blacie biurka i czekał, aż przejdzie huragan Dora. Po krótkim namyśle postanowił być pomocny.

– Masz na myśli tę historię, kiedy jeden z archaniołów próbował cię zabić, a ty zgłosiłaś się dobrowolnie na sąd ostateczny, pojedynkowałaś się z Rafaelem i skopałaś mu dupę?

O ile pamiętam, zmusiłaś archaniołów do założenia tej szkoły, wybulenia budżetu na kolejne sto lat i niewtrącania się w dobrostan uczniów.

Silvanie odpłynęła krew z twarzy. Była tu nowa. Słyszała plotki o Namiestniczce, ale przytomnie dzieliła je przez osiem. Nie wiedziała, że powinna mnożyć.

– Tak, właśnie tę historię miałam na myśli. Przypomnij jeszcze Silvanie, kto zasiada w komisji dyscyplinarnej.

– Ty, Namiestniczko. I ja. A usłyszałem tu dość, by poprzeć twój wniosek.

– Jak więc widzisz, kwiatuszku, decyzja wchodzi w życie w trybie natychmiastowym. Wypierdalaj, zanim zapomnę, że Nisim nie lubi, kiedy urywam głowy niekompetentnym idiotom! – wrzasnęła jej w twarz i odepchnęła się od podłogi.

Silvana spojrzała z nienawiścią na Salomeę. Gdyby miała dość magii, zniszczyłaby to dziecko tu i teraz. Obrzydliwe diabelskie nasienie!

– Zbliź się do niej, a spadnę na ciebie jak bicz boży – zagroził Miron. – Nie będzie miejsca na ziemi, w niebie i w piekle, w którym mogłabyś się przede mną schować. Nie będę krzyczał. Po prostu cię zabiję.

Jego zimny ton zrobił na niej wrażenie. Poblądła i zaczęła się zbierać z podłogi. Już chciała wyjść z sekretariatu, kiedy zatrzymał ją głos pani Ludwiczki.

– Miałaś przeprosić Salomeę – powiedziała kobieta.

Silvana splunęła na podłogę, zwracając się w stronę dziewczynki. Pani Ludwiczka w ułamku sekundy przeobraziła się w diabolicę z ognistym biczem w dłoni. Smagnęła nauczycielkę przez plecy, aż zaskwierczała palona wełna sweterka.

– Liczę do trzech.

Była przy dwóch, kiedy Silvana z krzykiem wybiegła na korytarz.

Ludwiczka rozpogodziła się, znów przybrała formę dobroduszej zaokrąglonej sekretarki i wróciła za swoje biurko.

– Anulowałam zawieszenie twoje i Lakshmi, wasza jutrzejsza nieobecność na lekcjach będzie usprawiedliwiona – oświadczyła i jakby nigdy nic wróciła do stukania w klawiaturę. Był dopiero czwartek, ale pani Ludwiczka uznała, że dziewczynkom przyda się dłuższy weekend, i wolny piątek to minimum tego, co może im podarować, by wynagrodzić podłość Silvany.

Tymczasem Dora wciąż krążyła po gabinecie, buzując wściekłością. Wilczyca była zła, że tamtej baby nie rozszarpały, chciała wbić w nią zęby, wysyłała Dorze sugestywne obrazy przegryzionych tętnic, rozbryzgów na ścianie, krwawych ochłapów. Dora powstrzymywała ją tylko dlatego, że jedyne zęby, jakimi dysponowały, były jej własnymi.

– Doceniam, że jej nie zabiłaś. Sprzątanie byłoby piekłem, również jeśli idzie o formalności – powiedział Nisim.

– Podobno zabijanie bez uzasadnienia nie licuje z powagą urzędu Namiestniczki, a na głupotę i brak empatii niestety nie ma jeszcze paragrafu.

– Na szczęście nic poważnego się nie stało – stwierdził Nisim i widząc spojrzenie Dory, natychmiast pożałował tych słów.

– Do cholery, ta kobieta świadomie skrzywdziła moje dziecko. Obudziła traumy, Salomea zaczęła nienawidzić tego, kim jest, do tego stopnia, że zablokowała swoją magię. Prawie dogasła, rozumiesz? Gdyby nie Lakshmi, a potem Miron, pewnie by umarła. Przysięgam, zniszczę każdego, kto podniesie rękę na moją córkę lub będzie dla niej niesprawiedliwy. Jak ty! Zawiesiłeś ją i nawet nie dałeś jej możliwości wytłumaczenia

się! – Dora cisnęła mocą w ścianę, rozwalając w drobny mak szkło w ramach, które z głośnym trzaskiem spadały na podłogę. Nie zrobiło jej się lepiej. Musiałaby zdemolować całe biuro, by poczuć ulgę i dać upust nerwom. – Do tego nie wiesz, czy to jedyny przypadek. Ile dzieci miała na celowniku? Ile dręczyła, doprowadzając do zwątpienia? Wiesz, jak skomplikowane miewamy tu przypadki, jak wielu uczniów boryka się z koszmarami z przeszłości... I one nie powiedzą dorosłemu, że inny dorosły jest dla nich wredny! Powinnam ją za to zabić!

Miron wiedział, że nic, co powie Nisim, nie przekona Dory. Zamiast słuchać jego tłumaczeń, nachylił się do ucha Salomei i zapytał przyciszonym głosem:

– Słyszałaś?

Mała powoli kiwała głową.

– Nawet przez chwilę nie wątp w jej serce – powiedział. – Jeśli uznała cię za członka rodziny, przepadło. Gdy ktokolwiek będzie ci zagrażać, Dora pójdzie za tobą w ogień, zrobi rewolucję w piekle i gołymi rękami rozwali armię. Kiedy kogoś kocha, nie uznaje półśrodków.

– Ale ja jestem tylko pod waszą opieką, tak mówiła pani Silvana... A to jest coś... – zawahała się, próbując sobie przypomnieć słowo – tymczasowego?

– Kochanie, my już dawno postanowiliśmy, że jesteś nasza, na zawsze, bez odwołania. Dora uważa cię za swoją córkę. Tylko czasami zapomina, że nie czytamy jej w głowie.

– Silvana powiedziała, że gdybyście mnie naprawdę chcieli, tobyście mnie adoptowali...

Miron westchnął ciężko.

– Silvana to zły, bezduszny człowiek. Coś ci powiem, kochanie, o naszej drogiej Dorze: chronicznie nienawidzi biurokracji i załatwiania formalności. Wiesz, co to znaczy? – zapytał.

– Że się o wszystko musi kłócić? Luc tak mówił.

– Tak, to też... I jest choleryczką, więc te kłótnie są gorące i długie. W każdym razie Dora nienawidzi, gdy ktoś zmusza ją do gromadzenia dokumentów, które potwierdzają oczywistości.

– Dlatego nie chce z tobą ślubu? – zapytała zaciekawiona Salomea.

– Luc zdecydowanie za dużo ci mówi – odparł Miron z rezygnacją. – Ale tak, to dlatego. Kochamy się i postanowiliśmy być razem. To, że podpiszemy jakiś kwitek, a ona się przespaceruje w białej kiecce, nic w jej oczach nie zmieni. Myślę, że taki sam stosunek ma do adopcji.

– A ty?

– Co ja?

– Nie potrzebujesz ceremonii?

Westchnął i potarł twarz.

– Widzisz, serduszek, najwyraźniej oboje, ja i ty, potrzebujemy trochę więcej dużych słów i papierków. I chyba musimy o tym z Dorą porozmawiać.

– Ale gdy już się przestanie wściekać – zauważyła przytomnie Salcia.

– Tak, oczekiwanie to dobry pomysł.

W tym czasie Dora zdążyła się już nieco uspokoić, ale nie zamierzała jeszcze dać się udobruchać.

– Nie doszłoby do tego, gdyby był tu Joshua – warknął Nisim.

– A czyja to wina, że go nie ma? – odpowiedziała wiedźma, splatając ręce na piersi.

– Co, też niby moja? – zachnął się.

– Czy powiedziałeś mu, że nie życzysz sobie, by Laoise przebywała w okolicy szkoły i uczniów?

Zaskoczony zamrugał i potarł twarz.

– Być może... Chodziło mi o to, że nie jestem pewien, czy ona jest stabilna, z jej przeszłością...

– Nie opuściłaby zakładu, gdyby nie była, to raz. A dwa, oni są razem, próbują stworzyć zdrowy związek po tym wszystkim, co przeszła. Czekał na nią latami. Naprawdę myślisz, że w tych okolicznościach wybrałby ciebie, a nie ją?

– Ale czemu miałby wybierać? – Nisim naprawdę nie rozumiał.

– Nisim, do cholery, gdzie Joshua mieszkał przez ostatnie lata? I jak miał zrozumieć twój zakaz przebywania Laoise w pobliżu szkoły i dzieci?

I wtedy do Nisima dotarło, niczym cegła prosto między oczy.

– Cholera jasna... Jeśli on tu mieszkał, myślał... Och, do kurwy nędzy. Powinienem to z nim wyjaśnić...

– Dobry pomysł. Tylko musisz się pofatygować do nieba. Widzisz, nawet Gabe nie był takim dupkiem, by zabronić jej zamieszkać pod swoim dachem.

– To było okrutne – zaprotestował.

– Zasłużyłeś. Ciesz się, że cię lubię na tyle, by złość wyładować na Silvanie.

– Doceniam, naprawdę.

– I jeszcze jedno, Nisim: powinieneś się od razu domyślić, że to nie był ogień Salci. Gdyby użyła swojej mocy, spopieliłaby najbliższe otoczenie w ułamku sekundy. Na naszym podwórku zamieniła piasek w szło. Gdyby chciała zabić kota, Mieszka czy pozostałych, nie zostałyby z nich dość, by wsypać do urn. Drażnili się z nią, ale nie zdawali sobie sprawy, co by ich czekało, gdyby dała się sprowokować. Może powinni wiedzieć, kim jest? Może ukrywając to przed resztą, nie tylko mieszkamy w głowie mojemu dziecku, lecz także narażamy pozostałych uczniów?

– Pomyślę o tym, dziękuję.

Dora wyszła z gabinetu, przechodząc po zwęglonych drzwiach. Zatrzymała się przed Mironem i Salomeą i poczuła,

że na półeczki wpełza jej palący rumieniec.

– I właśnie dlatego, kochanie, to Miron uczy cię kontroli. Ja mam za krótki łont – zwróciła się do dziewczynki.

– Doro – powiedziała Salomea tonem tak poważnym, że wiedźmie ciarki przebiegły po kręgosłupie – myślę, że potrzebujesz rurek z kremem. Przynajmniej trzech.

Dora parsknęła.

– Czy to nie nagroda za złe zachowanie? – zapytała.

– Nie, to nagroda dla bardzo dobrej mamy – odpowiedziała dziewczynka.

Dora z miejsca miała łzy w oczach. Mocno uściskała dziewczynkę.

– Przepraszam, że nie powiedziałam ci tego wprost. Myślałam, że to wyjdzie samo, w bardziej naturalnych okolicznościach.

– Miron mi wyjaśnił, że sądzisz, że czytamy ci w myślach. Ale kiedy Roman to robi, strasznie się wściekasz. Czy to znaczy, że chcesz, byśmy robili to my, ale nie wampir? – zapytała Salcia poważnym tonem.

– Na Boginię, nie, żadnego czytania w myślach. Postaram się z wami komunikować, zgoda?

Miron i Salomea pokiwali zgodnie głowami, po czym wszyscy troje pożegnali się z dyrektorem i sekretarką i ruszyli do wyjścia.

Nisim stanął nad szczątkami drzwi i ciężko westchnął.

– Już zadzwoniłam do stolarza – zapewniła go pani Ludwiczka.

– Kiedy szefowałem siatce szpiegowskiej, nawet kiedy byłem właścicielem kilku barów, w tym co najmniej dwóch mordowni, nie spotkało mnie nic takiego – powiedział.

– No przecież to oczywiste, dyrektorze, wtedy nie miał pan do czynienia z rodzicami. Tylko idiota wchodzi między

niedźwiedzicę i jej młode.

– Przegapiłem to. Myślałem, że to kolejna kulawa kaczuszka...

– Powinna jednak przydzwonić panu w łeb, bo tam się coś zdecydowanie obluzowało – powiedziała pani Ludwiczka zgryźliwie, nie przestając śmigać palcami po klawiaturze.

Nisim usiłował znaleźć jakąś ripostę, ale miał pustkę w głowie. Starsza półdiablica uśmiechnęła się z satysfakcją. Jeszcze kilka lat temu pracowała jako kwatermistrzyni w piekielnej armii. Dobra fucha – ale nigdy się tam nie działo tyle, ile w tej szkole.

– W lodówce jest lód – zawołała jeszcze za zmierzającym do gabinetu dyrektorem.

– A na co mi lód?

– Na to posiniaczone ego – docięła mu.

Sam się podłożył. Coś ostatnio faktycznie niedomagał. Przydałby mu się urlop.

Jak każdemu pracownikowi oświaty ledwie po rozpoczęciu drugiego semestru.

Rozdział 10

Salomea chciała przeciągnąć, ile tylko się dało, przyjemne popołudnie i dzień, w którym dowiedziała, się, że ma prawdziwą rodzinę, ale zmęczenie dawało o sobie znać. Kiedy dotarli pod kamienicę po fantastycznej kolacji, deserze i spacerze starówką w realnym mieście, słała się na nogach i ziewała raz za razem. Nie protestowała, kiedy Miron przerzucił ją sobie przez ramię i wniósł po schodach. W mieszkaniu jeszcze przez jakiś czas próbowała walczyć ze zmęczeniem, ale poddała się i poszła spać przed dwudziestą. Leżąc w ciemności, uśmiechała się na wspomnienie

wszystkiego, co dziś widziała i słyszała w gabinecie Nisima. Koszmary nie dręczyły jej po raz pierwszy od wielu tygodni.

*

Miron i Dora, mając pierwszy raz wieczór tylko dla siebie, postanowili spędzić go całkiem inaczej, niż się po sobie spodziewali. Ledwie Salomea zasnęła, rozłożyli się na podłodze w salonie z kartonem, kolorowymi mazakami i linijką. Postanowili narysować dla dziewczynki drzewo genealogiczne jej nowej rodziny.

Miron poradził sobie ze swoją częścią całkiem dobrze, choć nie dodał roku urodzenia przy imionach Luca i Gabe'a – ci dwaj byli starsi niż pojęcie ludzkiego czasu. Wpisał za to siebie w miejsce adopcyjnego ojca, Joshuę i Nathaniela jako wujków, Luca jako dziadka i Gabe'a jako stryjecznego dziadka. A także kuzynów z linii poległego w czasie wojny trzeciego z braci, Ariego. Skromnie. Dodał też imiona kobiet, których nigdy nie poznał. Jedne, jak babcia Miriam, zginęły w czasie wojny, inne, jak jego mama, umarły w połogu. Żałował, że Salomea również nie może ich poznać.

Dora poradziła sobie ze swoją żyjącą rodziną biologiczną, choć przyporządkowała jej kolor pomarańczowy, co, jak wyjaśniała legenda, oznaczało, że nie utrzymują kontaktów. Niebieski kolor przypadł w udziale Faoltiarnie, praprapra – bogowie wiedzą ile razy – babci. Po chwili wahania dorysowała obok jej imienia wronę, bo była dziwnie pewna, że Fany i Badb uważają się za siostry. Wpisała swoich wampirzych synów – Joachima, Wawrzyńca i Eryka – po czym zastygła z mazakiem nad kartką.

- Hej, jak myślisz, jak wpisać wilki?
- Może jako linię od Fany?

– Albo przyłączyć je do drzewa przez Szelmę i Eryka. W końcu są małżeństwem... Choć gubi się całkiem moja rola Alfy...

– Ale jeśli zrobisz kreskę między sobą a Olafem...

– Inge nie byłaby zachwycona.

– Ja też nieszczególnie.

– Widzisz, dlatego zawsze mówiłam, że drzewo genealogiczne w tradycyjnej formie jest narzędziem niedoskonałym. – Sapnęła i zielonym mazakiem napisała „NASZE STADO”, by pod nagłówkiem narysować drzewko obrazujące hierarchię wilków z Trójprzymierza. Musiała dokleić w tym celu dwa kartony. – No i Katia, jest przecież dla Salci jak matka chrzestna. – Dopisała jej imię różowym flamastrem z takim samym serduszkim, jakim wyżej połączyła Badb i Fany.

– Wiesz, że musimy się teraz pobrać? – powiedziała, rysując linie łączące poszczególne imiona w diagramie.

Miron uśmiechnął się półgębkiem. Zastanawiał się, jak przywołać ten temat, bez ryzyka, że Dora zacznie się wić jak piskorz.

– Musimy? – zapytał więc tylko.

– Nie pozwolą nam jej oficjalnie adoptować, jeśli przynajmniej się nie zaręczymy – odparła i zmarszczyła czoło. Była to, jej zdaniem, bezczelna dyskryminacja par nieformalnych, ale nie mogła z tym nic zrobić. – Salcia potrzebuje oficjalnie zostać naszą adoptowaną córką, więc musimy przeprowadzić całą procedurę.

Przytaknął. Nie wspomniał, że w szufladzie w kuchni trzyma teczkę z kompletem dokumentów niezbędnych do rozpoczęcia procesu. Czekały na dobry moment.

– Więc nie masz wyjścia, Doro, jak tylko przyjąć moje oświadczenia – stwierdził i wyszczerzył się w uśmiechu.

– Dawno nieponawiane, więc w sumie nie wiem, czy aktualne – zaprotestowała.

– Aktualne. Wyjdiesz za mnie? – zapytał. Wyobrażał to sobie inaczej. Zresztą kilka razy próbował w romantycznych, drobiazgowo zaaranżowanych okolicznościach.

– No dobra – przyznała z westchnieniem.

– Tak po prostu? – zdziwił się.

– Kocham cię, ty kochasz mnie. Nie potrzebuję ceremonii, która to potwierdzi. – Spojrzała na niego znad rysunku. – Chyba nie chcesz, bym teraz zgrywała niedostępną i kazała ci błagać?

– To podpadałoby pod tortury, a tego zabrania ci kilka konwencji.

– Czy diabły są objęte konwencją genewską? – dopytywała.

Parsknął śmiechem.

– Uznajmy, że bardzo źle wyglądałoby to w tej historii, którą będę opowiadał naszym wnukom – powiedział, a potem pacnął się w czoło. – Nie mam pierścionka.

Nigdy go nie kupił, bo nigdy nie zdołał określić, jaki właściwie może jej się podobać. Joshua uważał, że powinien Dorze kupić zaręczynowe noże. Albo praktyczne zaręczynowe kajdanki.

Zaśmiała się.

– No widzisz. Taki natarczywy, a jak przychodzi co do czego... Przecież wiesz, że nie potrzebuję pierścionka – przypomniała mu wspaniałomyślnie.

– Nie, nie, nie. Nie ma mowy. Jutro się wyprzesz i powiesz, że nie pamiętasz tej rozmowy, a nawet jeśli się odbyła, na pewno się nie zgodziłaś – zaprotestował.

– Nie zrobiłabym tego!

– Zwaliłabyś to na emocjonujący dzień i chwilową niepoczytalność. Potrzebuję dowodu.

Podniósł czarny mazak i na serdecznym palcu lewej ręki Dory narysował wąską czarną obrączkę z okrągłym oczkiem.

– Permanentny, jak lubię – oświadczył, bardzo z siebie zadowolony.

Popatrzyła na swoją dłoń.

– Niezły, przynajmniej nie zgubię. Może powinnam go sobie wytatuować?

– Ponoś kilka dni. Będę go odświeżał, gdy zblednie, i zobaczymy.

– Ale chyba nie chcesz hucznego wesela? – zapytała ze zgrozą.

– Tylko najbliższa rodzina – zapewnił.

Spojrzała na drzewo genealogiczne w sześciu kolorach, rozpisane na pięciu krzywo przyklejonych kartonach.

– Cholera – mruknęła.

Miron śmiał się tak głośno, że rzuciła w niego poduszką, by nie obudził Salomei. Przeklęty diabeł. Będzie triumfował, nie miała co do tego wątpliwości.

Rozdział 11

Lakshmi oparła rower o ścianę kamienicy, a kiedy po chwili zjechał na ziemię, nawet nie zauważyła. Oddychała ciężko, bo właśnie pobiła swój rekord na tej pięciokilometrowej trasie, a stado kruków i wron krążyło nad jej głową równie zdenerwowane jak ona. Pchnęła drzwi na klatkę schodową. Kruki zostały na zewnątrz, ale jedna z wron, szczególnie ciekawska, wleciała do środka z głośnym skrzeczeniem. Siedząc na poręczy, patrzyła w dół i darła się na Lakshmi, jakby nie rozumiała, czemu ta nie rozwinie skrzydeł i nie polecą, tylko mozolnie wspina się po drewnianych schodach.

– Nie bądź taka sprytna – warknęła dziewczynka.

Wrona kłapnęła dziobem, co miało oznaczać śmiech.

Lakshmi stanęła przed drzwiami na ostatnim piętrze i uniosła pięść, chcąc zastukać, lecz te otworzyły się na oścież. A dziewczynka poznała całkiem nową wersję Dory Wilk.

Zaspana, rozczochrana, w spodniach od piżamy i topie, na bosaka, stała w progu z rękami zaplecionymi na piersi i spod zmarszczonych brwi obserwowała przycupniętą na wysokim parapecie wronę.

– Mogę ją wypuścić oknem – zapewniła dziewczynka – tylko tam nie sięgnę, by otworzyć.

– Jest twoja? – upewniła się Dora.

– Jest ze mną – odparła Lakshmi, bo to było znacznie bliżej prawdy.

Dora się uśmiechnęła i z jej twarzy całe napięcie odpłynęło.

– Uff, świetnie. Już się bałam, że to znów Badb miesza w moim życiu i planach na wolny weekend. – Wyszczrzyła się w uśmiechu. – Wiesz już, że wasze zawieszenie zostało anulowane?

Pokiwała głową. Salcia napisała jej o wszystkim na Messengerze.

– Stało się coś bardzo złego – powiedziała.

Dora westchnęła i wpuściła dziewczynkę do środka.

Wrona wleciała za nią. Dora była przekonana, że ptaszysko zerkało na nią w dziwnie znajomy sposób. Nadal nie założyłaby się o nic cennego, że to nie Badb.

Salomea i Miron wciąż siedzieli przy stole, celebrując rzadki cud rodzinnego śniadania, kiedy poczuli szarpnięcie zakłęcia na drzwiach wejściowych, a potem usłyszeli wronę.

Lakshmi, z twarzą zaczerwienioną od wysiłku, opadła na wolne krzesło i wypaliła:

– Ten łajdak porwał dzieciaki.

Jeszcze chwilę temu Dora myślała, że dziewczynka przesadza z tym „bardzo złego”, zrozumiała jednak, że była w błędzie.

Usiadła więc i poprosiła:

– Po kolei.

– Moi skrzydlaci przyjaciele mieli oko na kolesia, którego pokazała mi ostatnio Salomea... – Zawahała się i spojrzała na Salomeę, jakby niepewna, ile powinna powiedzieć.

Salamandra kiwnęła głową.

– Już im powiedziałam – uspokoiła przyjaciółkę.

– Gość znów wrócił do szkoły. Zaparkował tam, gdzie ostatnio. Tuż przed ósmą podjechał samochód, wysiadło dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka. Są młodszy niż my, kruki rozpoznałyby ich bez wahania, ale nie potrafią przekazać szczegółów... Rodzice odjechali, dzieci szły w stronę szkoły, kiedy ten łajdak wyskoczył z auta, złapał oboje i wrzucił na tylne siedzenie. Zaraz potem odjechał. Dzieciaki krzyczały i waliły pięściami w szybę, ale nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby im pomóc.

– Czy kruki wiedzą, dokąd je zabrał? – zapytała Dora.

– Niestety, wszystkie przyleciały do mnie i stukały w szybę, aż się obudziłam.

Wrona zaskrzeczała z wyrzutem z wysokości lodówki.

– Nie mówię, że jesteście głupie, ale tym razem zabrakło wam doświadczenia w śledzeniu ludzi – powiedziała Lakshmi do ptaszyska.

Wrona przechyliła głowę, jakby zastanawiała się, czy może przyjąć taką ocenę sytuacji, a potem zaskrzeczała. Nawet Dora usłyszała w tym odgłosie cień skruchy.

– Dobra, zbieram się, muszę się ogarnąć. Miron, zadzwoń do Nisima, może jakimś cudem będzie wiedział, których dzieci brakuje w szkole.

Wciąż była na niego zła.

Zamknęła się w sypialni, zrzuciła piżamę, która była jej synonimem szczęśliwych chwil w domu, i wciągnęła dzinsy, T-shirt i bluzę. Splotła warkocz. Do paska przypięła kaburę

z glockiem, a przez ramię przerzuciła skórzaną pochwę z mieczem. Upewniła się, czy jej zestaw magiczny jest kompletny, po czym wrzuciła go do torby. Nie miała pojęcia, z czym przyjdzie jej się mierzyć, ale sama myśl, że jakiegokolwiek dziecko miałoby wpaść w ręce kumpli Herostratesa, sprawiała, że robiło jej się niedobrze.

Kiedy wyszła, nie miała w sobie już nic z miękkiej, rozczochranej, domowej wiedźmy. Lakshmi pomyślała, że wystarczą trzy minuty, by przeobraziła się w Namiestniczkę.

– Nisim policzył dzieciaki? – zapytała Mirona, sznurując glany.

Diabeł skinął głową.

– Wersja kruków się potwierdza. Dwójka z młodszej grupy, Piotrek i Ada, nie dotarła na lekcje. Nisim skontaktował się już z rodzicami. Pyta, czy spodziewasz się żądania okupu.

– Obawiam się, że to nie ten przypadek. – Skrzywiła się. Spojrzała na Salomeę niepewna, jak młoda zareaguje na to, co się dzieje.

Zamrugła, widząc, że dziewczynka też się zdążyła przebrać. W czarnych dżinsach, sweterku w czerwono-czarne paski i skórzanej ramonesce wyglądała, jakby wybierała się na wojnę gangów.

– Zostajecie w domu – powiedziała do Salci i Lakshmi.

– Nie zostajemy – oświadczyła stanowczo jej przybrana córka. – Lakshmi może go namierzyć. A ja... – zawahała się, ale nie straciła rezonu – ja jestem jedyną, która zna tego typa i potrafi go rozpoznać z całkowitą pewnością. Nie możecie nas odstawić na boczny tor.

– Jeśli spróbujecie, i tak pojedziemy rowerami. I jeżeli znajdziemy go szybciej niż wy, będziemy pozbawione waszego wsparcia – dodała równie twardo Lakshmi.

Miron wzruszył ramionami. Czuł się przekonany.

– Przecież z nami będą bezpieczniejsze niż same – stwierdził.
I Dora musiała przyznać mu rację.

– Dobra, zwijajcie się. Zaczynamy od szkoły – zakomenderowała.

Wrona zakrakała głośno, uderzając skrzydłami o lodówkę. Najwyraźniej domagała się wliczenia jej do ekipy.

*

Nisim czekał na nich przed bramą, wyraźnie zdenerwowany.

– Czemu ja się o wszystkim dowiaduję ostatni? – warknął.

– Bo kiedy moja córka przyszła cię ostrzec, oskarżyłeś ją o podpalenia – ucięła Dora. Nie wspomniała o własnym poczuciu winy, bo przecież usłyszała od Salci o typie, ale gdy wpadła tu z awanturą, ten szczegół całkiem wypadł jej z głowy. – Mów, co wiesz: o dzieciach, ich rodzicach, talentach, sytuacji finansowej.

– Rodzice, Stanisław i Karolina Szumowscy, mają małą firmę z materiałami biurowymi, nie widzę pola do szantażu. Piotrek ma sześć lat, Ada rok więcej. Ich moce się dopiero budzą, ale nie spodziewam się po nich żadnego potencjału bojowego. Chłopiec będzie prawdopodobnie magiem wody, dziewczynka jest wiedźmą powietrza. Nie widzę nic, co ich wyróżnia...

– Są mali i ufni. Ich rodzice często się spóźniają i odjeżdżają, zanim dzieciaki wejdą do szkoły. Łatwe ofiary – powiedziała Salomea, stojąca krok za Dorą.

Nisim odwrócił się w jej stronę.

– Znasz go? – spytał zaskoczony. – Wiesz, kto ich porwał?

Kiwnęła głową.

– On nie chce ich magii, nie w taki sposób, w jaki Herostrates chciał mojej. Ale... musimy je odzyskać, zanim się do nich zbliży – odparła cicho.

– Moi ludzie już go szukają. Byłoby dobrze, gdybyśmy znali numer rejestracyjny, nazwisko, cokolwiek! – krzyknął sfrustrowany Nisim. – Wyciągamy kamery monitoringu, ale żadna nie jest skierowana na zewnątrz szkoły, na ten cholerny parking przy przystanku. Możesz być pewna, że to się zmieni – zwrócił się do Dory.

– Lakshmi go znajdzie – stwierdziła pewnym tonem Salomea. Dorośli spojrzeli na nią z powątpiewaniem.

– Muszę się dostać na dach – powiedziała bestiarka. – Muszę się znaleźć wyżej niż ziemia i mieć miejsce do lądowania.

Nisim zerknął na Dorę, jakby chciał potwierdzenia, że traktują Lakshmi poważnie. Wronie, która wciąż krążyła nad ich głowami, nie podobało się, że ktokolwiek wątpi w moc jej przyjaciółki. Zapikowała gwałtownie i tylko protest Lakshmi zatrzymał ją kilka centymetrów od twarzy dyrektora.

– Nie jest wrogiem – warknęła dziewczynka. Wrona niechętnie wzbiła się wyżej. – Widziała pana z panią Silvaną, a jej moje ptaki nienawidzą – dodała.

Nisim westchnął. Cieszył się w duchu, że Dora wparowała wczoraj sama, bez matki Lakshmi. Ta drobna kobieta miała w sobie coś niepokojącego, nie potrafił określić drzemiącej w niej mocy.

Zaprowadził ich więc do szkoły, przez cały budynek, aż na strych, z którego drabinką można było wyjść na dach.

– Lepiej zostańcie w środku – poradziła Lakshmi. – One się łatwo ekscytują, a dzioby mają ostre.

Posłuchali. Dora stała przy otwartym włączniku, nie mogąc znieść bezczynności. Wyglądała na zewnątrz, obserwując Lakshmi.

Dziewczynka usiadła okrakiem na szczycie dachu. Kredą wypisała na pomarańczowych dachówkach kilka sanskryckich znaków i zaczęła nucić w języku, którego wiedźma nie znała,

i nawet zakłęcie poliglocji nie podpowiadało jej choćby przybliżonego znaczenia słów wyśpiewywanych przez Lakshmi. Poczwała narastanie magii. Włoski stały jej na karku i ramionach. Wilczyca poruszyła się, ocierając się futrem o żebra.

Nie warczała, nie odbierała tego, co robiła bestiarka, jako zagrożenia, ale była zainteresowana.

I wtedy się zaczęło. Zlatywały zewsząd: kruki, wrony, gawrony, kosy, sójki, wróble, gołębie, kawki, a nawet jastrzębie i sokoły, których zwykle nie widywano w mieście. Nie polowały na siebie, wyglądało na to, że zgodnie przybyły na wezwanie i to ono było dla nich priorytetem.

Lakshmi wciąż śpiewała, jakby potrzebowała ptaków coraz więcej i więcej. Niebo nad szkołą poczerniało od gęstniejącej chmary. Były zaskakująco ciche, żaden nie krakał ani nie skrzeczał, nawet łopot skrzydeł pozostawał przytłumiony, jakby szybowały w ciepłych prądach powietrza.

Przylatywały kolejne: sowy, puchacze, nawet dzikie kaczki. Setki, tysiące ptaków obsiadły dach, a pozostałe wciąż krążyły nad budynkiem, pokrywając niebo furkotliwą czernią skrzydeł i dziobów.

Lakshmi skończyła śpiewać i wzniosła ręce. Opadły na nie, owijając szpony wokół przedramion, jastrząb i kruk. Dziewczynka przemówiła do nich w przedziwnym, jakby pozbawionym samogłosek języku, a one wzbiły się ku niebu i pofrunęły w kierunku miasta. Wkrótce chmara się rozproszyła, gdy ptaki poszybowały w cztery strony świata.

Lakshmi ostrożnie wstała i przeszła po grzbiecie dachu do wjazdu. Dora asekurowała ją, gdy schodziła po chybotałej drabince.

– I co? – zapytała niecierpliwie.

– Szukają. Wiedzą, jakim jeździ samochodem, wiedzą, że na lusterku zawiesił sobie breloczek w kształcie piłki nożnej i malutką koszulkę w biało-czerwone paski z logo Cracovii, że może mu towarzyszyć dwójka dzieci z jasnymi kręconymi włosami. I że on sam jest ogolony prawie na łyso i zostawia za sobą łuski pestek słonecznika. Jeśli jest w mieście, znajdą go.

– Ile to zajmie? – dopytywała Namiestniczka.

– Gdzieś między dziesięcioma minutami a dobą. Choć nocą tylko niektóre będą mogły go szukać. – Lakshmi wzruszyła ramionami. Zgadywała. Tylko kruki miały jako takie poczucie czasu, były inteligentniejsze niż większość ptaków.

Dora nie wiedziała, jak to skomentować. Czekanie nie wchodziło w grę. Uchwyciła się więc tego, co mogła zrobić.

– Jakim samochodem jeździ?

– Oliwkowy ford focus, ślady rdzy na rurze wydechowej i bocznych drzwiach. Koc w pomarańczowo-brązową kratkę na tylnym siedzeniu. Miał znaczek na przednim oknie, naklejkę z małym hologramem... Choć teraz już pewnie niewiele z tego widać. Gdybym miała zgadywać, jeśli facet nie pojechał rano na myjnię, jego samochód jest pokryty ptasim gównem.

Dora się uśmiechnęła. Polubiła tę dziewczynkę, nie tylko dlatego, że miała dobroczynny wpływ na Salomeę. Zdała sobie sprawę, że darzy bestiarę szacunkiem. Wyciągnęła dłoń, by ją poklepać po plecach, ale kurtka małej zafalowała gwałtownie i zza pazuchy wychynął łeppek wiewiórki.

*

Wyszli z budynku. Nisim obdzwonił swoich ludzi, by przekazać im dodatkowe dane na temat samochodu. Dora skontaktowała się z technikiem w jednostce, Sewerynem Bjarke, który był całkiem skuteczny w przekopywaniu baz danych i pisaniu

algorytmów szpiegowskich, a potem z Krzyśkiem, policjantem, którego córeczka Maja też chodziła do szkoły Nisima.

Krążyli po dziedzińcu, mówiąc do słuchawek, a Lakshmi, Salomea i Miron przysiedli na murku, czekając.

Miron zastanawiał się, które z nich pierwsze dostanie wyniki: Dora ze swoim policyjnym i technicznym zapleczem, Nisim ze szpiegowską siatką rozrzuconą po mieście, czy dwunastoletnia dziewczynka z kieszeniami pełnymi gryzoni, które spokojnie dokarmiała pestkami dyni.

I to Lakshmi miała pierwsze wyniki. Ptaki zaczęły się zlatywać, pojedynczo i w małych grupkach. Świergotały, krakały, kłapały dziobami, zdając relację, a bestiarka słuchała uważnie, po czym nakazała im szukać dalej.

– Nie znalazły go na starówce ani po tamtej stronie Wisły. Poszerzą obszar poszukiwań. Nic się nie ukryje przed ptasim wścibstwem. A nawet gdyby, to są jeszcze myszy, szczury, koty... Mam oczy w całym mieście. Znajdziemy go – zapewniła ze spokojem.

*

Nisim odciągnął Dorę na bok i zapytał:

– Nie chcę naciskać Salomei, ale może ty wiesz, po co mu te dzieci?

Dora z frustracją wzruszyła ramionami.

– Jest co najmniej kilka powodów, dla których ktoś miałby porwać dwójkę magicznych dzieciaków. Pewnie łatwiej poszłoby mu ze zwyczajnymi, których pełno w parkach, na placach zabaw i podwórkach szkolnych, więc zakładam, że magia jest wabikiem. Rozumiem, o co mnie pytasz, ale nie mam odpowiedzi. Nie wiem, czy chce przejąć ich magię, złożyć je

w ofierze, sprzedać komuś, czy może jest pedofilem, który lubi żerować na swoim rodzaju – powiedziała.

– Myślisz, że mamy jeszcze czas? – zapytał z powątpiewaniem.

– Pytasz, czy żyją?

Skinął głową.

– Zakładam, że tak. Zawsze zresztą, dopóki nie znajdę ciała, zakładam, że wciąż mogę ocalić uprowadzonych.

– Zawaliłem – burknął. – Powinienem mieć lepszy system ochrony. Owszem, na początku miałem ochroniarzy, ale rodzice wytykali mi paranoję i marudzili, że uzbrojony strażnik straszy dzieci...

– Będziesz miał okazję wprowadzić wszelkie zmiany, jakie w tym zakresie przyjdą ci do głowy. Gdy wieści rozejdą się wśród rodziców, nikt już nie będzie kwestionował potrzeby ochrony – zapewniła Dora. I wiedziała, że jeszcze tej nocy Nisim sporządzi wielostronicowy plan ulepszenia zabezpieczeń wokół szkoły.

By nie tracić czasu, postanowili przepytac uczniów, w nadziei, że może ktoś zauważył coś nietypowego, zrobił przypadkiem zdjęcie numerów rejestracyjnych samochodu czy porywacza. Potem próbowali uspokajać rodziców porwanych dzieci, którzy nie mogli sobie darować, że nie odprowadzili pociech pod same drzwi szkoły.

Dora nie mogła przestać myśleć o tym, jak by się czuła na ich miejscu. Gdyby w życiu Salomei znów pojawił się ktoś taki jak Herostrates... Zawsze miała mnóstwo empatii dla ofiar i ich rodzin, ale teraz uruchamiały jej się dodatkowe instynkty, a żołądek skręcał z nerwów. Nie umiała przestać sobie wyobrazać, co właśnie może spotykać uprowadzone dzieci. Jej najsolidniejszym punktem zaczepienia była dwunastolatka ze

stadem ptaków, bo innych śladów nie miała. Wyszła przed szkołę i bez słowa przytuliła Salcię.

*

Godzinę później kruk opadł na ziemię u stóp Lakshmi i głośno zaskrzeczał, wyraźnie z siebie zadowolony. Dziewczynka pochyliła się i pogłaskała go po lśniącym czernią łepku.

– Spisałeś się – pochwaliła i podała mu kuleczkę granoli. Spojrzała na Mirona i powiedziała: – Wiedzą, gdzie on jest. Nie potrafią podać adresu, ale nas tam zaprowadzą. Jakieś sześć kilometrów w linii prostej, nie całkiem w Toruniu, cokolwiek to znaczy.

Miron zawołał Dorę.

– Jedziemy, wyjaśnię po drodze – rzucił.

Chwilę później siedzieli w samochodzie, a budynek szkoły małał za ich plecami.

Rozdział 12

Miron prowadził samochód, Dora i Salomea siedziały na tylnym siedzeniu, a cały ciężar wskazywania drogi spoczywał na Lakshmi, która opuściła szybę i wyglądała przez okno jak labrador. Z czarnymi włosami rozwianymi wokół głowy obserwowała kruki, które były bardzo mądrymi ptakami i wyjątkowo nieskutecznymi przewodnikami. Kompletnie nie rozumiały ograniczeń, jakie nakładały na ludzi zasady ruchu drogowego. Droga jednokierunkowa? Kto to słyszał, przecież latać można w każdym kierunku. Można też przelecieć nad parkiem czy zamkniętym osiedlem.

Mimo to dawali radę. Wkrótce opuścili administracyjne granice miasta i zmierzali w stronę Małej Nieszawki. I nagle go

zobaczyli – oliwkowy ford focus z pordzewiałymi drzwiami stał krzywo zaparkowany na poboczu, z jednym kołem wiszącym nad rowem. Pusty.

Zaparkowali kawałek za samochodem porywacza i wysiedli. Lakshmi wyciągnęła rękę i pozwoliła krukowi wylądować na przedramieniu. Pogłaskała go po główce, a on otarł się dziobem o jej policzek. Miron miał ochotę krzyknąć: „Uważaj na oczy!”, ale uznał, że byłaby to przesada. Dziewczynka wiedziała, co robi. Sam odruch spanikowanego rodzica w gruncie rzeczy... mu się spodobał. Życie z Salomeą go zmieniło.

Dora rozejrzała się zaskoczona. Samochód stał właściwie na odludziu, do wioski był jeszcze kawałek. Dopiero po chwili dostrzegła za gęstymi krzakami szary cień budynku w sporej odległości od szosy. Zapuszczona okolica i prawie całkiem zarośnięta droga dojazdowa kazały sądzić, że nikt tu raczej nie mieszka.

Salomea nie rozumiała, czemu nagle zrobiło jej się zimno. Skąd to dziwne uczucie, jakby pełzały po niej mrówki, skąd ból głowy...? Coś w tym miejscu budziło w niej wspomnienia, złe wspomnienia, które wcześniej Jemioła tak skutecznie ukryła w jej pamięci. Obrazy, dźwięki, zapachy napływały do niej, ale nie umiała ułożyć ich w całość. Były jak strzaskany kalejdoskop, okruchy lustra i szkła. Chciała coś powiedzieć Mironowi, ale... nie wiedziała co. Nie umiała przełożyć na słowa tego, co się działo w jej głowie.

Dora czuła magię w powietrzu, ale nie potrafiła określić, czym jest – echem czegoś z przeszłości czy może ostrzeżeniem przed czającym się tu gdzieś zaklęciem, które miało usmażyć potencjalnych intruzów albo ostrzec porywacza.

Salomea szepnęła coś do kruka i ten wzbił się w powietrze. Przez chwilę krążył nad okolicą, a potem znów opadł na wyciągniętą rękę Lakshmi. Westchnęła z frustracją.

– Budynki, mnóstwo drzew, śmieci. Nie widział dzieci ani faceta, są pewnie w środku – zrelacjonowała.

– Możemy się tam zakraść – zaproponował Miron.

Dora się skrzywiła. Czuła coraz wyraźniej, że coś jest z tym miejscem nie tak. Podniosły jej się włoski na karku.

– Jest sposób... – powiedziała Lakshmi cicho.

Wiedźma odwróciła się w jej stronę i zapytała:

– Sposób na co?

– Na rekonesans bez wchodzenia tam.

– Sama mówiłaś, że kruk nic nie widział – zauważyła.

– Bo był za wysoko, ale to nie wyczerpuje moich możliwości. Tylko... będę potrzebowała pomocy.

– Mów, czego ci trzeba – zakomenderowała Dora.

– Jest takie zaklęcie. Ale nie wolno mi przy tym stać na ziemi, generalnie nie mogę niczego dotykać stopami.

– Chodzi o uziemienie magiczne? – dopytała Dora, marszcząc brwi.

– Tak, więc odpada też stanie na krześle czy na masce samochodu. W grę wchodzi tylko żywa istota.

Wiedźma czytała o tego rodzaju zaklęciach.

– Jeśli to będzie dla ciebie niebezpieczne, nie ma mowy – orzekła twardo.

– Spokojnie, żadnego wieszania się na drzewie w poszukiwaniu mocy – wyjaśniła bestiarka. – To nie moja mitologia. Będę połączona ze zwierzakami. Zresztą robiłam to już – dopowiedziała wymijająco. – Dopóki nie dotykam ziemi, jest dobrze.

– Wziąć cię na barana? – zaproponował Miron.

– Poproszę.

Dziewczynka zaczęła rysować u jego stóp ciąg sanskryckich znaków.

Żadne z nich nie rozumiało tego języka, zwłaszcza że Lakshmi wydawała się używać liter w podobny sposób, jak w Skandynawii używano run. Postawiwszy ostatni symbol, upewniła się, że wszystko jest tak, jak należy.

– Wzywasz owady? – spytała Dora.

Bestiarka pokręciła głową.

– Owady ze mną nie gadają. Choć mam dalekiego kuzyna, który się komunikuje z chitynowcami. Dobra, jestem gotowa.

Wyciągnęła ręce do Mirona, a ten kucnął i wziął ją na barana. Podskoczyła, upewniając się, że uchwyt jest odpowiednio mocny, i zaplotła mu ręce na karku.

– Nie upuścisz mnie? – spytała.

– Spokojnie, ledwie czuję twoją wagę – zapewnił.

Lakshmi zamknęła oczy i zaczęła nucić. Melodia różniła się od inkantacji na dachu. Przeciąganie samogłosek, sekwencyjne wznoszenie się i opadanie dźwięków przypominało Dorze śpiew muezinów.

Kiedy się pojawiły, z trudem zwalczyła pokusę, by krzyknąć i wskoczyć na maskę samochodu. Niby nie brzydziła się myszy i szczurów, ale dotychczas widywała je raczej pojedynczo. Teraz ulicę zalała ciemna, ruchliwa fala, gryzonie nadciągały z pól, rowów, krzaków, zarośli. Wydawały ogłuszający pisk i Dora przysłoniła uszy dłońmi, myśląc, że chyba już zawsze będzie słyszała jego echo w koszmarach. Odruchowo odciągnęła Salcię na bok, z dala od Lakshmi i Mirona, bo mała bestiarka bez wątpienia stała się epicentrum gryzoniowego tsunami.

Miron stał na szeroko rozstawionych nogach, z zamkniętymi oczami. Zwierzęta przebiegały mu po butach, ocierały się o łydki, wspinały się po nogawkach, jakby chciały dotknąć Lakshmi, ale zeskakiwały, zanim minęły jego kolana, jakby przypominały sobie o powierzonych misji. Wszystkie biegły

w stronę zabudowań. Trawa i zarośla kotłowały się od małych stworzeń.

Nagle dziewczynka przestała nucić i uniosła powieki. Dora zauważyła, że jej oczy się zmieniły – poczerniały; wyglądały jak czarne koraliki, bez śladu białek. Była pewna, że gdyby teraz pomachała jej przed nosem, Lakshmi by tego nie widziała. Patrzyła na coś zupełnie innego, znajdującego się w innym miejscu.

Dora przeklinała w duchu, że nie dopytała bestiarki, co zamierza. Czytała o tym zaklęciu, było cholernie niebezpieczne. W książce, w której je umieszczono, w ramach ostrzeżenia opisany był przypadek bestiara, który zjednoczony z duchem szczura wypuszczonego na przespiegi zmarł, kiedy przypadkowy kocur upolował wziętego we władanie zwierzaka. Mężczyzna nie zdążył się rozłączyć i jego mózg potraktował śmierć gryzonia jak jego własną.

Czy Lakshmi mogła się połączyć z całą tą chmarą? Chyba nie... Zdecydowanie wykraczało to poza wyobrażenie Dory o zasięgu zdolności magicznych dwunastolatki. Miała nadzieję, że się nie myli, bo w każdej chwili któryś z czworonożnych szpiegów mógł paść ofiarą drapieżnika czy miotły. Dziewczynka musiałaby błyskawicznie przeskakiwać z jednego ciała do drugiego, między jaźniami, by uniknąć uwięzienia w pechowym. I nagle Dora zrozumiała, czemu Lakshmi chciała, by Miron ją trzymał nad ziemią. To szalone dziecko serwowało sobie podróż astralną! A najtrudniejsze w podróży astralnej wcale nie jest oderwanie się od ciała. Najtrudniejszy jest powrót.

Cholera jasna, pomyślała. Lakshmi miała dwanaście lat, a oni nawet nie skontaktowali się z jej rodzicami. Gdyby choć włos spadł jej z głowy, mieliby przesrane.

Nagle Lakshmi zamrugła i znów miała ludzkie oczy. Uwolnione gryzonie rozbiegały się po chaszczach i rowach. Dora odetchnęła. Wiedziała, że nieprędko zapomni, jak wiele ich było w okolicy i jak licznie odpowiedziały na wezwanie.

– Jest z tyłu, na parterze budynku z zakratowanymi oknami bez szyb. On i dwóch mężczyzn. Dziwnie tam pachnie. Piotrek i Ada są na piętrze – powiedziała ochryłym głosem, jakby jej struny głosowe przestawiały się z mysiego pisku na ludzką mowę.

Dora odetchnęła z ulgą.

– To dobra wiadomość. Jeśli go podejdziemy, nie zdąży wziąć dzieci za zakładników.

– Zostańcie w samochodzie, zamknijcie się od środka – zarządził Miron, zwracając się do dziewczynek. Pochylił się do Salci i dodał spokojnie: – Gdybyście były w niebezpieczeństwie, użyj ognia. Wasze bezpieczeństwo jest priorytetem.

Nie odeszli, dopóki Salomea i Lakshmi nie znalazły się na tylnym siedzeniu auta. Chwilę później zagłębili się w zarośla. Szli ciszej niż gryzonie, żaden szelest nie zdradzał ich kroków. Dora wyciągnęła Glocka. Miron nie miał broni – jako pyr był bronią sam w sobie.

*

Dziewczynki siedziały w samochodzie od kilku minut, kiedy coś wzbudziło niepokój Lakshmi. Usłyszała skrobanie, a zaraz potem dostrzegła szczura, który drapał pazurkami w szybę, piszcząc nerwowo. Coś było nie tak!

Odblokowała zamek i wyszła na zewnątrz. Gryzoń przebiegł po dachu, wyraźnie podekscytowany, i zeskoczył w jej wystawione dłonie. Był cały mokry. Futerko miał pozlepiane.

Pachniał... dziwnie. Zaniepokojony tą wonią, lizał futerko i wzdrygał się, jakby z obrzydzeniem.

Kiedy Salomea poczuła ten zapach, doznała olśnienia. Przypomniała sobie, skąd zna to miejsce. I wiedziała już, czym jest płyn na futerku szczura...

– Powiedz mu, by tego nie lizał, to trucizna, zła magia – powiedziała cicho. – Zapytaj go, czy zmoczył się w tym budynku, gdzie są ludzie.

Lakshmi nie musiała nawet powtarzać, szczur zostawił futerko w spokoju, jakby zrozumiał każde słowo Salomei. Może tak było.

– Muszę tam iść – szepnęła głucho salamandra. – Oni nie mogą zginąć, nie tak...

Wysiadła z samochodu jak automat.

– Poczekaj. – Lakshmi złapała ją za ramię. – Poradzą sobie z trzema zbirami.

– Nie, jeśli Miron użyje ognia i jeśli Dora strzeli... Nikt nie przeżyje, dzieci też nie...

– Dobra, idziemy razem – oświadczyła bestiarka – ale nie wpakujemy się tam jak kamikadze. Nie jesteśmy wielkimi drabami, za to mamy rozum i spryt – dodała.

Szczur poprowadził je okrężną drogą, przez zagajnik, dzięki czemu nie musiały się kulić i skradać, bo okna budynku wychodziły w drugą stronę. Biegły, póki drzewa nie przestały ich osłaniać. Wtedy przekradły się wzdłuż starych szop, aż na tyły budynku. Jedynie okna na parterze były okratowane, na piętrze znajdował się mały balkon bez balustrady. Pod nim piętrzyła się sterta palet, pustaków, elementów ogrodzenia. Dziewczynki wykorzystały je jak schody i zwinnie, uważając, by się nie poślizgnąć, wspięły się na sam szczyt. Następnie ustawiły jedną z palet jak drabinę i oparły ją o ścianę.

Wygramoliły się na balkon, a z niego przez wybite okno dostały się do środka.

Skradały się ostrożnie, omijając odłamki szkła i gruz na podłodze. Wypatrywały dzieci. Ada i Piotrek byli w drugim pokoju. Wystraszeni, związani, ale chyba cali i zdrowi. Salomea i Lakshmi pokazały im na migi, że muszą być cicho, i dopiero wtedy rozwiązały im kneble. Salomea wyciągnęła scyzoryk i rozcięła plastikowe więzy.

– Wiejemy, jak najszybciej. Wymkniemy się, zanim nas zauważą, dobrze? – szepnęła.

Brat i siostra z powagą pokiwali głowami.

Dziewczynki zaprowadziły rodzeństwo do pokoju z balkonem i pomogły mu wyjść oknem na podest. Lakshmi zeszła pierwsza i asekurowała maluchy. Spojrzała w górę i zobaczyła, że Salomea nie rusza się z miejsca.

– Muszę im pomóc – szepnęła. – Już są w środku, słyszałam hałas...

– Możemy ich zawołać... – powiedziała Lakshmi.

– Za późno. Wyprowadź dzieciaki do samochodu. Ogień już śpiewa – odparła i wróciła oknem do budynku.

Lakshmi szybko zsunęła się na ziemię i pomogła dzieciom pokonać ostatni etap drogi na dół. Poprowadziła ich trasą, którą przyszły, ostrożnie, tuż przy ścianach szop, a gdy dotarli do zagajnika, puściły się biegiem w stronę ulicy. Bestiarka zamknęła całą ich trójkę w samochodzie i przygryzła wargi. Coś jej mówiło, że powinna wrócić do budynku. Spojrzenie Salomei miało w sobie coś ostatecznego.

*

Dora i Miron nasłuchiwali, niepewni, czy potwierdzi się wersja szcurzych zwiadowców. Ostrożnie zajrzeli do budynku przez

okratowane okno. Zlokalizowali dwóch mężczyzn. Miron przemknął wzdłuż ściany do drugiego okna i przy schodach na piętro wypatrzył trzeciego. Wrócił do Dory i wyrysował na ziemi plan pomieszczenia, po czym zaznaczył iksami położenie trzech gości.

– Jak to załatwimy? – zapytał szeptem.

– Nie możemy im pozwolić wyjść na górę, więc najlepiej szybko i brutalnie. Zdejmę gościa przy schodach, do tego czasu musisz rozproszyć pozostałych – powiedziała z glockiem w dłoni.

Kiwnął głową. Gdy oboje znaleźli się pod drzwiami, ostrożnie nacisnął klamkę. Zamknięte. Wiedzieli, że pozbawiają się elementu zaskoczenia, nie mieli jednak wyjścia: Dora przestrelała zamek, a Miron wykopał drzwi. Wpadli do środka i wiedźma zajęła pozycję, z której mogła widzieć gościa przy schodach. Gdy pyr zasłonił ją przywołanymi płomieniami, bez pudła trafiła mężczyznę przy schodach w pierś. Nawet nie zdążył krzyknąć. Zwrócili się ku facetom w rogu. Jeden z nich, ten, którego opisywała im Salomea, sięgnął po strzelbę opartą o ścianę, a Miron posłał w jego stronę słup ognia. Lecz stało się coś dziwnego. Obaj faceci zaczęli wrzeszczeć. Ogień nie zdołał ich dotknąć, ale z jakiegoś powodu ich przeraził. Skulili się w rogu, zasłaniając głowy rękoma i krzycząc coś o apokalipsie.

A potem rozpętało się piekło. Nagle wszystko płonęło! Dora usłyszała wybuch, kolejny, kolejny, odłamki metalu fruwały w powietrzu. Nagle poczuła ból, przestała cokolwiek widzieć na lewe oko. Chciała się wycofać, pociągnęła Mirona, ale on właśnie zrozumiał, co tamci mieli na myśli, mówiąc o apokaliptycznym ogniu. Od drzwi oddzielała ich ściana płomieni.

Dora nigdy nie widziała czegoś takiego, a mieszkała z pyrem i salamandrą! Ogień tworzył białobłękitne kurtyny, pachniał

magią, pochłaniał wszystko jak strumień plazmy, kruszył sufit, którego całe płyty spadały teraz na ziemię. Wrzaski w kącie wypowiedziały wiedźmie, że tamtych już dopadł, niepohamowany i żarłoczny... Między płomieniami a nią stał tylko Miron, który spocony, z wysiłkiem na twarzy próbował je wchłonąć, zanim zrobią im krzywdę, ale szło mu fatalnie.

– Za gorące! – krzyknął. – Magicznie wzmocnione!

Spojrzała w stronę schodów, oceniając szansę na dotarcie na piętro, po dzieci. Może zdołaliby wydostać się oknem... Ale tam, gdzie chwilę temu były schody i zwłoki strażnika, teraz kłębiły się białe płomienie, wyjąc jak dzikie zwierzę.

I nagle... niemożliwe! Ogień zaczął się rozstępować jak Morze Czerwone. Nie, nie rozstępować – coś go pochłaniało! Zszokowana Dora zobaczyła swoją córkę z rozwianymi włosami i płonącymi oczyma, z dłońmi zanurzonymi w białym piekle. Śmiała się! Szła w ich kierunku, pochłaniając ogień, przejmując go, aż otaczał ją jak żywy kokon z białych płomieni. Unosiła się, kiedy do nich dotarła, jej stopy ledwie dotykały podłogi.

– Dzieci! – krzyknęła Dora.

– Są z Lakshmi! – odkrzyknęła Salomea.

Zaczęła torować drogę do wyjścia. Wchłaniała piekła więcej i więcej, całe jej ciało pokrywały już czerwone i złote łuski. Dora szła za nią, Miron zamykał pochód, by kontrolować ogień za nimi. Wreszcie wydostali się na zewnątrz. Przebiegli kilkanaście metrów, kryjąc się za węglem budynku gospodarczego. Ogień wył jak wściekła bestia i powietrze rozdarł kolejny wybuch. Budynek, z którego wybiegli, stał w płomieniach.

Dora oddychała ciężko, wycierała rękawem krew i pył z twarzy. Coś uderzyło ją w czoło i głęboko przecięło skórę. Miron przeklinał. Salomea drżała, wciąż otoczona białymi płomieniami, trzęsa się bliska przemiany, mimo to zaciskała

zęby i niestrudzenie wchłaniała ogień, wciągając go do płuc i w pokrytą łuskami skórę, aż cały znalazł się w jej wnętrzu, a ciało na powrót wyglądało w pełni ludzko. Dygotały jej kolana. Uklękała, podpierając się dłońmi o ziemię. Oddawała energię cieplną, zamieniając kwarc w szkło.

– Wszystko z nią dobrze? – spytała Dora, szalejąc z niepokoju.

Miron patrzył na Salcię z dumą.

– Świetnie sobie radzi. I zwalczyła pokusę przemiany, nie spanikowała. Ja nie poradziłbym sobie z tą temperaturą – przyznał.

– Co to było? – zapytała Dora.

– Apokalipsa – odparła Salomea. – Akcelerator Herostratesa, jego wynalazek. Miał go tu całe beczki... Kiedy użyłeś ognia, aktywowałeś go. Tak właśnie działa: przyciąga nawet iskrę i wybucha. – Wyprostowała się i wstała z ziemi. – Przepraszam, że nie mogłam sobie przypomnieć wcześniej... ale kiedy do Lakshmi przybiegł szczur z futrem unurzonym w tym płynie, rozpoznałam zapach.

– Nie masz za co przepraszać, kochanie, spisałaś się! – zawołała Dora. – Uratowałaś dzieci, a potem nas.

– Nie mogłam pozwolić, byście zginęli w płomieniach. Wszyscy myśleliby, że to moja wina – powiedziała i uśmiechnęła się przekornie.

Dora robiła krok w stronę Salci, by ją przytulić, ale zachwiała się gwałtownie.

Miron natychmiast ją podtrzymał.

– Ktoś tu oberwał w głowę, a teraz się radośnie wykrwawia. Chodźmy do samochodu, zanim zemdlejesz.

– Nigdy nie mdleję – zaprotestowała.

– Chyba że akurat umierasz albo tracisz mnóstwo krwi.

– Może raz, ale to nie powód, by mi to wypominać...

– Raz, jasne. – Prychnął i wziął ją na rękę. – Chodź, Salciu, czas wrócić do domu. Spisałaś się na medal.

– Na rurki z kremem? – zapytała Salomea.

Szła w podskokach, rozpierała ją energia. Może wchłonęła jej mnóstwo w płomieniach....a może po prostu spadł jej ciężar z barków. Bo dziś, pośród szalejącego ognia, Salomea zrozumiała coś ważnego.

Nie jest potworem.

Gdyby nie była salamandrą, nie zdołałaby pomóc Dorze i Mironowi. Rodzina potrzebowała jej dziś dokładnie taką, jaką była. I w niczym nie przypominała Herostratesa – pozostała sobą, a Dora i Miron byli z niej dumni. Nie potrzebowała niczego więcej... może poza kilkoma rurkami z kremem. Byłyby jak wisienka na torcie i kropka nad i.

– Mogę iść – marudziła Dora.

– Możesz – przyznał Miron, ale postawił ją na ziemi dopiero koło samochodu.

Na tylnym siedzeniu siedziała Lakshmi z dwójką wystraszonych wielkookich dzieciaków. Dach auta ciasno obsiadły kruki, które strzegły bestiarki i jej podopiecznych.

– Zadzwońmy do Nisima i waszych rodziców, co wy na to? – zaproponowała Dora, wybierając numer komórki dyrektora. – Mamy je, całe i zdrowe, będziemy za pół godziny – powiedziała i się rozłączyła, bo Miron wyciągnął apteczkę i zaczął właśnie przecierać gazą jej ranę na czole.

Piekło jak diabli. Gdy pozbył się większości krwi, nakleił opatrunek.

– Lepiej, żeby ludzie nie widzieli cię w takim stanie. Normalni są dziwnie przeczulenii na punkcie szalonych wiedźm skąpanych we krwi, a rany na głowie krwawią bez opamiętania. No i nie chcesz straszyć dzieci – wyjaśnił, widząc dezaprobatę malującą się na jej twarzy.

Rzuciła mu wymowne spojrzenie, ale właśnie wtedy Lakshmi i Salomea jak na komendę zaczęły popiskiwać niczym szczenięta:

– Boimy się, boimy się, boimy się... – a potem wybuchły śmiechem.

– Żmije na własnej piersi – mruknęła.

Epilog

Salomea na każdą niedzielę czekała z niecierpliwością. Zgodnie z umową, którą zawarły z Dorą, niedziela była dniem, kiedy „diewczyny rządzą”, czyli spędzają wspólnie czas. Same, bez Mirona. Co tydzień miały robić razem coś przyjemnego: porozmawiać o całym tygodniu, o rzeczach ważnych, pójść do kawiarni, do kina czy do cioci Katii, która uczyła je lepić z gliny.

Minął miesiąc i w każdą kolejną niedzielę Dora dotrzymywała słowa, ale Salomea czuła, że to kwestia czasu, kiedy coś pokrzyżuje im plany. Wiedziała, ile razy Miron szykował kolację albo weekend za miastem, a potem ktoś umierał albo coś wymagało obecności Namiestniczki. Obiecowała sobie, że jeśli do tego dojdzie, nie będzie robiła smutnej miny i nie pokaże, jak jest zawiedziona. Po prostu poczeka na kolejną niedzielę.

Były już gotowe do wyjścia, Dora wiązała glany, Salomea czekała przy drzwiach, kiedy poczuły szarpnięcie zaklęcia szpiegowskiego, a potem dobiegło je tupanie na schodach. Dora westchnęła ciężko i otworzyła drzwi, wiedząc już, kogo zastanie w progu. Wyczuła tę magię.

Salomea nie mogła powstrzymać grymasu zawodu.

– Roman, czego nie zrozumiałeś w wiadomości, którą ci wysłałam? – zapytała Dora.

Książę wampirów zmarszczył brwi.

– Może ci się wydaje, że to nie twoja sprawa, ale to nieprawda! Jeśli Katarzyna to przeprowadzi, jak myślisz, w kogo uderzy? – zapytał.

– Nie lekceważę problemu, ale powiedziałam ci, że przyjdę to omówić z tobą jutro, ewentualnie dziś wieczorem, ale nie teraz. Mam spotkanie i nie zamierzam go odwołać.

Roman uniósł brew w sarkastycznym grymasie.

– A jakież to ważne spotkanie? – spytał z nieskrywaną złośliwością. – Może wtajemniczysz swego sługę unżonego, co cię zatrzymuje?

– Kino i lody – odparła zgodnie z prawdą.

Skrzywił się, jakby myślał, że sobie z nim pogrywa.

– Nie mogę cię zaprosić, bo to dziewczynska niedziela – dodała wiedźma.

– Chyba sobie żartujesz – sarknął.

Dora zaplotła ręce na piersi i powiedziała tonem, jakim tłumaczyłaby przedszkolakowi, dlaczego ciastka na śniadanie to nie jest najlepszy pomysł:

– Wasza Kąśliwość, masz ponad trzysta lat, możesz więc ogarnąć swoim dojrzałym umysłem, że słowo dane dziecku jest święte. Żadna drama Starszyny nie może tego odebrać mojej córce, zwłaszcza że cały ostatni tydzień szarpałam się z waszym głównym i polityką.

Roman zerknął nad jej ramieniem i zobaczył Salomeę, zgarbioną i z ustami wykrzywionymi w podkówkę.

– Dobrze. Miej tę swoją wolną niedzielę. Ale wieczorem widzę cię u mnie. Jeśli nie ustalimy planu, reszta Starszyny rozszarpie ten twój mały budżet i może nawet nie będę im przeszkadzał. I nie, Netflix & Chill nie będzie dobrą wymówką, by to przełożyć.

Odwrócił się na pięcie i ruszył ku schodom.

- Pozdrów Darię – zawołała za nim Dora z uśmiechem.
- Czemu akurat Darię? – Zerknął na nią przez ramię.
- To jej zapewne zawdzięczamy twoją świadomość istnienia Netflix & Chill.

Młoda wampirzyca była na bieżąco z współczesnym światem. Roman bez wątpienia na tym korzystał, jego słownictwo znacznie wzbogaciło się w ostatnim czasie, podłapał sporo nowych wyrażen.

Teraz schodził, znów głośno tupiąc, jakby zapomniał, że jest drapieżnikiem.

Dora spojrzała na Salcię i zapytała:

- Gotowa?
- Myślałam, że nici z wyjścia – przyznała dziewczynka.
- Przez Romana? Ktoś musiałby go zabić, wtedy faktycznie zechciałabym się dowiedzieć, komu puściły nerwy. Ale do tego czasu może poczekać. To jaki film dziś wybrałaś?
- Niespodzianka – powiedziała Salomea z radosnym uśmiechem.

Dora westchnęła. Jej przybrana córka miała niezwykły talent do wybierania specyficznych filmów. Dzięki temu wiedźma była na bieżąco z paranormalnymi romansami dla nastolatków i filmami składającymi się głównie z wybuchów. Salamandra oglądała te ostatnie jak najlepsze komedie świata i śmiała się w kinie w głos, widząc ogień wyprodukowany w CGI, który nie zachowywał się jak prawdziwy. Dora musiała przyznać, że to było dziwne. Ale jednocześnie cieszyła się każdą minutą, jaką dane im było spędzać razem.



– Kurczaczku! Słyszysz mnie? Powiedz coś albo dzwonię po karetkę! – Rozemocjonowany głos Ziemka docierał do mnie powoli, jakby z daleka. – Albo gorzej: zadzwonię do twojej mamy!

O nie, nie... Spróbowałam unieść rękę i coś powiedzieć, ale czułam się tak, jakby mój mózg był na ciężkich anestetykach. Dziwne, przecież nic nie zażywałam. Eksperymenty na tym polu zostawiam ojcu.

W końcu rozchyliłam powieki i zamrugałam, gdy ostre światło zaczęło razić mnie w oczy. Co się stało? Sięgnęłam pamięcią do ostatnich wydarzeń. Nic szczególnego...

Spotkaliśmy się z Ziemkiem o siódmej na przystanku jedenastki. On chciał o czymś pogadać, więc nie wysiedliśmy koło szkoły, ale pojechaliśmy dwa przystanki dalej. Do pierwszej lekcji mieliśmy prawie czterdzieści minut – w sam raz na spacer na Wzgórze Wisielców. Wzniesienie gęsto porastały drzewa, a kamienne schody i ławki z dobrym widokiem sprawiały, że lubiliśmy tam chodzić. Nigdy nie natknęliśmy się na żadnego wisielca ani jego ducha, więc źródło nazwy to najwyraźniej miejska legenda.

Było ciepło, a po nocnej ulewie zieleń stała się intensywnie soczysta. Ziemek mnie namawiał na wyjazd plenerowy z jego kółkiem fotograficznym. Chętnie przystałam na ten pomysł i teraz tylko musiałam przekonać mamę, że wyjazd z młodocianymi artystami nie skończy się absyntową orgią. Cóż, jej wspomnienia o tacie za młodu nie działały na moją korzyść.

Wszystko wydawało się w porządku. Nie zarejestrowałam niczego, co mogłoby prowadzić do ataku, obrażeń, utraty przytomności i pulsującej migreny. Czułam się tak, jakbym całą noc piła. Leżałam na plecach i gdy w końcu zdołałam otworzyć

oczy, zobaczyłam nad sobą Ziemka i błękit nieba, otaczający go jak aureola.

– Czemu nazywasz mnie Kurczaczkiem? – wyszeptałam, gdy odzyskałam moc składania sylab. – Ustaliliśmy coś.

Wystarczy, że dziecięce przezwisko nadane mi przez mamę podchwycił Witkacy, choć prosiłam, by nazywał mnie Wiki albo Wikta – byle nie Kurczaczek. Wciąż mu się wymykało, przeproszał, by po kilku minutach znów mi „kurczaczkować”. Ale od Ziemka wymagałam więcej niż od taty. Ziemek był ogarnięty.

– To ustalmy też, że jeśli nagle zaczniesz wrzeszczeć, dostaniesz jakiegoś ataku, a potem stracisz przytomność na bite dwie minuty, mogę cię nazywać, jak tylko chcę – wyburczał mój przyjaciel.

Chciałam usiąść, ale musiał mi pomóc. Ostrożnie obmacywał tył mojej głowy, szukając uszkodzeń. I pomyśleć, że miał kłopot z zaliczeniem przysposobienia obronnego. Głównie z powodu nieszablonowego poczucia humoru, które nie przypadło do gustu panu Klimuszce, ale do świadectw nie dołączają aneksu z wyjaśnieniem, jak na końcową ocenę wpłynęło użycie granatu dymnego podczas ćwiczeń z rzucania granatem do celu. Ani czy nad wyraz konserwatywny pan Klimuszek obniżył ocenę bardziej, bo dym był tęczowy.

– Ile palców widzisz? – spytał Ziemek, machając mi przed nosem dłonią tak szybko, że rozmywała się w smugę.

Złapałam go za nadgarstek, przytrzymując na tyle długo, by obraz się wyostrzył.

– Jeden. I nie podoba mi się, że wybrałeś akurat środkowy.

– A mnie się nie podoba to, że nie wiem, co się dzieje. Nic nie widziałem. Ale mój czujnik wył jak syrena.

Czujnik, który skonstruował z radia i pół kilograma pozornie niepasujących części, wykrywał byty ektoplazmowe – głównie

duchy, choć pewnie upiory też dałoby się wyłapać. Bardzo przydatny gadżet, bo Ziemek, będąc w pełni człowiekiem, nie potrafił ich zobaczyć. Ja i owszem. Teoretycznie to powinna być tajemnica, bo magiczni trzymają ludzi w niewiedzy, ale raz, że nikt mi o tym nie wspomniał, zanim się wygadałam, a dwa – przyjaźniliśmy się z Ziemkiem od pieluch, więc powiedziałam mu jeszcze w przedszkolu. Nigdy nie zarzucił mi, że jestem kłamczuchą tylko dlatego, że sam nie widzi tego, o czym mówię. Przed nikim innym się nie zdradziłam. Próbowałam przed mamą, ale tak się martwiła, gdy choćby wspominałam o duchach, że dałam spokój. Szybko zrozumiałam, że Ziemek jest fajniejszy od całej reszty świata i wysoko ustawia poprzeczkę. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic i chroniliśmy siebie nawzajem. Z tego powodu konstruował coraz lepsze czujniki. Chciał wiedzieć, kiedy coś się na mnie czai.

Trybiki w mózgu wciąż obracały mi się wolno, jakby ktoś nalał między nie budyniu, ale przypomniałam sobie, co widziałam tuż przed atakiem, który opisał Ziemek. Rozglądałam się ostrożnie, szukając oblecha. Szczęśliwie nie było go w okolicy, ale wyraźnie wyczuwałam zapach ciasteczek. Oblech i jego tajemnice odwiedzili to miejsce bardzo niedawno.

– Wiedziałam, że będą z nim kłopoty – mruknęłam i spróbowałam wstać.

Moje ruchy były niezborne, błędnik – trochę zgłupiał, a im intensywniej się ruszałam, tym bardziej mnie mdliło. Schyliłam się po torbę i poczułam nieznośne pulsowanie w oczodołach. Ziemek mi pomógł, po czym zaciągnął na oddaloną o kilkanaście metrów ławkę.

– Spóźniły się – powiedziałam słabo.

– Myślę, że możemy uznać to za usprawiedliwione okolicznościami wagary.

Nigdy nie wagarowaliśmy, ale nie miałam siły się z nim kłócić. Nie wiedziałam, czy winę za to, jak się czuję, ponosił duch oblecha czy upadek i uderzenie w głowę, ale potrzebowałam chwili, by dojść do siebie. Połknęłam paracetamol i wypiliśmy pół butelki wody. Z minuty na minutę czułam się lepiej, a słabość mijała. A więc duch. Wstrząśnienie mózgu nie przechodzi tak szybko – prawie usłyszałam w głowie głos mamy, która jest pielęgniarką.

Ziemek przechadzał się niespokojnie po ścieżce. Z zaplecionymi na piersi rękoma i zaciętą miną wyglądał, jakby szykował się do starcia. Nie byłam pewna, czy z duchem, czy ze mną.

– Straciłaś przytomność na dwie minuty. To nie jest drobiazg – rzucił w końcu. – Może powiesz mi wreszcie, co jest grane, zanim zapadniesz w kolejną tygodniową śpiączkę?

No cóż. Miał prawo wyciągnąć tę historię. Kilka tygodni temu niemal pogrążyłam miasto w apokalipsie, ożywiając duchy wściekłych czerwonoarmistów. Prawie umarłam. Moje ciało leżało w śpiączce tydzień, a duch wędrował po Zaświatach. Najfajniejsza przygoda w moim życiu, ale mama i Ziemek ciężko to przeżyli. Witkacy nieco lżej, bo leżał w śpiączce na sąsiednim łóżku.

W konsekwencji zostałam objęta czymś na kształt zwolnienia warunkowego. Musiałam grzecznie grać według zasad i co ważniejsze – miałam absolutny zakaz samodzielnego używania magii bez obecności opiekuna. Do odwołania. Inaczej groziły mi trzy lata w poprawczaku, między nastoletnimi magicznymi kryminalistami. Z dala od mamy, Ziemka, szkoły i całej reszty.

Dlatego kiedy pojawił się oblech, nic nie zrobiłam. Miałam nadzieję, że zniknie i straci mną zainteresowanie, jeśli będę go ignorować. Intuicja mnie przed nim ostrzegła, ale nawet ona nie sygnalizowała, że może zrobić coś takiego... Wyciągnęłam

z torby czarny notes, mój dziennik obserwacji bytów ektoplazmowych, odnalazłam wpisy dotyczące oblecha i dopisałam „piątek 17.04., 8:00 – eskalacja, atak?”. I pomyśleć, że zaczęło się to od prostego „dziwna aura, typ wujaszka z lepkiimi łapami”. Potem następowały dwie strony notatek ze spotkań, przeczuc i dziwnych snów, które jakoś musiały się z nim łączyć, choć nie miałam pojęcia jak. Nie wyglądało to dobrze. I wiedziałam, że sama sobie z tym nie poradzę.

Westchnęłam ciężko. Bardzo starałam się unikać kłopotów. Chciałam zrobić na Witkacu jak najlepsze wrażenie, by nie spanikował i nie zwiął. Nowo uzyskany status ojca był dla niego szokiem, a adaptacja do zmiany – drogą przez mękę, ale chyba nie miałam wyjścia. Alternatywą był w najlepszym wypadku poprawczak, a mama już zapowiedziała, że nie wyśle mi przez te trzy lata nawet pół paczki, by kara była dotkliwsza.

– Biorę cię na świadka, że nie zламаłam przysięgi złożonej Witkacemu – powiedziałam.

– Tej, że nie będziesz szukała kłopotów? Czy tej, że choćby nie wiem co, nie będziesz zadawała się z wilkołakami?

Parsknęłam. Jakby to nie było to samo.

– Tej pierwszej. Nie szukałam. Same mnie znalazły. I jak nic wywęchały połowę genów, które mam po Witkacu, więc to w sumie jego wina. Ale tego mu nie powiemy, bo i bez tego się biczuje. Zresztą teraz pewnie śpi, więc może odłożymy wizytę na później.

Ziemek stanowczo pokręcił głową.

– Dwie minuty bez świadomości, Wiki. Nie ma, że boli. Poza tym nie wstawał na niemowlęce karmienie, nie pozwól, by całkiem ominęło go doświadczenie rodzicielskiej deprivacji snu, bo nigdy się nie odnajdzie w ojcostwie.

Obleciał mnie cykor.

– A jeśli mi nie uwierzy? Albo będzie marudził?

– On cię wielbi, Wiki. Przy tobie włącza mu się syndrom supermena, aż słychać łopot peleryny. To dobry facet i wie o tym głównie więcej niż nasza dwójka do kupy.

To akurat była prawda. Uczyłam się dopiero od kilku miesięcy, a do tego realizowałam program dla przedszkolaków. Przez pierwszych piętnaście lat życia nie miałam kontaktu z magicznymi i chodziłam tylko do ludzkiej szkoły. Potrafiłam rozwiązywać wielomiany i narysować przekrój komórki, ale dopiero uczyłam się magicznego alfabetu. Nawet z korepetycjami u Witkaca i Sępa nie umiałam odesłać niechętnego ducha o tak silnej aurze. Tym bardziej, że wyglądał na złośliwego kutasa.

– Nie będziemy jak te dzieciaki z horrorów, które umierają tylko dlatego, że chciały mieć swoje wielkie tajemnice – oświadczył kategorycznie Ziemek, widząc, że zżerają mnie wątpliwości.

Miał rację. Weszłam w paszczę wilka i teraz musiałam stanąć mu kością w gardle. A do tego potrzebowałam Witkaca.

Nie poszliśmy więc do szkoły, ale na Balonową. Witkacy mieszkał w trzypiętrowym bloku między emerytowanymi pracownikami UMK i samotnymi mężczyznami. Taki urok blokowiska, gdzie tylko jedno mieszkanie w klatce miało więcej niż trzydzieści pięć metrów kwadratowych. Domofon na dole znowu nie działał. Podejrzewałam, że to sprawka Sępa, który nie mógł zapamiętać kodu. On też tu mieszkał, drzwi w drzwi z Witkacym. Wiekowo bliżej mu było emerytów z uniwerku, ale żywot miał znacznie bardziej urozmaicony. Na klamce jego mieszkania wisiała jedwabna apaszka. Ustalony między nim a Witkacym kod. Sęp się z kimś zabawiał i jeśli świat akurat nie balansował na krawędzi zniszczenia, nie życzył sobie, by mu przeszkadzano.

Kiedy zapukałam do drzwi Witkaca, minęła ósma. Otworzył po kilku minutach, w ręczniku owiniętym wokół bioder, z włosami ociekającymi wodą. Na żebrach i barku miał świeże sińce i krwawe otarcia.

– Kurczaczek? Ziemek? Coś się stało? Zapomniałem o czymś? – zapytał zdezorientowany.

– Kod czerwony – rzucił Ziemek, a Witkacy szeroko otworzył drzwi, wpuszczając nas do środka. – Mówił pan, że może ją chronić tylko wtedy, gdy wie, że ma kłopoty. To już pan wie.

– Co ci się stało? – spytałam, bo gdy się obrócił, zobaczyłam jeszcze więcej sińców na plecach.

– Sprzeczka z upiorem o definicję słowa „wypierdalaj”. On wyszedł na tym gorzej – powiedział lekko i uśmiechnął się z tym swoim chłopięcym wdziękiem.

Prychnęłam. Czasami w ułamku sekundy pojmowałam, co widziała w nim mama. I dlaczego odeszła.

Szybko zwinął pościel w kłęb i wepchnął ją do skrzyni, po czym złożył kanapę, byśmy mieli na czym usiąść. Jego mieszkanie – pokój z wnęką kuchenną i łazienką – było skromnie umeblowane, ale schludne. Zgarnął z komody ciuchy i zamknął się w łazience.

Opadłam na kanapę, a Ziemek krzątał się w części kuchennej, napełniając czajnik. Był twardy, ale by przetrwać kryzys bez paniki, potrzebował herbaty. Ciastkiem też by nie pogardził. Mnie mdliło na myśl o słodyczach, za bardzo kojarzyły mi się z ciasteczkowym zapachem tajemnic oblecha. Ot, wydała się tajemnica mojej kościstej sylwetki i wystających kolan.

Witkacy wrócił po dwóch minutach w szarych spodniach dresowych i koszulce The Smiths. Usiadł naprzeciwko mnie w fotelu i wpatrywał się we mnie przez minutę, jakby czekał, aż pęknię i zacznę się spowiadać. Policyjne nawyki.

– Co się dzieje, Kurczaczku? Wiktorio – poprawił się szybko.

– Zaczniemy od tego, że to nie moja wina – zaznaczyłam. – I nie zasłużyłam na poprawczak ani na karę.

Chrząknął, jakby chciał powiedzieć, że to się dopiero okaże. Ziemek podał mi kubek herbaty i usiadł obok.

– Potwierdzam. Gdy ją dziś zaatakowano i straciła przytomność na dwie minuty, nie robiła nic magicznego. Szliśmy przez las, gadaliśmy, aż nagle zaczęła krzyczeć z bólu i przerażenia, a potem zemdląła – oświadczył.

Mina Witkaca szybko się zmieniła. Odgarnął mokre włosy do tyłu i jęknął.

– Cholera, myślałem, że potrzebujecie usprawiedliwienia do szkoły... Dobrze, po kolei. Opowiedz mi wszystko, nic nie opuszczaj.

Wyjęłam dziennik obserwacji, by mieć pod ręką twarde dane, i zaczęłam opowiadać.

– Pierwszy raz zobaczyłam go trzynaście dni temu. Było w nim coś dziwnego, nawet jak na moją dość elastyczną normę. Gapił się w specyficzny sposób. Mimo to uznałam, że to po prostu kolejny oblech, tyle że umarły. Pojawiał się w bardzo różnych miejscach. Spotkałam go w parku przy placu Rapackiego, ale też w Lasku Akademickim na Gagarina i na Wzgórzu Wisielców.

– To dziwne. – Witkacy się zmarszczył. – Duże terytorium.

– Też tak pomyślałam. Wiedziałbyś, gdyby któryś z duchów aż tak się rozwydrzył.

Przytaknął.

– Może to dlatego, że to przestrzeń publiczna? Wspólna dla żywych, więc może i dla umarłych? – zapytał Ziemek.

– Może – zgodził się Witkacy, ale nie wyglądał na przekonanego.

Duchy przejawiały terytorializm, pozostawały związane z miejscami ważnymi dla ich życia czy powiązanymi z ich

śmiercią. Czasami ścierały się o terytorium, ale gdyby któryś wywalczył aż taki szmat przestrzeni, zrobiłaby się chryja i Rada nie przestałaby o tym jęczeć.

– Na początku tylko patrzył. Nie zaczepiał mnie, nie zagadywał. Gapił się. Czułam się nieswojo i trzymałam się na dystans. Pomyślałam, że to ten typ faceta, przez który kobiety chodzą z kluczami między palcami, z dłońmi zaciśniętymi w pięść, przez co przypominają nerwowe miniwersje Wolverine'a. Myślałam, że zniknie, jeśli będę go ignorowała, straci zainteresowanie. Ale zaczął się pojawiać koło mojej szkoły. Gapił się też na inne dziewczyny, ale nie tak, jak na mnie. Oblech.

Ten kawałek opowieści nie był najgorszy. Duchy zawsze do mnie lgnęły. Rodzinna przypadłość. Tata miał trudniej, bo choć oboje jesteśmy szamanami, to mnie – niepełnoletnią kobietę, w języku martwych szowinistów: sikse – traktowały pobłażliwie. Bywali z tego powodu męczący, ale jeśli któryś przeginał pałę, mogłam wyciągnąć kij deszczowy i udowodnić, że mój jest dłuższy. Niestety, od wypadków na cmentarzu czerwonoarmistów mój kij deszczowy miał areszt domowy w mieszkaniu Witkaca. Do końca warunku.

– Na początku wydawało mi się, że moja reakcja na niego jest przesadzona. Nie był agresywny, nic mi nie zrobił, poza tym, że czułam się niekomfortowo. Nie groził, nie odzywał się. Ale miał złą aurę i pachniał ciasteczkami tak intensywnie, jakby nosił po kieszeniach całą cukiernię.

– Ale nie podążyłaś za zapachem ciasteczek? – Witkacy z marszem na twarzy odniósł się do mojego daru.

Ludzkie tajemnice pachniały dla mnie słodyczami i mogłam je wywąchać. Tym sposobem znajdowałam to, co inni chcieli ukryć przed światem – na przykład kolekcję oldschoolowych pornosów ojca czy zakrwawioną bluzę, którą morderca

wyrzucił do kosza przy przystanku autobusowym pięćdziesiąt metrów od miejsca zbrodni. A jakiś czas wcześniej – pamiątnik mamy i jej zdjęcie z Witkacym z czasów, kiedy mnie jeszcze nie było na świecie.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy – powiedziałam szczerze. – Czułam, że wolę nie wiedzieć, co ukrywa, bo to pewnie coś obrzydliwego. Od cukru kręciło mnie w nosie.

– Twój dar naprawdę ssie – powiedział Ziemek, który uwielbiał słodczyce i nie zniósłby, gdyby woń wypieków miała mu się kojarzyć z czymś innym niż deser.

– W sobotę, po tygodniu gapienia się, zaczął się na mnie w parku przy Rapaka. Akurat wysiadałam z autobusu. Byłam po całym dniu w szkole Nisima, zmęczona i rozproszona. Wyskoczył na mnie zza drzewa i otarł się tak, że zimno przeniknęło mnie do kości. Znów niby nic groźnego. Ale wtedy zaczęły się koszmary. I emocje... – Westchnęłam, bo nie wiedziałam, jak to wytłumaczyć, by nie brzmieć jak histeryczka.

– Emocje? Twoje czy cudze? – zapytał Witkacy i wiedziałam, że rozumie.

– Cudze, tak myślę. Gdy tylko się pojawiał, miałam jakby napady paniki. Nie mogłam oddychać, serce biło mi w piersi jak koliber, oblewał mnie pot. Nigdy nie bałam się tak bardzo. To nie było moje.

Skinął głową.

– A sny? – zapytał.

– Koszmary. Nic nie widziałam, jakbym straciła wzrok albo miała przepaskę na oczach. Ciemność, smród moczu i krwi, kajdany i łańcuchy. A potem było gorzej. Wszystko tak strasznie mnie bolało... Myślę, że to były tortury. – Zawahałam się. – I gwałt.

Oczy Witkaca pociemniały.

– Bogowie, przykro mi, córeczko.

– To było przedziwne. Moje, ale nie moje... Jakbym doświadczała czyjeś męki.

– Jesteś nawiedzona, dziecino. Przyplątały się do ciebie emocje ducha zbyt słabego, by się manifestować ektoplazmowo.

– Oblecha?

– Nie sądzę. On nie ma problemu z manifestacją. To może być przypadek, że te dwie sprawy wystąpiły w podobnym przedziale czasowym.

Zaciskałam palce na miękkiej bawełnie bluzy. Nie wierzyłam w przypadki, tyle że nie umiałam powiedzieć, skąd moja pewność, że to wszystko się jakoś łączy. Nie miałam jeszcze wystarczającej wiedzy, tylko rozhulaną intuicję. Ale jeśli wiedziałam coś o nadprzyrodzonym, to to, że rzadko kiedy da się tu zastosować brzytwę Ockhama – najprostsze rozwiązanie rzadko kiedy było adekwatne.

– Co z tym zrobimy? – zapytał Ziemek.

– Ty – możliwie niewiele, bo to zadanie dla szamanów. Spławimy oblecha i jeśli Kurczaczek ma rację, wszystko minie, gdy się go pozbędziemy – odpowiedział Witkacy. – A jeśli sny i uczucia wciąż będą ją dręczyć, znajdziemy sposób na egzorcyzm.

Świetnie. A jak wyglądają wasze plany na majówkę?

*

Ziemek musiał iść do szkoły – dwie godziny łatwiej ukryć niż cały dzień, a jego rodzice nie podchodzili lekko do wagarów. Obiecałam, że odezwę się do niego, gdy się czegoś dowiem. Starszyzna mogła sobie gadać. To mój ziom i będzie wiedział wszystko, co musi, byśmy oboje byli bezpieczni.

Krążyliśmy z Witkacem po Wzgórzu Wisielców, szukając oblecha. W planach mieliśmy jeszcze dwa parki. Jakim cudem mógł mieć tak rozległe terytorium? Może za życia był zapalonym piechurem i zostawił na ścieżkach tyle litrów potu, że aura miejsca go uwzględniała? Wciąż wracałam myślami do tego pytania i wiedziałam, że odpowiedź kryje się w ciasteczkowej woni.

Wspinając się po schodkach, zapytałam taty, czy kiedyś spotkał się już z podobnym przypadkiem – duchów nawiedzających szamanów w koszmarach i przekazujących własne emocje tak, jakby nakładały filtr.

– Nigdy. Szczerze mówiąc, nie umiem tego wytłumaczyć i nie wiem, czy to faktycznie ma coś wspólnego z twoim prześladowcą... Ale przypadkiem czytałem, że dzieciom zdarzają się koszmary. Ma to coś wspólnego z rozwojem mózgu...

Prychnęłam. Przypadkiem czytał, jasne. Przypadkiem to ja wywąchałam ciasteczkową woń książki, którą ukrywał pod stertą gazet. Podręcznik akademicki z zakresu pedagogiki rozwojowej dziecka. Pojawił się w życiu Witkaca kilka miesięcy po mnie i z tego, co widziałam, czytał go powolutku, przyjmując wiedzę w bardzo małych dawkach.

– Tato, jesteś w rozdziale o pięcio- i sześciolatkach. W tym wieku faktycznie był to problem, do dziś pamiętam koszmary o goniących mnie żarłocznych korniszonach. Ale od dziesięciu latych sny związane z rozwojem mózgu mam za sobą. Rozwijają się jeszcze tylko część odpowiedzialna za kontrolowanie impulsów – wyjaśniłam.

Mama powtarzała mi na tyle często, dlaczego nie zawsze mogę polegać na własnych decyzjach i rozsądku, że to zapamiętałam. Odkąd zaczęła zaocznie studiować psychologię,

podczas śniadań miałyśmy mnóstwo ciekawych tematów do rozmowy.

– Nie ruszyłaś za zapachem ciasteczek, tylko przyszłaś do mnie po wsparcie. To już całkiem niezły objaw kontrolowania impulsów – stwierdził Witkacy.

Nie skomentowałam. Nie chciałam go okłamywać.

– Jest tam – powiedziałam, gdy znów poczułam zapach ciepłego ciasta. Dłonie odruchowo zacisnęłam w pięści.

Stał między drzewami, w tym samym niekształtnym garniturze co ostatnio. A jednak coś zmieniło. Zrobił coś z aurą, bo czułam go całkiem inaczej. Nie podnosiły mi się włoski na karku, zniknął dyskomfort, zawartość oblecha w oblechu wyraźnie się zmniejszyła. Nie mówiłam nic Witkacemu, ale obserwowałam rozwój sytuacji.

Oblech tymczasem ciężko pracował na ektoplazmowego Oscara. Wydawał się mniejszy, starszy, niemal niepozorny. Gdyby miał kaszkiet, międlilby go teraz w palcach, kłaniając się „szanownemu panu szamanu”. Nagle okazał się rozmowny, choć za mną łąził w milczeniu przez tygodnie.

– Rozumiem, że masz jakąś sprawę, skoro łązisz za moją córką? – zapytał Witkacy twardym tonem.

– Nie wiedziałem, że mnie widzi – odparł, nie patrząc nam w oczy.

Kłamstwo pachniało jak skisłe mleko. Potarłam nos, by pozbyć się kwaśnego zapaszku.

– To już wiesz. Może cię też wysłać do krainy wiecznych łowów, więc jej nie denerwuj.

Duch cofnął się o krok.

– Nie chcę odchodzić, nie możecie mnie zmusić! – Kiedy puszczały mu nerwy, jego głos stawał się coraz wyższy.

Żadne z nas tego nie skomentowało.

– Więc czego chcesz? – zapytałam.

– Jedna rzecz... jeśli mógłbym prosić. – Ukłonił się grzecznie. – Gdybym mógł przekazać coś synowi... To by dla mnie bardzo wiele znaczyło, proszę pana.

Zwracał się do Witkaca, choć to ja zadałam mu pytanie. Detal, ale wpisywał się w całokształt.

Witkacy skrzywił się lekko. Rozumiałam go. Kontakty z żywymi krewnymi zmarłych bywały problematyczne. Nie każdy lekko przyjmował to, że babcia czy małżonek wciąż się kręcą w okolicy i mają sporo do powiedzenia na temat postępowania żyjących. Zwykle nic miłego. Niezliczoną ilość razy straszili tatę policją i wyzywali od naciągaczy, choć nigdy nie brał za tę robotę nawet złotówki. Inni, owszem, wierzyli w duchy, ale nie przyjmowali do wiadomości, że dziadzio chce powiedzieć, że wnuk ma się ogarnąć i przestać przepijać emeryturę babci, za to naciskali na informację, gdzie dokładnie ów dziadzio za życia schował złoty zegarek po stryjkę.

Magiczni byli łatwiejsi w kontaktach, bo nie trzeba im tłumaczyć, że po śmierci ciało ląduje w ziemi, ale po człowieku wciąż zostaje całkiem sporo, a duch zachowuje charakter. I jeśli dziadzio się za życia nie podzielił spadkiem, to tym bardziej po śmierci nie ma na co liczyć, bo osobowość zmarłych się nie zmieniała, chyba że na gorsze.

– Byłem dla niego surowy – ciągnął tymczasem duch. – Nie doceniałem go, nie mówiłem, że go kocham. Dopiero teraz pojąłem, że jest moją dumą, moją ciągłością. Jestem szczęśliwym ojcem, widząc, że nauka nie poszła w las, a on jest moim godnym następcą. Chciałbym, by wiedział, że patrzę na jego czyny i jestem dumny z tego, jak sobie ze wszystkim radzi.

Witkacy chrząknął, a ja wiedziałam już, że się zgodzi. Raz, wychował się bez taty, który zmarł, gdy Witkacy miał ledwie dziesięć lat, więc ścisnęło go w gardle ze wzruszenia. A dwa – z ust duchów rzadko padały miłe słowa, wyrazy wsparcia czy

miłości. Bywały one zaskakująco drobiazgowo i złośliwie i nieczęsto miały żywym do powiedzenia coś sympatycznego. A szamanowi łatwiej odmówić, gdy przesłanie jest stekiem wyzwisk.

– Powie mu pan? – spytał Witkaca, podchodząc bliżej.

Na pewno jakoś manipulował aurą. Stał dwa metry ode mnie, a wyczuwałam tylko chłodną ścianę.

– Pamiętasz imię i nazwisko syna? Wiesz, gdzie mieszka? – drążył, bo duchy często traciły wiedzę o przyziemnych aspektach egzystencji.

Nie ten. Podał dokładny adres sklepu, który syn po nim odziedziczył. Witkacy zanotował go sobie w kajeciku.

– Nie znam pana syna, więc trudno powiedzieć, jak przyjmie wieści o pana obecnym statusie ontologicznym... Może mógłby pan podzielić się czymś, dzięki czemu będzie miał pewność, że przynoszę wiadomość właśnie od pana? – podsunął.

Duch chwilę pomyślał, a potem powiedział:

– Przekaż mu, że berło, które dzierżyłem od czasu wyprawy do Kielc, doskonale leży w jego dłoniach i robi z niego właściwy użytek.

Witkacy i tę enigmatyczną wiadomość zanotował. Duch tymczasem uznał, że nasze spotkanie dobiega końca i postanowił się oddalić, na wypadek gdybyśmy wpadli na pomysł, by go odesłać. Nie znaliśmy jego imienia, ale szanse, że na nazwisko ma Kuryłło, jak syn, określiłabym jako spore, a to już połowa roboty.

– Nie było tak źle – powiedział Witkacy.

– Wiesz, że kiedy duchy kłamią, śmierdzą skisłym mlekiem? I że mogą całkiem zmieniać aurę? – zapytałam.

Zmarszczył się i spoglądał dłuższą chwilę między drzewa, gdzie zniknął oblech. Nic nie powiedział, a ja nie miałam pewności, czy mi uwierzył.

– Idę z tobą – powiedziałam, zanim zaczął kombinować. Znajdowaliśmy się blisko szkoły, a on już sobie wyliczył, że wciąż zdążyłabym na trzy ostatnie lekcje. Miałam w planach kompletnie coś innego.

Przygody nie pachną w żaden specjalny sposób, ale zapowiadają się dreszczem po kręgosłupie. Witkacy nie powinien ruszać sam na tę wyprawę. Jego nos był bezradny wobec dusznych kłamstw. Nie wiedziałam, że poznam tego dnia jeszcze wiele innych zapachów, które nawiedzać mnie będą w koszmarach. I że w ciągu najbliższych dni ostatecznie skończy się moje dzieciństwo.

*

Sklep, który Janusz Kuryłło odziedziczył po ojcu, był samodzielnym pawilonem między blokami w starszej i nieco zaniedbanej części Rubinkowa. Pasował do tej okolicy idealnie. Szyld miał pewnie ze trzydzieści lat, brązowa farba wyblakła już do koloru musztardy sarepskiej. Słowo „Mięso” łuszczyło się lekko, a cała „renowacja”, jaką uskutecznił nowy właściciel, ograniczyła się do zaklejenia inicjału jego ojca literką J na białym tle, odbijającym się mocno od pożółkłej powierzchni szyldu. To, że duch za życia miał na imię Bohdan, zdradzała witryna. Nowy właściciel nie wysilił się, by zdrapać brązowe litery ze szkła. Może już od dawna nie zwracał na nie uwagi, jak na graffiti Apatora na zabezpieczającej okna żelaznej żaluzji.

Reszta sklepu też sprawiała wrażenie wiekowej – może poza przeszkloną lodówką z kuwetami, w których leżało mięso. Ale już haki na wędlinę na ścianie na wprost wejścia, gruby kamienny blat, tasak, pieniek i siekiera do łupania kości czy biało-czarne linoleum na podłodze wyglądały jak żywcem wyciągnięte z dokumentu o życiu w PRL-u. Miałam nadzieję, że

pieniek jest już tylko upiorną dekoracją, bo dezynfekcja poznaczonej głębokimi rysami powierzchni jawiła się jako istny koszmar... Ale chyba nie był, skoro zauważyłam ślady krwi i tłuste plamy szpiku kostnego.

Czekaliśmy tuż przy wejściu, a dwie starsze panie kupowały filet z kurczaka, dwa plastry schabu i „czydzieści gramików serduszek dla kotów”. Witkacy był milczący. Strzelał kostkami palców i gdyby mógł, zwałby do domu. Zawsze się denerwował, kiedy miał publicznie choćby wspomnieć o duchach, zjawiskach nadprzyrodzonych i własnym talencie. Jakby najgorsze, co mogło go w życiu spotkać, to uznanie go przez przypadkowych ludzi za wariata.

Ja tymczasem starałam się nie zwymiotować.

Nigdy nie byłam tak bliska zostania wegetarianką jak tego dnia, w tamtym sklepie. Mama regularnie przyrządzała mojego ulubionego pieczonego kurczaka czy spaghetti bolognese, więc to nie tak, że nie jadałam przetworów mięsnych. Ale smród krwi i kwaśnawy odór rozkładu wydawały się nie do zniesienia. Oddychałam płytko przez usta, mimo to czułam, jak wżera mi się on w skórę i we włosy. Śniadanie podchodziło do gardła. Musiałam wyjść, choćby na tę chwilę, kiedy kobiety się zastanawiały, czy odpowiednim przysmakiem dla kotków, skoro nie ma serduszek, są żołądki, czy może wątróbki.

Powietrze na zewnątrz było cieplejsze, ale pachniało tylko spalinami i moczem – najwyraźniej ktoś urządził sobie szalet w pobliskim śmietniku. Wyjęłam z plecaka butelkę wody i wypilałam kilka małych łyčzków, chcąc uspokoić żołądek. Włosy lepiły mi się do wilgotnego karku, było mi jednocześnie zimno i gorąco, a głowa wydawała się dziwnie lekka. Usiadłam na krawężniku w obawie, że znów zemdleję. Już wyrobiłam normę na dziś.

Nie minęła minuta, gdy koło mnie siedział już Witkacy. Strapiony.

– To nic takiego – powiedziałam. – Żadne kolejne nawiedzenie czy atak pożyczonej paniki. Ten zapach... po prostu nie mogłam tego znieść.

Witkacy wciąż wyglądał na zatroskanego.

– No wiesz, zapach mięsa, krwi, rozkładu. – Machnęłam ręką w kierunku sklepu za naszymi plecami.

Lekko odchrząknął.

– Kurczaczku, nie wiem, jak ci to powiedzieć... Tam pachniało głównie środkiem do dezynfekcji i cytrynowym odświeżaczem. Poza tym dzięki lodówkom zapach mięsa nie jest tak intensywny.

– Może gdy coś leży w lodówce, to nie śmierdzi, ale te plamy szpiku i krwi na pieńku, krew na siekierze aż cuchną. Dziw, że nie huczy tam od much.

– Jakim pieńku? – zapytał.

– No tym pod ścianą z hakami...

Witkacy tylko mi się przyglądał, aż wreszcie zapytał:

– Dasz radę tam wrócić?

Wstałam i otrzepałam spodnie na tyłku.

– Masz ze sobą obsydian? – zapytał.

Przytaknęłam. Kilka kamieni stale nosiłam w plecaku. Wyciągnęłam kosmetyczkę, w której każdy spoczywał w welurowym woreczku. Tylko labradoryt miałam zawsze na łańcuszku, schowany pod koszulką, by dotykał skóry. Wybrałam srebrny pierścionek z czarnym błyszczącym obsydianem i założyłam na serdeczny palec lewej dłoni.

W drzwiach mięsnego wyminęliśmy się z paniami, które już skończyły zakupy.

Z trudem pozbierałam szczękę z podłogi. Sklep wyglądał zupełnie inaczej. Podłoga z szarych kafelków, żadnych haków,

pieńka ani topora. Na ścianie wisiały czarne tablice, na których kredą wypisano ceny produktów i ofertę dnia. Lodówki i kontuar były czyste, na blacie znajdowały się deska do krojenia z grubego plastiku, waga i kasa fiskalna, ale całość wydawała się zupełnie innym miejscem. Inaczej też pachniało. Witkacy miał rację – czułam tylko delikatną woń cytrusów i nieco chemiczny aromat środka do dezynfekcji.

– Co panu podać? Mam doskonałą golonczkę i żeberka, że klękajcie narody – powiedział z szerokim uśmiechem mężczyzna za ladą.

Mój ojciec oparł się dłońmi o krawędź kontuaru i powiedział:

– Szukam pana Kuryły, właściciela tego sklepu.

– To już pan nie szuka, boś pan znalazł – odparł facet.

Witkacy z wyraźnym oporem zaczął klarować, po co przyszedł.

– Wiem, że to zabrzmie idiotycznie i może pan mieć kłopot z przyjęciem do wiadomości tego, co muszę panu przekazać... ale mam dla pana wiadomość od ojca.

Janusz Kuryło, trzeba mu to przyznać, zachował zimną krew. Nie krzyczał, nie kazał nam wypierdalać, nie nazwał Witkaca szaleńcem. Z twarzy odpłynął mu uśmiech i rumieniec, ale bez słowa czekał na ciąg dalszy.

– Nie wnikajmy specjalnie, w jaki sposób ani czemu ja, ale prosił, bym przekazał panu, że jest z pana dumny. Jest dumny, że zapewnia pan ciągłość rodzinnej tradycji. Wie, że nigdy nie powiedział tego panu za życia, i to go męczy. A kiedy poprosiłem, by przekazał panu coś, co tylko on i pan możecie kojarzyć, wspomniał, coś o berle. – Witkacy wyciągnął notes i przeczytał słowa ducha. – „Powiedz mu, że berło, które dzierżyłem od czasu wyprawy do Kielc, doskonale leży w jego dłoniach i robi z niego właściwy użytek”.

Janusz Kuryło uśmiechnął się przelotnie, ale wciąż koncentrował wzrok na Witkacu, jakby czekał.

– Coś jeszcze? – zapytał w końcu, gdy cisza się przedłużała.

– Nie, nie, to wszystko – odparł Witkacy.

– Dziękuję. Faktycznie, ojciec był chłodnym i powściągliwym człowiekiem. Mówienie o emocjach nie przychodziło mu łatwo. Dobrze, że choć po śmierci próbuje mi to jakoś wynagrodzić. – Skrzywił się lekko. Wyglądał, jakby mu ulżyło. Może spodziewał się mniej przyjaznego przesłania.

On i Witkacy jeszcze chwilę rozmawiali. Była to uprzejma pogawędka, która w żaden sposób nie odnosiła się do tego, że mój ojciec widzi duchy i z nimi rozmawia. Być może rzeczywistość ma więcej warstw, niż zakłada większość ludzi.

Zdjęłam pierścionek i wsunęłam go do welurowego woreczka. Bo gdy zniknął smród, poczułam zapach ciasteczek tak intensywny, że w tym miejscu wydawał się kompletnie nie na miejscu. Jeśli myślałam, że stary oblech miał tajemnice, życie to skorygowało. Jego syn także roztaczał wokół siebie woń cukierni.

Gdy ochronna magia obsydianu przestała działać i do nosa napłynął mi zapach gnijącej krwi i płynów ustrojowych, znów ogarnęły mnie mdłości. Miałam przeczucie, że powinnam przyjrzeć się bliżej temu majakowi – mógł być tylko emanacją przeszłości, ale niewykluczone, że stanowił coś więcej. Wnętrze znów prezentowało swój peerelowski szyk. Poza tym, co dostrzegłam dopiero teraz, nie byliśmy tu sami. Dwa... nie, trzy duchy, zbyt słabe, zbyt delikatne, by się w pełni manifestować, unosiły się w kącie za pieńkiem i toporem. Nie wydawały z siebie dźwięku, nie były wystarczająco wyraźne, bym zdołała je rozpoznać na zdjęciu. Przerazone i smutne, jakby straciły nadzieję na cokolwiek. Jedna z nich, bo były to bez wątpienia kobiety, przesunęła się bliżej pieńka i położyła dłoń na toporze.

To wystarczyło, bym na ułamek chwili zobaczyła ją wyraźnie. Zamrugałam zaskoczona.

– Pana tata od dawna nie żyje? – zapytałam niezbyt delikatnie.

– Miał zawał w dwa tysiące drugim – odpowiedział zaskoczony.

Dotąd całą uwagę poświęcał Witkacemu, jakby nie wiedział, że też tu jestem. Starannie omijał mnie spojrzeniem, nawet kiedy odpowiadał na moje pytanie.

– Mieszkał gdzieś w okolicy? – kontynuowałam przesłuchanie.

– Dwie ulice dalej. W jednym z pierwszych oddanych do użytku bloków na Rubinkowie.

– Pan też pozostał wierny osiedlu?

Witkacy nie przerywał, ale patrzył pytająco, zastanawiając się, do czego zmierzam.

– Nie – zaśmiał się Kuryłło. – Wolę nieco więcej przestrzeni. Po śmierci ojca sprzedałem mieszkanie i przenieśliśmy się pod miasto.

– Do Grębocina może?

– Do Ostaszewa. Niby inna gmina, a jestem w pracy w dwadzieścia minut. Więcej miejsca i z dala od hałasu miasta.

– Ach, mój błąd, musi mieć pan sobowtóra w Grębocinie, naprawdę uderzające podobieństwo – powiedziałam z szerokim uśmiechem, choć w życiu nie byłam w Grębocinie. Po prostu chciałam się dowiedzieć, gdzie mieszka.

Kuryłło pożegnał się z Witkacym, ja znów stałam się dla niego niewidzialna. W sumie dobrze, bo bez pierścienia na palcu bałam się podać mu rękę. Wyszliśmy na zewnątrz, a ja oddychałam szybko, by zapach rozkładu opuścił moje płuca.

– Co to było? – zapytał podejrzliwie mój ojciec.

– Nie wiem, tato, ale to było dziwne.

Opowiedziałam mu, co widziałam w sklepie, o duchach, o wrażeniach i emocjach.

– Myślisz, że stary Kuryłło był zabójcą? Seryjnym mordercą?

Przytaknęłam.

– Możesz go sprawdzić? – poprosiłam.

– Jasne. Jestem na emeryturze, ale wciąż mam kilku znajomych w policji. Prześwietlę go.

Nie wspomniałam, że moim zdaniem młody Kuryłło również ma coś na sumieniu. Ten krótki moment, kiedy duch dotykał pieńka i siekiery, wystarczył, bym dostrzegła dwie cenne wskazówki. Dziewczyna miała na nadgarstku opaskę Open'er Festivalu i koszulkę z grafiką, którą rozpoznałam. Okienka z kosmonautą grającym na perkusji w kosmosie, iluzjonistą z czaszką w dłoni, płonąca lokomotywą i mózgiem były dość charakterystyczne. Całkiem niedawno słuchałam tej płyty u Witkaca.

*

Witkacy odwiózł mnie do mieszkania. Nie rozmawialiśmy. On był zasepiony na samą myśl, że w Toruniu mógł grasować seryjny morderca, także w czasie jego kariery policyjnej. Ja byłam zmęczona. Wysłałam tylko esemes do Ziemka, prosząc, by do mnie przyszedł po szkole. Miałam godzinę, by zmyć z włosów i skóry smród rozkładu. Nie obchodziły mnie zapewnienia taty, że nikt poza mną go nie czuje.

– Kurczaczku, wszystko w porządku? – zapytał, gdy zaparkowaliśmy pod moim blokiem na Wodociągowej.

– Tak, po prostu to był ciężki dzień.

– Pewnie wolałabyś nawet kartkówkę z biologii niż to, co cię spotkało.

Co jakiś czas napadały go wyrzuty sumienia. Jak stado terierów. Cokolwiek się ze mną działo, uważał to za swoją winę, bo po nim odziedziczyłam magię. Nie było go ze mną, gdy się urodziłam i gdy uczyłam się z nią funkcjonować, więc jego zdaniem on odpowiada za to, że coś gorzej mi idzie. Gdybym złamała sobie paznokcie, to też pewnie byłaby jego wina.

Ja sobie radziłam. Nie przeszkadzało mi, że noszę magię i jestem szamanką. Czasami bywało to męczące, ale zwykle okazywało się całkiem fajowe. Nie musiałam szukać tej jednej jedynej rzeczy, która sprawi, że będę wyjątkowa, bo tak się składa, że urodziłam się wyjątkowa i taka już pozostanę. Nie winiłam też Witkaca za to, że wychowałam się bez niego. Mamy także. Byli smarkaczami z dzieckiem w drodze. Rozumiałam, dlaczego mu o mnie nie powiedziała i dlaczego uciekła. Cieszyło mnie, że kiedy się o mnie dowiedział, robił, co w jego mocy, by się odnaleźć w sytuacji. Poznałam dość historii znajomych i przyjaciół, by wiedzieć, że mogłam trafić dużo gorzej.

– Nie znasz mojej pani od biologii, jeśli myślisz, że oblech jest od niej straszniejszy – powiedziałam tylko. – Dzięki za dzisiejszą interwencję. I za podwózkę.

Przechyliłam się nad siedzeniem i cmoknęłam go w policzek. Wsiadłam, zanim zdążył mnie napomnieć, że mam nie podążać za zapachem ciasteczek czy że mam się trzymać od sprawy z daleka. Czułam się lepiej, jeśli nie musiałam okłamywać taty.

*

Stojąc przed blokiem na Balonowej, przyjrzałam się fasadzie, by się upewnić, że Sęp jest u siebie. Zza zasłon przedostawało się trochę światła – a więc był w domu. Miałam nadzieję, że sam.

A jeśli nie, trudno. Istniały rzeczy nieco ważniejsze niż figle w pościeli.

Sytuacja była delikatna. Potrzebowałam z nim porozmawiać, ale dyskretnie. Nie łudziłam się, że Witkacy nigdy się nie dowie, zanim to jednak nastąpi, miałam nadzieję pozałatwiać kilka spraw. Okna Witkaca były ciemne. Spał, wyszedł lub – najgorsza możliwość – siedział u Sępa.

Zadzwoiłabym, ale ten cholerny duch opiekuńczy łamane na starsze od Przedwiecznych bóstwo miał niefrasobliwe podejście do komórek. Gubił, wyłączał, zapominał, jak się odbiera, albo przepalał magią, bo nie pamiętał, by je wyłączyć przed sięgnięciem do eteru.

Napisałam do niego na fejsie, ale wciąż nie odczytał wiadomości.

Domofon nie działał, więc z sercem na ramieniu wspinałam się po schodach. Tym razem na kłamce nie wisiała flaga wolnej miłości, jak Ziemek nazywał sygnalizacyjną apaszkę. Zapukałam. Dzwonek był tak ostry i przenikliwy, że przyprawiał Sępa o zespół stresu pourazowego. Tak twierdził, a ja nie chciałam go irytować.

Otworzył po kilku minutach. Metr osiemdziesiąt osiem lekceważenia zasad, skrupulatnie budowanego wizerunku złego chłopca i zaskakującej miłości do memów i filmików z kotami. W luźnych spodniach od piżamy w lamy oraz T-shircie w ananasy wyglądał surrealistycznie.

– Wiki, obiecałam Witkacemu, że do pełnoletniości jesteś nietykalna, więc nawet nie proś.

– Nie wiem, jak dożyłeś starości z tym poczuciem humoru. Zabawne, ha, ha – powiedziałam poważnym tonem. – Jest u ciebie?

– Chata wolna, ale wciąż nie mogę zawieść zaufania swojego podopiecznego.

– Twoja szlachetność została odnotowana. Obiecuję, że będę trzymać ręce przy sobie, by nie narażać twojej cnoty. Musimy pogadać.

Popchnęłam go i weszłam do mieszkania. Obawiałam się, że jeszcze chwila, a na klatce pojawi się Witkacy.

– Jesteś przytomny? Trzeźwy? Pod wpływem? – zapytałam, idąc prosto do kuchni.

Znałam go już trochę, więc nie przyszłam z pustymi rękoma. Jeśli coś z tej rozmowy miało wyniknąć, musiał dostać łapówkę i kofeinę. Łapówkę w formie ptysiów przyniosłam. Kawę dla nas obojga zamierzałam właśnie przyrządzić.

– Niewyspany. Trzeźwy. Być może wciąż pod wpływem. Musiałem odwiedzić Babcię Pająk – powiedział, pocierając twarz.

Opadł na podłogę. Miał kanapę, ale odsunął ją w kąt, a w jej miejscu rozrzucił kilka wielkich poduszek i puf ze styropianowymi kuleczkami. Odkąd widziałam chatę Babci Pająk w Zaświatach, mniej mnie to dziwiło. Większość naszych mebli była niewygodna dla tych naprawdę starych stworzeń. Wstawiłam kawiarkę na palnik i naszykowałam kubki. Zbierałam się na odwagę, by dobrze zacząć temat. Jeśli Sęp usłyszy, że mam wątpliwości albo nie jestem pewna, nie połknie haczyka.

– Więc co tam? Znów wywołałaś małą apokalipsę i mam ci pomóc posprzątać, zanim tata się dowie? – zapytał, rozwalając się wygodnie na poduszkach.

Paradoksalnie, gdyby tak się zdarzyło, wiedziałam, że stanie w moim narożniku. Był jak ten pozornie nieodpowiedzialny i szalony wujek, do którego jednak dzwonisz, gdy trafisz do więzienia, bo wiesz, że wpłaci kaucję i cię wyciągnie, nawet jeśli przez kolejną dekadę będzie się nabijał z twojego zdjęcia do kartoteki policyjnej.

– W lipcu 2010 roku dziewiętnastoletnia Milena Szwaja była na Open'erze w Gdyni. Tam widziano ją po raz ostatni. Nigdy nie wróciła do domu. Od siedmiu lat jest na liście osób poszukiwanych Itaki. Policja nie znalazła dziewczyny, ciała, sprawcy – powiedziałam cicho.

Pozornie niewiele się zmieniło. Wciąż leżał rozwalony i zrelaksowany. Można by uznać, że nic go to nie rusza. Jednak nauczyłam się nie patrzeć na pozory, ale w oczy. Nie było to szczególnie przyjemne, bo gdy ma się do czynienia z tak starą istotą, patrzenie w oczy niepokojąco przypomina spoglądanie w otchłań. Lecz gdybym nie uważała, nie zauważyłabym chłodnego okrucucha ciemności. Wiele można powiedzieć o Sępie, ale nie to, że ma takie rzeczy w dupie.

– Po kolei, mała, już mnie zainteresowałaś, teraz chcę poznać kontekst.

Opowiedziałam mu o oblechu. O snach i poczuciu nawiedzającej mnie cudzej paniki. O omdleniu. O całej wyprawie z Witkacem na Wzgórze Wisielców, a potem do sklepu mięsnego Kuryłów. Opisałam specyficzną emanację duchów młodych kobiet i wrażenie, jakie pozostawiał po sobie kontakt z aurą tego miejsca bez ochrony pierścienia. Zrelacjonowałam, jak z Ziemkiem szukaliśmy informacji o kobiecie, która zaginęła w 2010 roku; Backspacer, płyta, która widniała na jej koszulce, wyszła w 2009, a w 2010 Pearl Jam grał na Open'erze. Znajac przybliżoną datę, trafiliśmy na stronę o zaginionych. Było ich tak wielu... Rozpoznałam dziewczynę na fotografii. Szukaliśmy też informacji prasowych o niej i o innych kobietach, które zniknęły bez śladu – zdjęcia znaleźliśmy na tej samej stronie. Co najmniej pięć z nich mogło być w okolicy. Wiem, że to niewiele znaczy, ale w sklepie było kilka duchów, zbyt nieostrych, by je rozpoznać, ale przecież

musi istnieć sposób... I że to wcale nie są wszystkie, bo jeszcze stary Kuryłło...

Przedstawiłam swoją teorię, a Sęp nawet nie mrugnął.

– Czy w tej torbie masz ptysie, czy eklerki?

Tak brzmiały pierwsze słowa, które powiedział, kiedy skończyłam długą na ponad pół godziny opowieść. Czy zdziwiłam się, że przez papierowe opakowanie i płócienną torbę wywąchał bezbłędnie rodzaj ciasta? Wcale.

– Pysie. Nie z budyniem. Takie, jak lubisz.

– Dwa?

– Cztery.

– Rozsądnie.

Zajął się ciastkami. Rozłożył każdego ptysia na dwie części i zaczął jeść jak kanapkę, wgryzając się w ciasto. Po chwili był wymazany pod nosem białym słodkim kremem. Oblizywał się z zadowoleniem. Jego poziom uwagi spadał, więc powiedziałam:

– Znalazłam ją. Poniekąd. Jej ducha. Znalazłam też jej zabójcę. I potrzebuję twojej pomocy.

– Mam go sprzątnąć? – Rozsądna oferta.

– Myślałam o tym. Ale gdybyśmy to zrobili w ten sposób, tata by nie skończył z gadaniem. I uznaliby, że masz na mnie zły wpływ.

– Twój ojciec ma sporo ograniczeń.

Westchnęłam. W porównaniu z Sępem cechowała go moralność konserwatywna, wręcz skostniała, ale stanowiła część jego uroku.

– Wiesz, że tata myśli o sobie jak o wyrzutku i buntowniku, bo wypalił w życiu kilka skrętów, ale prawda jest taka, że przestrzega zasad. Samodyscyplina miała go uchronić przed szaleństwem, gdy nie wiedział o swojej magii. Praca w policji do tego pasowała, wiązała się z konkretnym systemem przekonań.

- Już nie jest w policji, a skrętów było sporo więcej niż klika.
- Ale wciąż jest stróżem prawa. I skręty nie mają tu nic do rzeczy.
- No dobrze, przemyślałaś to sobie. Co proponujesz?
- Duch dziewczyny jest niekomunikatywny, niedokończony albo uszkodzony. Ale może da się coś z tym zrobić. Pamiętasz, jak nasyciłam energią duchy żołnierzy?
- Jasne, trudno zapomnieć. Niewiele brakowało, a zniszczyłyby miasto.
- Nie potrafiłam ich kontrolować. Było ich zbyt wiele. Ale gdybyśmy zrobili to tylko duchowi dziewczyny, mogłaby zeznawać, wskazać swój grób, wiesz, byłaby świadkiem we własnej sprawie – zapaliłam się.
- Nie ma mowy, mała. Nie możesz nasycić jej ducha.
- Wiem, że nie mogę, jestem na warunku. Ale ty możesz. Ciebie nie mogą ograniczyć.
- Podoba mi się, jak działa twój mózg, Mały Ptaszku, jednak nie o tym mówię. Nie możemy nasycić, żadne z nas nie może, ducha, który już w tej formie jest agresywny.
- A jest?
- Musi być. Pomyśl o snach. Nawiedzeniu. Wpływananiu na twoje postrzeganie przestrzeni. Ona próbuje cię opętać. Ta lub jedna z nich, bo na Wzgórzu pewnie była inna. Może tworzą rodzaj chmary, co się zdarza, gdy giną w tym samym miejscu, z tej samej ręki. Nasycanie jej skończy się fatalnie. Mogą cię wypchnąć z twojego ciała i w nim zamieszkać.
- Przecież mam kamienie ochronne – przypomniałam.
- Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że one nie myślą o tym w kategoriach agresji. Jesteście w podobnym wieku. Mogą omijać bariery kamieni i najpewniej to robią, skoro masz objawy nawiedzenia. Jeśli nie chcesz skończyć na długich i przykrych egzorcyzmach, proponuję raczej odesłać je do

Zaświatów, zanim zrobią krzywdę tobie lub innej miłej idealistycznej dziewczusce.

Przygryzałam wewnątrz policzka, intensywnie myśląc. Tego nie przewidziałam.

– Czyli co? Nic nie możemy zrobić? Będzie dalej je łapał i zabijał? Może z kolejną ofiarą chodzę do liceum albo mijam ją w warzywniaku? Nie mogę tego tak zostawić. I nie, nie możemy go zabić! – krzyknęłam, widząc minę Sępa. – Pomyśl, co się stanie z Witkacym, gdy to się wyda. Zwałą to na niego. Jest odpowiedzialny za naszą dwójkę.

– Ludzkie zasady są tak nieznośnie sztywne.

– Nie tylko ludzkie. Czy Przedwieczni nie czekają na twoje potknięcie na Ziemi? Co zrobisz, jeśli morderstwo uznają za wystarczający powód, by was rozdzielić i ściągnąć twój tyłek do Zaświatów na stałe?

– Likwidacja seryjnego zabójcy to nie całkiem morderstwo.

– Kup im „Dextera” na DVD, komplet sezonów, by pojęli różnicę. Na razie to tylko moje domysły, rozumiesz?

Pokiwał głową.

– No dobrze. To jest wyzwanie, ale poradzimy sobie.

– Legalnie?

– Ustawiasz poprzeczkę zbyt wysoko. Obiecuję, że go nie zabijemy, OK?

Czasami nie można mieć wszystkiego i trzeba wziąć to, co daje nam los. Uścisnęłam dłoń Sępa.

*

Znów byłam na Wzgórzu Wisielców. Tym razem nocą, więc przyjazny lasek wyglądał dużo bardziej gotycko. A może to te wszystkie duchy – niektóre nie lubiły dziennego światła i wychodziły z ukrycia dopiero po zachodzie słońca. Było ich

wiele. Gdyby za dnia znalazło się tu tylu żywych, powiedziałabym, że przestrzeń jest zatłoczona.

Pojawiły się i one. Wyglądały jak moje siostry. Jak siostry Mileny Szwai. Niewysokie szczupłe brunetki, drobnokościste, o dużych ciemnych oczach. Nie były dość silne, żeby się komunikować, i nieco niewyraźne, ale odniosłam wrażenie, że zmarły wcześniej niż dziewczęta ze sklepu mięsnego. Jedna miała krótką postrzępioną grzywkę, inna ciemną wiśniową albo czarną szminkę na ustach i aksamitną obrózkę na szyi – kojarzyły mi się raczej ze zdjęciami z nastoletnich czasów mamy i latami dziewięćdziesiątymi. Moda wraca, ale te duchy miały więcej niż trzy lata.

– Są tu pochowane, na pewno – powiedział Sęp, krążąc alejkami Wzgórza Wisielców. – W ogóle zaskakująco wiele ciał jak na park, siedem... nie, osiem. Pięć z nich to młode kobiety, chyba te twoje.

– Znajdziesz ich groby?

Pokręcił głową.

– Wiem, że tu są, tylko dlatego, że inaczej wyczuwam emanację ducha w pobliżu jego miejsca pochówku. Ciało to nie moja działka. Ale znasz kogoś, kto to potrafi. Może je nawet zmusić do powstania i pomaszerowania na cmentarz.

Faktycznie, znałam kogoś takiego, choć średnio się dogadywałyśmy. Mój początek znajomości z byłą dziewczyną ojca przebiegł dość wyboiście, mimo to byłam gotowa iść do niej z białą flagą z własnych gatek, jeśli tylko mogłaby mi pomóc zamknąć tę historię.

– Dobra, jeszcze jedno miejsce – powiedział Sęp i zadzwonił po taksówkę.

Rubinkowo nocą jest dziwnym miejscem na szwendanie się. Nikt nas, na szczęście, nie przyłapał na zaglądaniu w okna sklepu mięsnego, bo niełatwo byłoby się wytłumaczyć – policji

czy miejscowym patrolom dresów. Sęp chciał się włamać i teatralnie przewrócił oczami, gdy zaprotestowałam, ale posłuchał. Narysował kredą symbol przywołania na chodniku przed sklepikiem i sięgnął po eter, by zwabić duchy. Nic się nie stało, kompletnie nic. Żadna nie wychyliła głowy przez szybę ani nie wyłoniła się ze ściany.

– Nie ma ich tu – powiedział Sęp.

– Przysięgam, że były!

– Wierzę ci. Po prostu nie są przywiązane do tego miejsca.

Zastanawiające. Przywiązanie duchów do miejsca wydawało się oczywistością, tymczasem tu drugi już raz spotykałam się z odstępstwem.

– Ruchoma kotwica? – zgadywałam.

– Tak myślę. Stawiam na trofea.

Zrobiło mi się niedobrze. Jak bardzo osobiste musiały być, by przywiązać do nich duchy?

– Musimy odwiedzić jego dom. W sobotę sklep jest otwarty do czternastej, więc zdążymy.

– Czy to ten moment, kiedy mówimy Witkacemu? – zapytałam.

– Po jutrzejszej wycieczce. Jestem pewien, że byłby jej przeciwny, a po fakcie nie będzie mógł protestować.

Pewnie z powodu takiego podejścia moje kontakty z Sępem nie zachwyciły taty, a mama rzucała mu ostrzegawcze spojrzenie, ilekroć otwierał usta.

Moim zdaniem był po prostu praktyczny.

*

Tej nocy znowu mnie nawiedziły. Wciąż nie potrafiły komunikować się werbalnie, ale pokazały mi obrazy miejsc i wspomnienia bólu, strachu i naruszenia wszelkich granic.

Zobaczyłam więcej, niż kiedykolwiek chciałam. Wizje wypalały mi się w pamięci tak jak wspomnienia dziewcząt, których nigdy nie znałam, miejsc, w których nie byłam, i doświadczeń, których wciąż wolałabym nie mieć.

Amulety ledwie działały na jawie, a w tej chwili stały się zupełnie nieprzydatne, jakby w świecie snu obowiązywały inne zasady. Znów byłam zupełnie bezbronna.

Teraz, gdy już o nich wiedziałam, wydawały się docierać głębiej. Dotąd budziłam się po kilku minutach, lecz tej nocy zabrały mnie na samo dno jamy strachu i nie byłam w stanie się wynurzyć. Szarpałam się, próbowałam szczytać się w ramię i przygryzać język, spoliczkowałam się, usiłując złamać zaklęcie. Uwiązały mi siebie na szyi jak kamień, który trzymał mnie przy dnie. Im bardziej się szarpałam, tym bardziej moja panika zlewała się z ich strachem i coraz trudniej było mi wyznaczyć między nami wyraźną linię światła. Myślałam, że to już koniec, że już po mnie. Jednak choć w tym świecie miałam kamień u szyi, w tamtym miałam kotwicę. Nieświadomą presji, ale niezawodną.

Mama usłyszała mnie zza ściany i potrząsała mną tak długo, aż się obudziłam. Spocona, z gardłem podrażnionym od krzyku, trzęsąc się z zimna i gorączki. Pomogła mi się przebrać w suchą piżamę, przewróciła kołdrę na zimną stronę i otuliła mnie nią, jakbym znów miała pięć lat. Była zmartwiona jak każda mama obudzona w nocy, ale przecież nie wiedziała, co się działo. Uwierzyła, gdy powiedziałam, że to był dziwny koszmar, z którego niewiele pamiętam. Wróciła do łóżka, a ja do rana bałam się zasnąć. Czekwały na mnie po drugiej stronie progu. Być może następnym razem nie zdołam się wyrwać.

Mieliśmy wszystko obmyślane i realizacja planu nie odbiegała specjalnie od przyjętych założeń. Poza jednym małym szczegółem... albo dwoma. Każdy z nich pociągał za sobą poważne konsekwencje. Pewne sytuacje znacznie lepiej wyglądają w filmach niż w życiu.

Znalezienie właściwego budynku nie było trudne. Wieś, o której wspomniał Kuryłło, jest niewielka. Nawet gdybym nie widziała jego domu w snach kreowanych przez ofiary, poznałybyśmy go po aurze dawnej przemocy i śmierci. W każdym starym domu ktoś kiedyś umarł, więc strzępki fioletu wyłapywaliśmy wszędzie, ale to było coś innego. To było tak złe, że wzdrygałam się jak po dotknięciu zimnej, oleistej i kleistej substancji. Wrażenie pozostawało nieprzyjemne nawet po włożeniu gumowych rękawiczek.

Sęp był świetnym włamywaczem, z łatwością sforsował solidne zamki w drzwiach wejściowych. Weszliśmy ostrożnie.

Zapach ciasteczek kręcił w nosie. Mdliło mnie lekko od słodkości, tym bardziej, że już znałam niektóre z tajemnic gospodarza. Zaprowadziłam Sępa prosto na niewielkie podwórko na tyłach domu, obudowane wysokim parkanem z bambusowych deszczulek. Dyskrecja ma znaczenie, gdy zakopujesz ciała w ogrodzie. Dwumetrowe ogrodzenie powstrzyma wścibskich sąsiadów.

W samym domu trudno było podążać „za nosem”. Zapach okazał się intensywny i dochodził z kilku miejsc, więc przeciążone zmysły nie dawały rady. Szczęśliwie miałam jeszcze Sępa, ciekawskiego z natury kombinatora, który wchodząc do pomieszczenia, rozglądał się i mruczał: „Gdybym był chorym skurwielem, gdzie schowałbym na to dowody?”, a potem wpełzał pod łóżko, opukiwał klepki podłogi i osłonę kaloryfera, po czym odsuwał regał w poszukiwaniu skrytek.

W tym czasie ja sprawdzałam komodę z bielizną i ciuchami oraz pudełka z Ikei pełne płyt i szpargałów.

Koniec końców znaleźliśmy sporo dowodów, które spakowaliśmy do torby. Planowałam dostarczyć je dyskretnie na policję wraz z anonimowym listem. Nie byłam pewna, czy to wystarczy, ale na tym etapie mogliśmy mieć już w swoim narożniku Witkaca oraz jego koneksje w komendzie. Byłego policjanta, nawet z taką reputacją, jaką cieszy się mój ojciec, potraktują poważnie szybciej niż szesnastolatkę. Wszystko sobie przemyślałam. Nasze włamanie nie powinno skomplikować sprawy. Prokurator nie będzie jęczał o „nielegalnie pozyskanych dowodach”, skoro to anonimowa wysyłka, a nie przedwczesna akcja policyjna. Zanim funkcjonariusze wejdą do domu, zdobędą już nakaz przeszukania. Policja i technicy znajdą tu dużo więcej niż my. Pilnowaliśmy się też, by nie zostawić odcisków palców i śladów DNA, choć żadnego z nas nie było w bazie danych. Zgadza się, oglądałam dużo seriali kryminalnych i dokumentów policyjnych. Takie hobby.

Jakiś czas później, kiedy uznaliśmy, że nic już nie znajdziemy, szykowaliśmy się do wyjścia. Mijałam szafę ścienną na korytarzu, kiedy zapach ciasteczek zakręcił mnie w nosie tak, że zaczęłam kichać. Raz za razem, osiem solidnych kichnięć.

Zapatrzyłam się na drzwi, zastanawiając się, jakie tajemnice może kryć szafa. Sęp odsunął na bok wieszaki z kurtkami i płaszczami, odsłaniając białe niepozorne drzwi obwieszane zasuwami i kłódką.

– Chyba nie myślisz... – Bałam się skończyć pytanie.

Nie odpowiedział, nie uśmiechnął się, nie rzucił głupim żartem. Koncentrował się na kłódkę. Była trudniejsza do rozgryzienia niż zamki w drzwiach.

Drewniane schody wyglądały na prowizoryczne, podobnie jak surowe betonowe ściany. Miałam przecucie, że były nowsze niż reszta domu – jakby ktoś wykopał piwnicę już po jego wzniesieniu.

Sęp zszedł sam. Cieszyłam się, że nie kazał mi iść ze sobą, bo nawet woń ciasteczek nie zdołała zabić smrodu dochodzącego z dołu. Odchody, rozkładająca się krew i rozpacz. Zapachy, które pamiętałam ze snów.

Stałam przy drzwiach, oplatając się ciasno ramionami. Bałam się, że Sęp już nie wyjdzie. Bałam się, że wyjdzie i powie mi, co znalazł. Bałam się, że zawoła mnie z dołu, chcąc, bym zeszła po nieheblowanych brudnych schodach.

Kiedy wyszedł, milczał. Na chwilę zapomniał o oddychaniu, jakby jego ludzkie przebranie potrzebowało chwili na przyswojenie tego, co zobaczył.

– Wychodzimy – powiedział w końcu.

– Co tam było? – zapytałam, choć nie byłam pewna, czy chcę znać odpowiedź.

– Zło, maleńka, czyste zło.

– On tam kogoś ma, prawda? – szepnęłam.

– Miał. Nic już nie możemy dla niej zrobić. Przykro mi.

Zaczęłam płakać. Nie potrafiłam się powstrzymać. Łzy spływały mi po policzkach, a szloch utrudniał oddychanie. Nie zapytałam, o ile się spóźniłszy. Bo wiedziałam. Już wiedziałam, dlaczego mnie znalazły, dlaczego nawiedzały mnie w snach, dlaczego pokazywały mi to wszystko. Już wiedziałam, czyj ból i strach mi przyniosły. Trzęsłam się, kiedy Sęp objął mnie delikatnie i powiedział:

– Musimy iść, Wiki, naprawdę musimy iść.

– Co z dowodami? – zapytałam przytomnie.

Zawahał się. Obecność ciała wszystko zmieniła.

– Przygotujmy scenę na przyjazd kawalerii – zdecydował.

Wróciliśmy do sypialni pana domu. Przerzuciłam skarpetki do szuflady z gaciami, by zwolnić ją na nasze skarby: znalezione pod łóżkiem w drewnianej skrzynce po mikroskopie zdjęcia ofiar, mnóstwo zdjęć. Przed porwaniem, w jego trakcie i po nim. Niektóre starsze, na papierze polaroidowym, inne nowsze, wydrukowane na domowej drukarce laserowej, na błyszczącym papierze, na którym na pewno było sporo odcisków palców – na szczęście nie naszych, bo żadne z nas nie zdjęło rękawiczek. Dalej: legitymacje szkolne, które trzymał w metalowej puszcze po herbatnikach, w jakiej w większości domów przechowuje się igły i nici. Stosik niewielkich kalendarzyków z logo związku łowieckiego. Mało znam osób, które przechowują kalendarze sprzed osiemnastu lat, więc zajrzałam do jednego z nich. I zemdliło mnie przy notatkach o „sezonie łowieckim”. Kolejna rzecz, którą policja powinna przeanalizować. Wycinki z gazet o zaginionych, w tym o zaginięciu chłopaka w Toruniu. Pamiętałam tę sprawę. Kilka miesięcy temu żyło tym całe miasto. Ochotnicy i policja przeszukiwali Park Bydgoski, szukając studenta, po którym ślad zaginął. Całymi tygodniami, czekając na autobus do szkoły, czytałam przyklejone na wiacie ogłoszenia. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie... Nie byłam pewna, czy i on znajdzie się na podwórku, ale obstawiałam, że to całkiem prawdopodobne. Może zabójca zmieniał profil, może chłopak pojawił się w złym miejscu i złym czasie...

Pracowałam w skupieniu, cały czas się zastanawiając, co Sęp znalazł w piwnicy. I czy mogliśmy tu dotrzeć szybciej, uratować ofiarę. Racjonalne odpowiedzi nie przynosiły ulgi.

Sęp zamknął za nami drzwi. Spędziłam w tym domu dwie godziny, a miałam wrażenie, że postarzałam się o dwa lata. Trzęsłam się z zimna.

– Teraz chyba czas wezwać Witkaca, co? – powiedziałam smętnie.

– Nie musimy wzywać. On tu jest – odparł spokojnie, jakby to było całkiem normalne, że mój ojciec nas śledzi czy odnajduje za pomocą magii właśnie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebuję.

Znów zaczęłam płakać.

Stał w niewielkim oddaleniu od budynku. Zaparkował swojego obdrapanego jeepa koło motocykla Sępa, którym przyjechaliśmy. Nawet nie wyglądał na złego. Po prostu stał, opierając się o maskę. Milczące wsparcie. Przybrał inny wyraz twarzy dopiero wtedy, gdy zobaczył, że płaczę.

Sęp się wszystkim zajął. Powiedział mi, co znaleźliśmy. Upewnił świrującego Witkaca, że nie widziałam ciała i na pewno nie zostawiliśmy śladów.

Wsiadłam do jeepa. Było mi zimno. Owinęłam się kraciastym kocem, którym Witkacy przykrywał sprężyny wystające z siedzenia. Było mi już wszystko jedno. Wiedziałam, że poradzą sobie beze mnie. Przymknęłam oczy i zastanawiałam się, co miał przy sobie Kuryłło, jaki osobisty przedmiot każdej z ofiar, że zdołał je do siebie przywiązać. Na pewno coś bardziej intymnego niż fotografia czy legitymacja. Nie biegał z lodówką, więc raczej nie części ciała. Nie wydawał się dość rozgarnięty, by niczym Dexter zbierać próbki krwi na szkiełkach do mikroskopu. Włosy? Fragment odzieży? Biżuterię? Z pewnością coś niewielkiego, nadającego się do noszenia przy sobie i niezwracającego uwagi.

Witkacy gdzieś dzwonił. Pewnie musiał pociągnąć za sznurki, przypomnieć kolegom z komendy o starych długach. W sumie tak było lepiej. Rzeczy, które znaleźliśmy, nie opuściły domu, czekały na policję schludnie ułożone w szufladzie. Obejrzałam dość seriali kryminalnych, by rozumieć wagę nienaruszalności

łańcucha dowodowego, jeśli coś miało zostać przyjęte w sądzie jako dowód.

A potem, gdy mój tata skończył rozmawiać przez telefon, zaczął się wydzierać na Sępa. Westchnęłam i postanowiłam interweniować. Wytoczyłam się z samochodu, niczym wielka buka w szkocką kratę, i stanęłam między nimi.

– Tato, on mi pomagał. Gdyby się nie zgodził, zrobiłabym to sama – powiedziałam twardo.

– Nie włamałabyś się sama do domu podejrzanego!

– Hmm, dopóki Sęp nie powiedział, że poradzi sobie z zamkami, planowałam wybić szybę w oknie od podwórza, a po wszystkim dać policji cynk o włamaniu.

Patrzył na mnie bez słowa.

– Nie mogłam tego zostawić... Może teraz pozwolą mi spać w spokoju. Nie użyłam magii bez pozwolenia, nie ściągnęłam nowej apokalipsy, ale musiałam coś zrobić, zanim oszaleję... To nie były tylko emocje, tato. Czułam na własnym ciele, co im robił. Nie umiałam się wyrwać z tego koszmaru. I nie chcę, by wrócił, kiedykolwiek – powiedziałam i znów się rozplakałam, wyczerpując roczną normę łez.

Witkacy przeklinał cicho, kiedy mnie przytulał i głaskał po włosach.

– To jeszcze nie koniec – wymamrotałam w jego sweter.

– Policja go zatrzyma. Uwierzyli mi na słowo. W raporcie będzie informacja o anonimowym cynku. To koniec.

– On przy sobie coś ma, coś, co należało do dziewczyn. Jeśli dobrze kombinuję, włosy albo biżuterię.

– Powiem im, by czegoś takiego poszukali.

– Ale to jeszcze nie koniec – powtórzyłam. – Dopadliśmy jednego, ale to nie wszystko, co musimy zrobić. Tu nie ma wszystkich ofiar. Nie wszystkie były jego.

Witkacy westchnął ciężko, po czym, gdy powiedziałam mu, co odkryliśmy wieczorem na Wzgórzu Wisielców, zadzwonił do Katii.

– Hej, potrzebuję specjalistki od szukania trupów – powiedział na powitanie.

A kiedyś się zastanawiał, czemu im nie wyszło.

*

Ciał było więcej, niż sądziliśmy. Znaleźliśmy też dwa w parku przy Rapackiego i jedno w lasku akademickim. To dlatego oblech miał tak duże terytorium – grzebiąc ofiary w publicznych parkach, sprawiał, że stawały się jego podwórkiem – innego nie miał, mieszkając w bloku. Katia potrzebowała dwóch dni, by znaleźć wszystkie ciała i nanieść namiary na mapkę. Nie musiała sięgać po łopatę – Matka Ziemia chciała jej wyśpiewać wszystkie tajemnice. Tak powiedziała. Mapę Witkacy podrzucił do materiałów na miejscu zbrodni.

Trzy dni ekipa techników i policjantów przetrząsała dom i podwórze Kuryły, znajdując coraz to nowe ciała. Ofiara w piwnicy nie żyła ponad tydzień. Nie mieliśmy szans dotrzeć do niej na czas. Potem technicy przenieśli się do parku. O świcie we wtorek, by uniknąć gapiów, sprawdzili jedno z oznaczonych na mapie miejsc. Gdy znaleźli szkielet, sprawy potoczyły się szybko.

Duchy ofiar zmieniły swoje zachowanie po tym, jak odkopano ich szczątki. Może miało to coś wspólnego także z faktem, że odebrano Kurylle trofea: drobne elementy biżuterii, które nosił w jedwabnym woreczku pod ubraniem. Przestały chodzić za nim, za to zaczęły za mną. A ja nie wiedziałam, jak im pomóc. Odsyłanie na siłę wydawało mi się złym rozwiązaniem –

doświadczyły już dość przemocy. Nie robiły mi krzywdy. Po prostu mi towarzyszyły. Otaczał mnie wianuszek dziewcząt wyglądających jak moje starsze siostry.

Początkowo tata nie chciał mi przekazywać informacji, ale zorientował się, że Sęp i tak je z niego wyciąga i wszystko mi mówi. Może w końcu zrozumiał, że to nie ciekawość mnie motywowała. Musiałam wiedzieć. One musiały wiedzieć. I już nie wchodziły w moje sny. Nie pokazywały więcej, niż kiedykolwiek chciałam zobaczyć. Myślę, że chciały mnie ostrzec, dlatego zaczęły. Widziały, jak oblech na mnie patrzy. Wiedziały, że ma spadkobiercę. Chciały, bym go powstrzymała.

Ziemek nie spuszczał mnie z oka, ponieważ jego urządzenie do wykrywania bytów ektoplazmowych nie chciało zamilknąć. Żadne z nas nie przewidziało, jak ekstremalny obrót przybierze ta sprawa.

W kolejnych dniach media miały używanie. Prawdziwy seryjny morderca, do tego rodzinny biznes! Dyskusje „geny czy wychowanie” odżyły. Pierwsze na miejscu były media lokalne, ale szybko zjechały się ekipy z większości stacji i redakcji w Polsce. Na przystanku autobusowym czytaliśmy gazety, sprawdzając, ile już przeciekło do prasy. Sporo, ale nie wszystko.

Patrzyłam na ziarniste zdjęcia ofiar, gdy ich znacznie mniej ziarniste duchy kręciły się wokoło. Jeszcze nie były gotowe odejść. Myślałam, że może czekają na proces, na sprawiedliwość.

Witkacy dowiedział się od kumpla z komendy, że Kuryło w końcu pękł i przyznał się do wszystkiego. Wielokrotnie powtarzał też, że wyspał go pewnie ojciec, zazdrosny, że syn go prześcignął, bo w piętnaście lat zabił więcej dziewczyn niż stary przez całe swoje życie. Mówił coś o facecie, z którym ponoć

rozmawiał duch ojca, i to jemu zapewne zdradził sekrety, a ten powiedział policji. Nikt nie traktował tych słów poważnie. Policja i prokurator zgadzali się, że to próba obrony przez niepoczytalność.

Dowiedzieliśmy się też, czym było „berło”, o którym mówił duch seniora. Tłuczek do mięsa, którym ojciec zabił pierwszą ofiarę, wisiał na ścianie w piwnicy syna. Znaleziono na nim świeże ślady krwi. Rodzinne insygnia koronne. Tradycja łącząca pokolenia od trzydziestu lat. Obrzydliwość.

Tydzień później Kuryło popełnił samobójstwo. Powiesił się w areszcie. Nie musiałam się o tym dowiadywać z gazet czy od Witkaca – spotkałam go, dołączył do swojego ojca na Wzgórzu Wisielców. Tego było już dla mnie za wiele.

Poprosiłam tatę, by ich odesłał. Jeśliby odmówił, zamierzałam podjąć się tego sama, mając w nosie karę i embargo na magię. Pewne rzeczy po prostu musiały być zrobione.

Nie odmówił. Poszliśmy w trójkę, z Sępem. Zajęło nam to nie więcej niż godzinę. Gdy próbowali się opierać, Sęp zmienił postać i na własnych skrzydłach zawlókł ich eteryczne dupska na drugą stronę bramy, po czym oddał strażnikom.

– Duma i ciągłość, psia jego mać – mamrotał Witkacy.

– Też mam coś po swoim ojcu, ale chyba lepiej wybrałam – powiedziałam, obejmując go ciasno.

Bo w takich chwilach czułam się spadkobierczynią mojego taty. Łączyła nas magia, ale i miłość.

Kiedy obaj, ojciec i syn, wachali kwiatki od spodu, a ich niematerialne szczątki znalazły się w Zaświatach, duchy dziewcząt poczuły się wolne. Nie potrzebowały mowy, by nam przekazać, czego potrzebują. Zgromadziły się wokół nas, byśmy pomogli im przekroczyć próg. Ponad dwadzieścia duchów, tak podobnych, że zlewających się w jednego ducha chmary,

a przez to przeżywających mękę porwania, tortur i zabójstwa wciąż od nowa. Ale i ta męka mogła już dobiec końca.

Witkacy oplatał każdą błękitem eteru, a Sęp łagodnie odprowadzał je do bramy, jak dzieci do przedszkola. Grałam dla nich melodię odesłania, kojącą kołysankę, na moim kiju deszczowym, mając nadzieję, że po tamtej stronie wreszcie znajdą spokój. Sęp zapewniał mnie, że tak się stanie.

– Babcia Pająk uleczy ich dusze – powiedział tylko.

Moje sny znów stały się zupełnie zwyczajne.

Witkacy nie wspomniał o niczym mamie, więc nie miałam szlabanu za włamanie. Za to spędzał zdecydowanie więcej czasu ze mną i Sępem. Twierdził, że trochę strach nas razem zostawiać, bo pewne sprawy przychodzą nam zbyt łatwo. Ja czułam, że zapłaciłam za to wszystko dość wysoką cenę.

Po wizycie w tamtym domu nigdy już nie czułam się dzieckiem. Równocześnie zrozumiałam, że odziedziczyłam po swoim ojcu znacznie więcej niż magię. Pewnych rzeczy po prostu nie mogłam zostawić samym sobie. Wiara w sprawiedliwość i poczucie misji nie brały się znikąd. Duma i ciągłość.



Michasia Rudeckiego rozpierała euforia. Za dwa tygodnie miał urodziny, już piąte, ale właśnie wydarzyło się coś, co przebiło radość z nadciągającego przyjęcia. Choć mało co w serduszkach Michasia stało w hierarchii wyżej niż ciasto, to temu czemuś udało się przeskoczyć na skali nawet piętrowy tort czekoladowy, który obiecała mu upiec mama.

Otóż właśnie dziś, zaraz po śniadaniu, przemienił się po raz pierwszy! Nie wiedział, jak dokładnie to zrobił... Kichnął i nagle był rysiem. Miał cztery łapki, ogon, rude futerko, uszy i wąsiki! Z trudem wyplątał się z piżamy, która nagle kompletnie nie pasowała na jego nowe ciało i czepiała się futerka. Chwilę walczył, a gdy wreszcie się uwolnił, potknął się o własne łapki. Na swoje usprawiedliwienie miał tylko to, że było ich nieco więcej niż do tej pory i nie wszystkie jeszcze go słuchały. Poturlał się po podłodze i uderzył pleckami o komodę, strącając z niej szklankę z wodą, która rozbiła się o parkiet z hukiem głośnym jak grzmot w dziwnie wrażliwych rysich uszach. Huk ten zwabił mamę do jego pokoju.

Zamarła w progu, zaskoczona, a potem uśmiechnęła się i wkroczyła do sypialni chłopca. To nie był jej pierwszy raz, miała przecież czterech starszych synów. Kiedy zdecydowała się związać z ich ojcem, liczyła się z tym, że wychowanie potomstwa, które zapewne odziedziczy zmiennokształtność, może się okazać wyzwaniem. Nie wiedziała, na co się porywa. Mali chłopcy to ręce pełne roboty, a małe rysie – istne szaleństwo. Ale też mają tę przewagę nad chłopcami, że czasem się zmieniają w najśłodsze stworzonka na świecie. I choć w sekundzie, w której pokrywają się futerkiem, zapominają o wszystkim, czego ich uczyła o sprzątanym po sobie, to nie

umieją też pyskować, co zwłaszcza w wypadku nastolatków ma niesamowicie wiele zalet.

Uklękła na podłodze przed swoim synkiem, najśłodszym małym rysiem świata, z wielgaśnymi oczyskami, które kiedyś będą bursztynowe, ale teraz miały ten niewinny i anielski odcień błękitu. Rozczulał ją kompletnie.

– No proszę! Kto tu wpuścił tego rysia? Czy to możliwe, że mój malutki synek się przemienił? Tak bez ostrzeżenia? – pytała, a Michaś chyba próbował jej odpowiedzieć, ale zamiast słów z jego gardła wydobywało się dziwne skrzeczenie.

Śmiała się i miziała go za uszkiem, co bardzo mu się podobało. Jego krótki ogon sam zaczął merdać! Ojejku! Miał ogonek. Ba! Nie tylko go miał, ale i potrafił nim machać!

Był z siebie tak dumny, że zaryczał jak lew. No dobrze, nie brzmiało to aż tak lwio, jak myślał, ale mama udała, że jest przerażona, i bardzo mu się spodobało, że uniosła ręce i pisnęła jak myszka. Podskoczył radośnie, zatupał swoimi dużymi rysiowymi łapkami, ryknął znowu.

– Straszna bestio, nie pożeraj niewinnej wiedźmy! – zawołała mama i zasłoniła głowę spódnicą.

Michaś zachichotał, co brzmiało strasznie śmiesznie, kiedy było się rysiem. Chciał skoczyć na mamę, ale przewrócił się i zarył nosem w podłogę.

Gloria starała się nie śmiać, więc tylko schowała głowę w materiał spódnicy i obserwowała, jak jej synek oswaja się z nowym punktem ciężkości. Była z niego taka dumna! Większość zmiennych, jeśli nie urodziła się z natychmiastową umiejętnością zmiany, opanowywała tę sztukę koło siódmego roku życia, a jeżeli nie – w czasie pokwitania. Michaś nie zmienił się od razu po narodzinach (za co była wdzięczna, bo karmienie piersią pociechy, która ząbkuje, jest wyjątkowo uciążliwe), a teraz prześcignął rówieśników o dobre dwa lata.

Pięcioletnie rysie w naturze są już dorosłymi kotami. Rozwój zmiennych rysiów przebiega równolegle z rozwojem ludzkiej strony ich natury, więc Michaś wyglądał jak kocię. Miał te cudowne rysiove łapki z nieproporcjonalnie wielkimi poduszczkami, sterczący i nastroszony ogonek, białe plamki koło nosa i długie pędzelki na zaskakująco dużych jak na małą główkę uszach. Gloria musiała przyznać: jej najmłodszy syn prezentował się przeuroczo jako ryś.

– I co teraz? Zmienisz się z powrotem? – zapytała.

Cofnął się i z zapalem pokręcił łepkiem.

Nie, żadnego zmieniania! Tak się cieszył swoją kociością.

I chciał wystraszyć ich sąsiadkę Nikitę! Mama mówiła, że powinien zostawić ją w spokoju, bo to niebezpieczna kobieta z krótkim lontem, co znaczyło, jak mu wyjaśniła, że może się zdenerwować i wybuchnąć. Michaś uważał, że jest w tym dużo przesady. Wiedział, że jak coś wybucha, to robi się dużo ognia i dymu. Nigdy nie widział, by Nikita stawała w płomieniach. Zapytał ją też, czy ma gaśnicę, gdyby wybuchła, a ona tylko się zaśmiała.

Nikita była jego ulubionym człowiekiem, zaraz po mamie, tacie i braciach. Była zabawna. I miała pyszne cukierki i lody. I nigdy nie broniła mu brać jeszcze jednego. Patrzyła tylko i mówiła: „Jak się porzygasz, sprzątasz po sobie”. Michaś nie zamierzał rzygać po łakociach, bo w drugą stronę wcale już nie były takie smaczne.

Wyminął mamę i pogalopował do wyjścia. Musiał szybciotko prześlizgnąć się między nogami wychodzącego brata, zanim ten zatrzaśnie za sobą drzwi. Klamka była hen, wysoko i Michaś nie miał pewności, czy już umie do niej doskoczyć.

Wypadł na trawnik i zupełnie rozproszyła go cała ta dzika, rozbrzeczana, pachnąca zieloność! Zobaczył pszczołę i zaczął ją gonić, aż zaplątał się w wysokie badyle. Coś mignęło mu przed

oczami, sięgnął łapkami, by to coś złapać, ale uciekało! Im bardziej łapał, tym było dalej! Spiał się cały jak sprężyna i skoczył. Prawie mu się udało, ale przewrócił się i zrozumiał, że uciekał przed nim jego własny ogon. Zachichotał i poturlał się po trawie, bo to było takie przyjemne!

Usłyszał odgłos silnika i zerwał się na równe łapki. Pobiegł w stronę ogrodzenia oddzielającego jego podwórko od podwórka Nikity, wdrapał się po drewnianych sztachetach na sam szczyt i wychylił łepiek. Zobaczył tylko odjeżdżający samochód. Miauknął głośno rozżalony. Pojechała sobie, zanim ją wystraszył?

– Złaź, kochanie, Nikita wyjechała, zabrała ze sobą torbę podróżną, więc może dziś wcale nie wróci. Pokażesz jej futerko później! – zawołała mama.

Nie! Wcale nie chciał później! Chciał dziś! Teraz! Nie chciał wracać do domu, nie chciał zmieniać się w chłopca! Podobało mu się bycie dzikim drapieźnikiem, warczenie i szczyrzenie ząbków, i wysuwanie pazurków z poduszczynek! Może nawet upoluje ptaszka i zostawi go Nikicie na progu jako niespodziankę? A potem wyskoczy z krzaków i zawarczy bardzo groźnie i ją wystraszy! Ha! Tak ją wystraszy!

– Schodzisz? – zawołała mama.

Pokręcił łepkiem tak mocno, że prawie spadł z płotu. Wczepił się w deski pazurkami, a potem ostrożnie, łapka za łapką, przeszedł kawałek, aż dotarł do drzewa po stronie sąsiadki. Skoczył i wdrapał się na grubą gałąź, z której widział podjazd i drzwi wejściowe Nikity. Jeśli tylko przyjedzie, on jej nie przegapi. A zanim to nastąpi, chyba się zdrzemnie. Oczka mu się trochę kleiły, a słońce tak przyjemnie ogrzewało futerko...

Ułożył się wygodnie i przykrył oczy łapkami. Mógł poczekać. Dzikie koty potrafiły cierpliwie czekać. Zaczai się tu na nią jak tygrys. Albo lew.

*

Obudził go odgłos silnika. Otworzył oczka i wychylił się zza zasłony liści, gotów wydać z siebie groźny ryk, ale to nie był samochód Nikity. Podjechał blisko, za blisko. Ryś poczuł, jak drżą bariery ochronne wokół domu sąsiadki. Strasznie nie lubiła, kiedy ktoś je naruszał. Była na tyle miła, że uwzględniła Michasia w swoim zaklęciu, więc gdy wbiegał na jej trawnik za piłką, nie bolało go i nie brzęczało w uszach, a ona się potem nie denerwowała. Ale ten facet, który wysiadał z samochodu, nie był jej przyjacielem. Bariery brzęczały ostrzegawczo, magia wzrastała gniewnie jak burzowe chmury.

Mężczyzna, zamiast się cofnąć i przyjąć ostrzeżenie, wbił w trawnik długi zaostrzony pręt zakończony kryształową kulką, która rozjarzyła się jak mała gwiazda. Do brzęczenia ochron doszło inne, dziwne i wysokie, od którego rysia rozboleły uszy. Schował głowę w łapkach i pisnął. Mężczyzna przeszedł parę kroków i wbił kolejny pręt w trawnik, bliżej domu. I jeszcze jeden, kilka metrów dalej, po drugiej stronie ścieżki.

Całe to brzęczenie było dla niego nie do zniesienia, a światło, które wypełniało kryształy, paliło go w oczka. Futerko na grzbiecie najeżyło mu się z niepokoju. Nie podobało mu się to ani trochę! Pewnie uciekłby do domu, gdyby nie troska o Nikitę. Nie lubiła, gdy obcy wchodzili na jej terytorium, a ten pan w ogóle się tym nie przejmował! Ryś żałował, że nie jest już taki duży, by odgryźć mu głowę.

Facet tymczasem zdołał jakoś przejść pomiędzy dzwoniącymi prętami aż na ganek Nikity i zostawił na nim białe pudełko. Wycofał się do samochodu, zabierając po drodze pręty. Ryś obserwował go, jak wyjeżdża z podjazdu, chyba bardzo z siebie zadowolony. Mały drapieżnik wyszczerzył ząbki, a pazurki same wysunęły mu się z poduszczek.

Zsunął się po pniu na ziemię i pobiegł do domu Nikity. Czuł na futerku muśnięcie zaklęcia ochronnego, ale prześlizgnęło się po nim, rozpoznając go nawet w zwierzęcej postaci. Nikita była bardzo mądra. Dobiegł do pierwszej dziury w trawniku zostawionej przez ten koszmary hałaśliwy pręt... Ziemia i trawa obok były poczerniałe, jakby zwęglone! Pachniały źle, spalonymi zapalkami i zepsutymi jajkami. Prychnął i potarł nos łapką. Dwie pozostałe dziury śmierdziały tak samo, więc ominął je z daleka.

Przyciągało go białe pudełko. Było nieduże. Mógłby się zmieścić w środku duży kubek... albo dwadzieścia dwa samochodziki, czyli wszystkie, jakie miał. Przez chwilę Michaś patrzył na pudełko, zgadując, co by się w nim zmieściło, a co na pewno nie. Co też może być w środku? Był taki ciekawy! Obchodził je, wahał. Pachniało jak coś do jedzenia... Chciał do niego zajrzeć, ale było obklejone taśmą, obwiązane sznurkiem i w ogóle całkiem rysiodoporne! Może gdyby się zmienił w chłopca i wykorzystał przewagę kciuków, ale... nie chciał. Wcale nie był pewien, czy wie, jak znów stać się kotkiem. Czy wystarczy, że kichnie? A może wcale nie będzie mógł tak od razu wrócić do rysiej postaci? Jak wtedy pochwali się Nikicie? I najważniejsze: jak wtedy ją wystraszy? Szturchnął więc pudełko, jakby spodziewając się, że cokolwiek jest w środku, odpowie na jego zaczepne miauknięcia. Ale pudełko nie współpracowało. Nawet kiedy na nie zawarczał. Było TAJEMNICĄ. A ryś bardzo lubił tajemnice.

Nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego, ale po prostu musiał je zakopać. Było jak skarb, a skarby się przecież zakopuje. I robi mapę, zaznaczając miejsce zakopania dużym czerwonym X. Michaś uznał, że to świetny pomysł. Gdy już będzie miał chłopakowe ciało i ręce, narysuje Nikicie mapę skarbów i sama sobie znajdzie prezent, który jej zostawił ten niemiły pan.

Głupio z jego strony, że sam na to nie wpadł... Zostawienie paczki na ganku wcale nie jest zabawne. Za to mapa skarbów tak, i to bardzo! Michaś złapał zębami sznurek paczki. Podniósł ją bez trudu. Nawet jako chłopiec był całkiem silny, ale jako ryś stał się stworzeniem potężnym i mocarnym. Tak o sobie myślał, kiedy niósł w zębach paczkę na tył podwórka Nikity, do niewielkiej metalowej furtki łączącej oba terytoria. Klamka i zasuwka znajdowały się za wysoko, by do nich sięgnąć, ale pręty były na tyle szerokie, że zdołał się między nimi przecisnąć i nawet przeciągnąć pudełko.

Teraz musiał się skradać i cichutko zakopał paczkę w rabatce mamy. Nie lubiła, kiedy on i bracia grzebali w jej ogródku lub deptali rośliny, ale prawie udało mu się nie wykopać żadnego kwiatka. Dwa były trochę krzywe, jednak przyklepał je łapką i prawie nie dało się zauważyć. Potupał, ubijając ziemię, bo niewielki kopczyk zdradzał jego tajemnicę. Zapamiętał miejsce, żeby potem dokładnie nanieść je na mapę.

Zadowolony z siebie wrócił na gałąź, która była świetnym punktem obserwacyjnym i wygodnym miejscem na drzemkę w słońcu. Obudziła go mama.

– Michaś, obiad! – zawołała spod drzewa.

Przez chwilę się wahał. Był głodny, słyszał, jak mu kiszki marsza grają, ale nie chciał zmieniać się w chłopca! Przechylił łepkę, nie wiedząc, co zrobić.

Mama westchnęła.

– Nadal chcesz zostać w rysiej formie? – zapytała.

Miauknął entuzjastycznie. Znow westchnęła.

– A czy chcesz coś zjeść jako ryś?

Miauknął znowu.

– To chodź, kolego, zobaczymy, czy rysie ząbki dadzą sobie radę z kurczakiem i brokułami. – A widząc, że ciągle ma wątpliwości, mama dodała: – Nikt ci się nie każe zmieniać, ale

jako ryś potrzebujesz sporo więcej jedzenia niż jako chłopiec, więc nie możesz opuszczać posiłków, bo będziesz bardzo słabutkim rysiem. Daję słowo, że możesz poczekać na Nikitę zrysiowany.

Na to mógł przystać. Mama zawsze dotrzymywała słowa, poza tym naprawdę burczało mu w brzuszku. Zeskoczył z drzewa na płot, a stamtąd na ziemię. Poszedł do kuchni przy nodze mamy, a ona z kolejnym westchnieniem przestawiła jego talerzyk ze stołu na podłogę.

Zjadł prawie wszystko, tylko koperkiem pluł dookoła, bo jako ryś nie lubił jego smaku nawet bardziej niż jako chłopiec. Prych, okropność!

*

Do wieczora Nikita nie wróciła, choć czekał na nią na gałęzi drzewa bardzo cierpliwie. Gdy robiło się ciemno, mama zawołała go do domu. Złapała Michasia, kiedy skoczył z gałęzi, smutny i niepoczyszony. Zachwiała się lekko, ale utrzymała synka w ramionach.

– Może jutro wróci i wtedy ją wystraszysz, co ty na to? – zapytała, dmuchając mu w futerko na czubku głowy.

To był dobry pomysł. A jutro będzie za chwileczkę. Zaśnie, obudzi się i już!

– Chyba nawet nie mam co cię namawiać na zmianę? – Westchnęła.

Pokręcił łepkiem.

– Ale wiesz, że rysie też się muszą umyć przed pójściem spać?

Z tym się mógł zgodzić. Zwłaszcza że gdy mama suszyła mu futerko ręcznikiem, to było całkiem tak, jakby go głaskała. Zasnął zwinięty w kłębek na swoim łóżku, z nosem schowanym w łapkach.

Kiedy się obudził, odkrył, jak przyjemne jest przeciąganie się, kiedy jest się kotem. Zjadł śniadanie i pobiegł do swojego punktu obserwacyjnego. Już przywykł do czterech łapek i wcale się nie potykał! Wdrapywanie się po płocie i drzewie też mu szło bardzo dobrze.

Huśtał się, trzymając się gałęzi przednimi łapkami, kiedy znów poczuł brzęczenie barier ochronnych Nikity. Przyjechał ten sam facet co wczoraj, ze swoimi hałaśliwymi prętami i kolejnym pudełkiem! To było nawet większe! Zostawił je na schodku przed wejściem, po czym odjechał.

Ryś nie mógł się powstrzymać. Po prostu nie mógł! To było silniejsze od niego. Sprawnie zakopał kolejną paczkę na swoim podwórku i przez większość dnia bawił się, wspinał, drzemał na słońcu albo siedział na drzewie. Mama wołała go na jedzenie, ale już nie namawiała, by wrócił do ludzkiej postaci. To dzięki tacie, który przyznał, że po pierwszej przemianie był tak zachwycony byciem rysiem, że nie zmienił się przez tydzień i do dziś wspominał to jako jeden z najfajniejszych momentów w życiu. Przyjęła więc do wiadomości, że przez kilka kolejnych dni jej najmłodszy syn będzie rysiem, a nie chłopcem.

Po obiedzie drzemał na werandzie, kiedy usłyszał odgłos silnika. I zaraz kolejnego. Na podjazd Nikity wjechały aż dwa samochody!

Poderwał się i ile tchu pogalopował do ogrodzenia. Wspiął się na płot, przeszedł na drzewo. Była tam! Nikita! Podskakiwał niecierpliwie, czekając na swoją szansę na wystraszenie jej, ale nie zwracała na niego uwagi, zbyt skupiona na tym niemiłym facecie, który wjechał za nią i teraz wyskoczył z samochodu, krzycząc.

Nikita była zmęczona, brudna i głodna. Ostatnie półtora dnia spędziła w Sawie, wyciągając resztki ekspedycji archeologicznej z zielonego piekła. Kiedy ją odnalazła, z trzynastu naukowców zostało już tylko pięciu. Zdołała wyprowadzić trzech. Ludzie nie przestawali jej zdumiewać. Nie byli w stanie zrozumieć, że takie miejsca jak Sawa należy omijać szerokim łukiem. Może w realnym świecie to poważani naukowcy, lecz tam, na drugim brzegu rzeki – wyłącznie karma dla drapieżników. Mieli sprzęt do kopania, a jakże, ale ani jednego karabinu. Gdyby żona jednego z nich nie zadzwoniła do Nikity i nie wynajęła jej do sprowadzenia męża do domu, zginęliby wszyscy. Szczęśliwie dla najemniczki, mąż zlecniodawczyni był wśród ocalałych. Zdołała dostarczyć go żywego, choć poobijanego, w ramiona żony i teraz marzyła tylko o jedzeniu i prysznicu – w tej właśnie kolejności.

Dlaczego ten palant zaparkował na jej podejździe? Krzyczał coś o braku honoru i ostrzeżeniach, które jej zostawił.

– Jakie ostrzeżenia, o czym ty bredzisz? – warknęła.

– Zostawiłem ci je na ganku! – ryknął.

Spojrzała na niego, marszcząc brwi. Miał może czterdzieści lat. Niezbyt wysoki, żylasty, o ciele bez wątpienia nawykłym do walki. W bojówkach i koszuli bez rękawów rozpiętej poniżej mostka, z czarnymi przylizanymi włosami i nastroszoną brodą wyglądał, jakby urwał się z jakiejś sekty Bezdroży. Na jego szyi i ramionach Nikita zauważyła liczne blizny po ostrzach, a ta pod obojczykiem musiała być wynikiem postrzału. Nie wyglądał na kogoś, kogo zaklasyfikowałyby jako niebezpiecznego, ale nie podobało jej się to, co powiedział. Zostawił coś na ganku. A to oznacza, że przeszedł przez jej terytorium mimo wciąż aktywnych osłon. Rozejrzała się i zauważyła dziury wypalone w trawniku. Mogły stanowić pewien trop.

Kiedy ona analizowała sytuację, on gadał. Nie miała cierpliwości do jego gniewnych tyrad, więc zapytała wprost:

– Co w nich było? W tych paczkach, które mi zostawiłeś?

– Części ciała innych Cieni, których pokonałem przed tobą – warknął.

– Chwila: ty się zalecasz czy mnie wyzywasz? – zapytała, zbyt zmęczona, by wykrzesać z siebie cierpliwość. – Zresztą nieważne. W obu przypadkach odpowiedź brzmi: nie. I łaskawie spierdalaj, zanim ci rozwalę łeb. Nie jestem zainteresowana niczym, co masz mi do zaoferowania.

– Walcz i udowodnij, że nie jesteś plugastwem, jak reszta Cieni! – wykrzyczał i przyjął postawę z jakiejś dziwnej sztuki walki.

Wyciągnęła Zębuszkę i strzeliła mu między oczy. Nie miała sił na takie gówno i niczego nikomu nie musiała udowadniać. Odeszła z Zakonu – teraz nawet jej matka musiała przyjąć do wiadomości, że teraz robi, co chce, i nie przyjmuje rozkazów od nikogo.

Facet padł na plecy, a na jasnych płytach chodnikowych rozbryznęły się mózg i krew. Nikita westchnęła ciężko. Sąsiedzi nie znosili, kiedy zostawiała zwłoki na widoku. Zwłaszcza Gloria, wiedźma zza płotu, regularnie prawiała jej kazania na temat życzliwego sąsiedztwa i nieletnich. Nikita przypominała jej, że ci nieletni wychowali się w Warsie, więc zetknęli się już z przemocą i trupami, jednak tamta pozostawała nieugięta.

Choć więc była zmęczona i głodna, zebrała zwłoki z chodnika i zaniosiła je na tyły domu, na podwórko, którego nie widać z ulicy. Na szczęście facet był raczej chudy i lekki, więc nie kosztowało jej to wiele wysiłku. Zostawiła go na ziemi i poszła do domu. Zje coś i wtedy zabierze go nad Wisłę. Kelpie zawsze chętnie przyjmą przekąskę.

*

Ryś nie wszystko widział. Mama wymogła na nim kiedyś obietnicę, że gdy zobaczy, jak Nikita wyciąga broń palną, ma zamknąć oczy i jeszcze zasłonić je rękami. Powtarzała mu to tak często, że automatycznie zrobił to nawet teraz, jako ryś. A kiedy zdjął łapki z oczu, ze zdziwieniem zauważył, że Nikita zniknęła! I facet też!

Zeskoczył z gałęzi i przeturlał się po trawniku. Obwąchał kałużę krwi i prychnął, rozpoznając zapach faceta. Szedł za tropem z kropli krwi, aż znalazł trupa za domem Nikity. Nie całkiem to rozumiał. Czy Nikita zostawiła sobie jedzonko na później?

Czytał w książeczce, że wiele drapieżników tak robi. Wielkie koty wciągały ofiarę wysoko na drzewo, by inny drapieżnik jej nie zabrał, psy zakopywały kości. Hmm... Ryś nie wiedział, jakim drapieżnikiem jest Nikita. Nigdy nie zapytał, bo mama powiedziała, że byłoby to bardzo nieuprzejme. Trzeba poczekać – powtarzała – aż ktoś zechce się podzielić tajemnicą, bo to osobista sprawa. Michaś nie miał problemu z mówieniem wszystkim, że jest rysiem, ale mama uważała, że nie każdy tak ma i niektórzy nie chcą ujawniać, w co się zmieniają, bo ludzie nie są mili dla wielu drapieżników. Ryś potrafił wywąchać, że Nikita pachnie jak człowiek i coś jeszcze, ale nie potrafił rozpoznać zapachu tego czegoś. Może poszła się teraz zmienić, a jak wróci, to zje intruza na kolację? Zawsze miała w lodówce mnóstwo jedzenia, ale kto wie?

I wtedy przyszła mu do głowy prześmieszna zabawa. Numer pierwsza klasa!

Złapał zębami za koszulę trupa i pociągnął. Miękka trawa ułatwiała mu zadanie. Nie było lekko, ale dał radę.

Zatrzymywał się co chwilę na mały odpoczynek i chichotał, bo to był taki dobry żart!

*

Nikita, najedzona i przebrana w ciuchy, na których krew nie będzie się rzucać w oczy, wyszła z domu, by zabrać zwłoki, zanim sąsiadka zacznie suszyć jej głowę o deprawację potomstwa. Żyło im się obok siebie zaskakująco dobrze i nie chciała psuć tej relacji. Tym bardziej, że Gloria wciąż była nieco niestabilna po niedawnej ciąży, nadal naćpana hormonami i niewyspana, jak każda kobieta z niemowlęciem. Poza tym rozdrażnienie wiedźmy powietrza gwarantowało problemy. Nikita poszła za dom po zwłoki. Lecz te zniknęły.

Co, u diaska? Przecież je tu zostawiła! Bez trudu zobaczyła ślady wleczenia, wygniecioną trawę i smugi krwi, które prowadziły do przejścia między posesjami. Zmarszczyła brwi i ruszyła tropem aż do otwartej na oścież furtki. Nie musiała się wiele rozglądać, żeby zauważyć nieregularny kurhan w środku rabatki. Kształt ciała pozostawał wyraźny, zresztą nawet gdyby połamane rośliny maskowały go lepiej, z ziemi wystawały ludzka dłoń i buty. Nie była pewna, co zrobić. Już miała zawołać wiedźmę, kiedy zza krzaka wyskoczył ubłocony ryś, kociak jeszcze, skrzecząc groźnie i szczerząc kielki. Z trudem powstrzymała śmiech.

– Ach, co to za bestia?! – krzyknęła z udawanym przestraciem.

Sąsiadka wyszła na werandę, zwabiona hałasem, i jej spojrzenie padło na rabatkę. Przeklęła i wybiegła do ogródka, wymachując rękoma. Z bliska dostrzegła nie tylko oczywiste ślady zniszczeń, lecz także... wystającą rękę i buty. Zamarła.

– Hmm, Nikito, czy to twój trup leży w moim ogródku? – zapytała z pozornym spokojem.

– Najwyraźniej. Zostawiłam go na chwilę i zniknął. Pozwolę sobie zauważyć, że gdybym to ja ci go tu zakopała, zrobiłabym to staranniej. – Uniosła ręce w obronnym geście.

– Na Światowida! Michaś! – krzyknęła Gloria.

Mały ryś w lot pojął, że ma kłopoty. Śmignął w stronę płotu i w kilkanaście sekund był już wysoko na drzewie, poza zasięgiem mamy.

Wiedźma patrzyła bezradnie na skopany ogródek i na zwłoki przezierające spod ziemi.

– Czekał na ciebie od wczoraj. Jak go znam, chciał się pochwalić przemianą i cię wystraszyć. A to... Pojęcia nie mam. Ma jakąś nową psią fazę, lubi zakopywać. Winię za to geny jego ojca, bo tamta rodzina bywa... dziwna.

Nikita zaczęła kojarzyć fakty. Przypomniała sobie słowa intruza.

– Wiesz co, ja ci chyba przekopię ten ogródek, bo może tu być więcej niespodzianek – przyznała.

– Nie zgadza ci się stan zwłok na posesji? – zapytała złośliwie sąsiadka.

– Ponoć ktoś mi podrzucił części ciała na ganek, a nie ma po nich śladu. Lepiej ich nie zostawiać na pastwę twojego zębującego potwora.

Wiedźma zbladła na myśl, że któregoś dnia jej najmłodsza latorośl może przywlec do domu czyjąś kończynę.

– Zajmij się tym – powiedziała z napięciem w głosie.

– Jak zawsze, nic się nie martw. I jeśli pozwolisz, pogadam z Michasiem.

Gloria machnęła ręką, świadoma, że nie zdoła odizolować syna od niebezpiecznej sąsiadki. Że też akurat z nią musiał się zaprzyjaźnić! Wiedziała, że to przegrana walka, od Halloween,

kiedy ten mały cwaniaczek zdołał się dostać do jej domu i wyciągnąć od niej słodycze. Żadnemu innemu dziecku się to nie udało. Wyglądało na to, że sympatia była odwzajemniona, bo Nikita rzadko się uśmiechała, za to teraz, gdy stała pod drzewem, zadzierając głowę, szczerzyła się szeroko.

– Hej, Michasiu, musimy ustalić ważne zasady. Jeśli kiedyś będziesz chciał zakopać zwłoki zwędzone z mojego podwórka, musisz zapytać o zgodę, dobra? – zaproponowała.

Matka przewróciła oczami.

– A nie lepiej wprowadzić zasadę „żadnych zwłok na widoku”? – prychnęła.

– Bądźmy realistyczni – zaprotestowała Nikita. – To jest Wars, nie żaden domek na prerii.

Ryś na gałęzi zaskrzeczał na zgodę. Trochę był rozczarowany, że Nikita znalazła niespodziankę, zanim narysował jej mapę, ale przynajmniej nie krzyczała jak mama.

– Michasiu, możesz się już zmienić? – usłyszał jej zniecierpliwioną prośbę. – Dwa dni w futerku to naprawdę dużo. Chciałabym, żebyś zjadł dziś kolację widelcem.

W odpowiedzi wycofał się między liście.

– Twój wybór, szkrabie, ale bez kciuków nie poradzisz sobie z otwarciem pudełka z lodami. A kupiłam ciasteczkowe, z sosem i kruchymi kawałeczkami słonego karmelu – powiedziała Nikita.

Michaś walczył z sobą. Cudownie było mieć cztery łapki i ogon. Ale lody ciasteczkowe? Z karmelem? Nadal nie wiedział, jak to właściwie zrobić, że zmienił się w rysia, ale pomyślał, że skoro udało się raz, to uda się znowu. Gdy już zje swoją porcję lodów. Ledwie o tym pomyślał, poczuł, że kości przesuwają mu się pod skórą, a futerko znika. Skoczył i w locie zmienił się w chłopca.

Nikita miała dobry refleks, więc złapała golasa, zanim gruchnął o ziemię. Owinął jej ręce wokół szyi. Nie mogła się nie roześmiać.

– To napad! Jesteś zakładniczką! Nie puszczę cię, dopóki nie dostanę lodów! – zawołał chłopiec.

Jego matka prychnęła. Przeszła kilka kroków do sznura na pranie, ściągnęła suchą już piżamę ze Spider-Manem, jego ulubioną, po czym podała ją Nikicie. Nauczyła się nie wchodzić między synów a przekąski. Jako rysie mieli zupełnie dziki metabolizm, jeśli więc szalona najemniczka z sąsiedztwa brała na siebie wrzucanie w ten worek bez dna nieprzyzwoicie drogich lodów, ona, Gloria, nie zamierzała protestować.

– Odnieś go, gdy ci się znudzi albo zaśnie – poprosiła Nikitę.

– A ciało? – zapytała tamta i zerknęła na rozkopaną rabatkę.

– Zagonię jego starszych braci do szukania skarbów i topienia marzanny w Wiśle – odpowiedziała ze spokojem.

Michaś pomyślał, że mógłby tak spędzać każdy dzień: najpierw brykać w rysiej postaci, a potem przesiadywać u Nikity i opychać się łakociami. Pół godziny później poklepał się po pełnym brzuszku i uśmiechnął błogo. Jutro także się zmieni w rysia, a przygody znów podążą za nim.

Kurczaczek i salamandra

Copyright © by Aneta Jadowska 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2020

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Agnieszka Zygmunt

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

Strony tytułowe – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN EPUB: 9788382100259

ISBN MOBI: 9788382100242



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Tomasz Czernich

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Karolina Żak

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Łukasz Szreniawa, Marta Tabiś

Administracja i finanse: Klaudia Sater, Monika Płuska, Honorata Nicpoń, Ewa Koza

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędzia

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Igraszki z ogniem

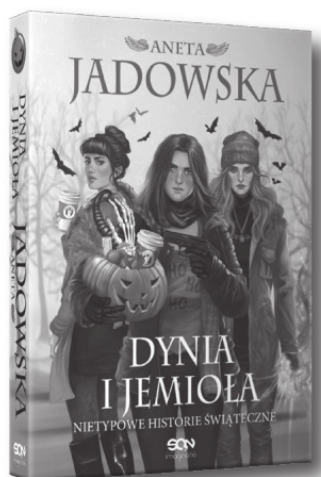
Duma i ciągłość

Przygody małego drapieżnika

Strona redakcyjna

NAJPYSZNIEJSZE OPWIADANIA ZIMY!

Świąteczny koniec roku, okres od Halloween do sylwestra.
Magiczny czas między dynią a jemiolą.
Dora Wilk, Nikita, Witkacy, Karma, Malina, Roman, Baal i inni
przybywają z nowymi historiami. Burzliwe przygody i ciepłe opowieści
to wszystko, czego trzeba, by przegonić zimową chandrę.
Słodkie i ostre, romantyczne i całkowicie nieprzewidywalne.
Opowiadania ze świata Thornu są jak czekoladki
w doskonale skomponowanej bombonierce.
Nie poprzestaniesz na jednym.



NIETYPowe HISTORIE ŚWIĄTECZNE

Szukaj w dobrych księgarniach

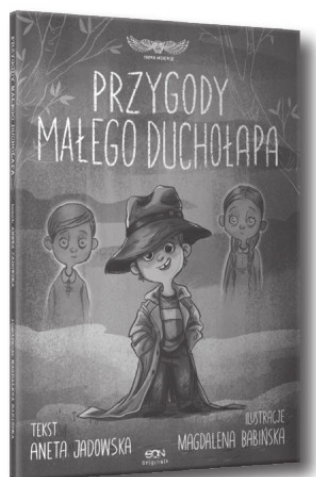


10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

BUUU! OTO NIESAMOWITA OPowieść O DUCHACH, KTÓRZY LUBIĄ SIĘ TROSKĘ BAĆ

Piotruś Duszyński widzi duchy, a duchy widzą Piotrusia!
To doskonały początek przyjaźni! Do czasu, kiedy duchy próbują
skrzywdzić kogoś, na kim Piotrusiowi bardzo zależy.
Duchołap potrzebny od zaraz! A skoro nikt z dorosłych
nie może mu pomóc, a duchowa policja nie istnieje,
Piotruś sam zaczyna pilnować porządku w świecie duchów.



**TO PIĘKNA OPowieść O PRZYJAŹNI,
MIŁOŚCI I ODWADZE**

Dostępna tylko w SQNStore.pl

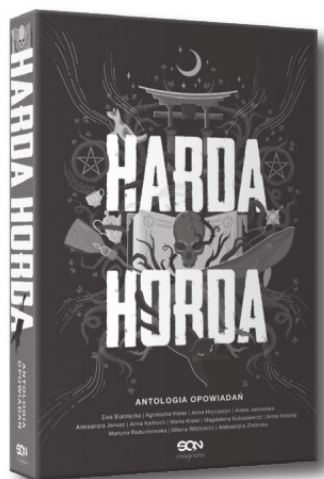


10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

KIEDY KILKANAŚCIE KOBIET ŁĄCZY SIŁY, POWSTAJĄ RZECZY WYJĄTKOWE

Dwanaście niesamowitych historii pełnych nostalgii i grozy.
Wyrusz w niezwykłą podróż po zdumiewających światach,
w których ludzkość próbuje radzić sobie ze skutkami katastrof
spowodowanych przez naturę lub własną ignorancją, gdzie czasem
pojawiają się chmury będące portalem do innego uniwersum,
a w słowach niewinnej piosenki dla dzieci „Jaworowi ludzie”
ukrywa się mroząca krew w żyłach tajemnica.



PORYWAJĄCA LEKTURA DLA WSZYSTKICH WIELBICIELI MROCZNYCH KLIMATÓW

Szukaj w dobrych księgarniach



10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

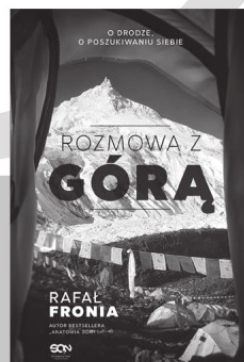
www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
W 2020 roku obchodzimy okrągłe
urodziny, to już 10 lat razem!

Jesteście czytelnikami *sine qua non*,
warunkiem koniecznym istnienia
dobrych książek, a Wydawnictwo
SQN istnieje dzięki ludziom takim
jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce
spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

10 LAT RAZEM
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl

